



KULTURALNIK POZNAŃSKI

KWARTALNIK KULTURALNY TOWARZYSTWA PTAAAK | NR 1 (1) KWIECIEŃ 2016

era jazzu

AQUANET JAZZ FESTIVAL

13-18 kwietnia 2016 Poznań

James Blood Ulmer
Deborah J. Carter
D. Kostka Project
Get The Blessing
Anthony Strong
Chico Freeman
Fortuna / Dys
China Moses



www.jazz.pl

SPONSOR STRATEGICZNY

AQUANET

PATRONAT

POZNAŃ
Pracownia Kultury
Prezydentura Miasta Poznania

WSPÓŁPRACA



MEDIA





SŁOWO WSTĘPNE

Szanowni Czytelnicy, oddajemy w Wasze ręce pierwszy numer czasopisma KULTURALNIK POZNAŃSKI. Sam tytuł istnieje już od ponad roku jako strona internetowa. Teraz dołącza do niej wydanie papierowe.

KULTURALNIK POZNAŃSKI – zgodnie z nazwą – jest przewodnikiem po wydarzeniach kulturalnych odbywających się w Poznaniu i wydawnictwach, szczególnie tych, których twórcami są poznańscy artyści. Na naszych łamach nie brak także informacji o wycieczkach dla Poznaniaków zabytkowymi tramwajami czy pociągami.

Zachęcamy także do Kącika Rarytasy z zakurzonej Grającej Szafy, w którym poznańscy dziennikarze przypominają płyty i filmy sprzed lat oraz realia czasów dawno minionych. Kącik jest swoistym uzupełnieniem audycji „Radio Yesterday”, która jest emitowana w każdą sobotę na antenie Radia Merkury Poznań.

KULTURALNIK POZNAŃSKI wychodzi na przeciw tym, którzy twierdzą, że w Poznaniu nic się nie dzieje – informujemy o spektaklach, koncertach, wystawach i ciekawych wydawnictwach, szczególnie, jeśli są dziełem poznańskich artystów. Jednocześnie chcemy sprowadzić na ziemię osoby, które uważają Poznań za miasto kultury. Niestety nasze miasto nie wykorzystuje potencjału miejscowych twórców.

Czy i kiedy ukażą się kolejne numery KULTURALNIKA POZNAŃSKIEGO zależy od wielu czynników. Mamy jednak nadzieję, że nasze czasopismo przypadnie Państwu do gustu i będą Państwo czekać na kolejne wydania oraz zaglądać na naszą stronę internetową. Wtedy możliwe będzie, że uda nam się rozwinąć i zaistnieć na dłużej.

Michał Sobkowiak
Redaktor Naczelny

Wydawca - Polskie Towarzystwo Artystów, Autorów, Animatorów Kultury PTAAAK,



sfinansowanie Samorząd miasta Poznania

POZnań*

Redaguje zespół redakcyjny w składzie: Michał Sobkowiak – redaktor naczelny, Tamara Przypis – sekretarz redakcji, Bartosz Kaj – foto, Jacek Lerch, Natalia Mikołajska, Andrzej Wilowski, Druk – Grafikon Wojciech Konowski

JUBILEUSZ 1050-LECIA CHRZTU POLSKI

W kwietniu czekają nas uroczystości centralne związane z Jubileuszem 1050-lecia Chrztu Polski. Większość z nich odbędzie się w Poznaniu i Gnieźnie.

MICHAŁ SOBKOWIAK



W roku 966 Książę Mieszko I przyjął chrzest święty i odtąd wszystko zaczęło się zmieniać: zwyczaje, obyczaje, kultura, nauka, polityka, ludzie, naród, społeczeństwo, Kościół.

Książę Mieszko tym samym wprowadził swoich pobratymców w świat kultury łacińskiej i uczynił ich obywatelami wspólnoty ludów chrześcijańskich.

W tym roku świętujemy 1050-lecie historii państwa i Kościoła na naszych ziemiach. Z tej okazji odbywają się liczne uroczystości w całym kraju. Jednak najważniejsze będą miały miejsce już niedługo w naszym regionie.

W CZWARTEK 14 KWIETNIA W GNIEŹNIE ODBĘDĄ SIĘ:

- **Konferencja Episkopatu Polski** w Seminarium Duchownym w Gnieźnie (g. 11:00-13:00),
- **Celebracja Jubileuszowa** na Ostrowie Lednickim (g. 14:45) – podziękowania za Chrzest Polski, zabrmi dzwon „Mieszko i Dobrawa”,

- **Eucharystia** w Katedrze Gnieźnieńskiej (g. 17:00),
- **Prezentacja** w Instytucie Kultury Europejskiej filmu o **Chrzcie Mieszka I** (g. 20:00).

W PIĄTEK 15 KWIETNIA OBCHODY PRZENIOSĄ SIĘ DO POZNAŃA:

- **Czuwanie modlitewne** w Poznańskiej Fardze w obecności Obrazu Nawiedzenia Matki Boskiej Częstochowskiej (czwartek od g. 21:00 do g. 15:00 w piątek, w piątek Eucharystia g. 6:00, 8:00, 12:30),
- **Konferencja Episkopatu Polski** w Gimnazjum Katolickim im. św. Stanisława Kostki (g. 9:00-11:00),
- **Uroczyste obrady Zgromadzenia Narodowego z udziałem Prezydenta RP** w Sali Ziemi na Międzynarodowych Targach Poznańskich (g. 12:00) – w tym orędzie Prezydenta RP, jubileuszowe „Oratorium 966.pl”,
- **Eucharystia** w Katedrze Poznańskiej.

SOBOTNIE OBCHODY ROZPOCZNIE

- Konferencja Episkopatu Polski** w Gimnazjum Katolickim im. św. Stanisława

Kostki (g. 9:00). Główna część uroczystości odbędzie się na INEA Stadionie w Poznaniu:

- **Rozpoczęcie zgromadzenia** (g. 10:00),
- **Oficjalne rozpoczęcie jubileuszowego świętowania** „Gdzie chrzest, tam nadzieja” (g. 10:50),
- **Eucharystia z chrztem dorosłych i posłaniem**, wieńcząca centralne obchody 1050. rocznicy Chrztu Polski,
- **Koncert jubileuszowy**, musical „Jesus Christ Superstar” (g. 19:00) – spektakl zrealizowany przez Teatr Muzyczny w Poznaniu, w roli Jezusa – Marek Piekarczyk z TSA.

Jubileuszowe Świętowanie na INEA Stadion podzielono na dwie części. Obie wymagają odrębnych wejściówek.

W dniach od 14 do 16 kwietnia wejściówki na obchody rocznicowe na INEA Stadionie (16 kwietnia) upoważniają będą do bezpłatnych przejazdów środkami komunikacji zbiorowej w Poznaniu i Aglomeracji Poznańskiej – organizowanej przez Zarząd Transportu Miejskiego.

JESUS CHRIST SUPERSTAR

Jedną z części obchodów 1050. rocznicy Chrztu Polski będzie koncertowa wersja słynnego musicalu Andrew Lloyda Webbera „Jesus Christ Superstar”, którą zaprezentuje Teatr Muzyczny w Poznaniu.

MICHAŁ SOBKOWIAK

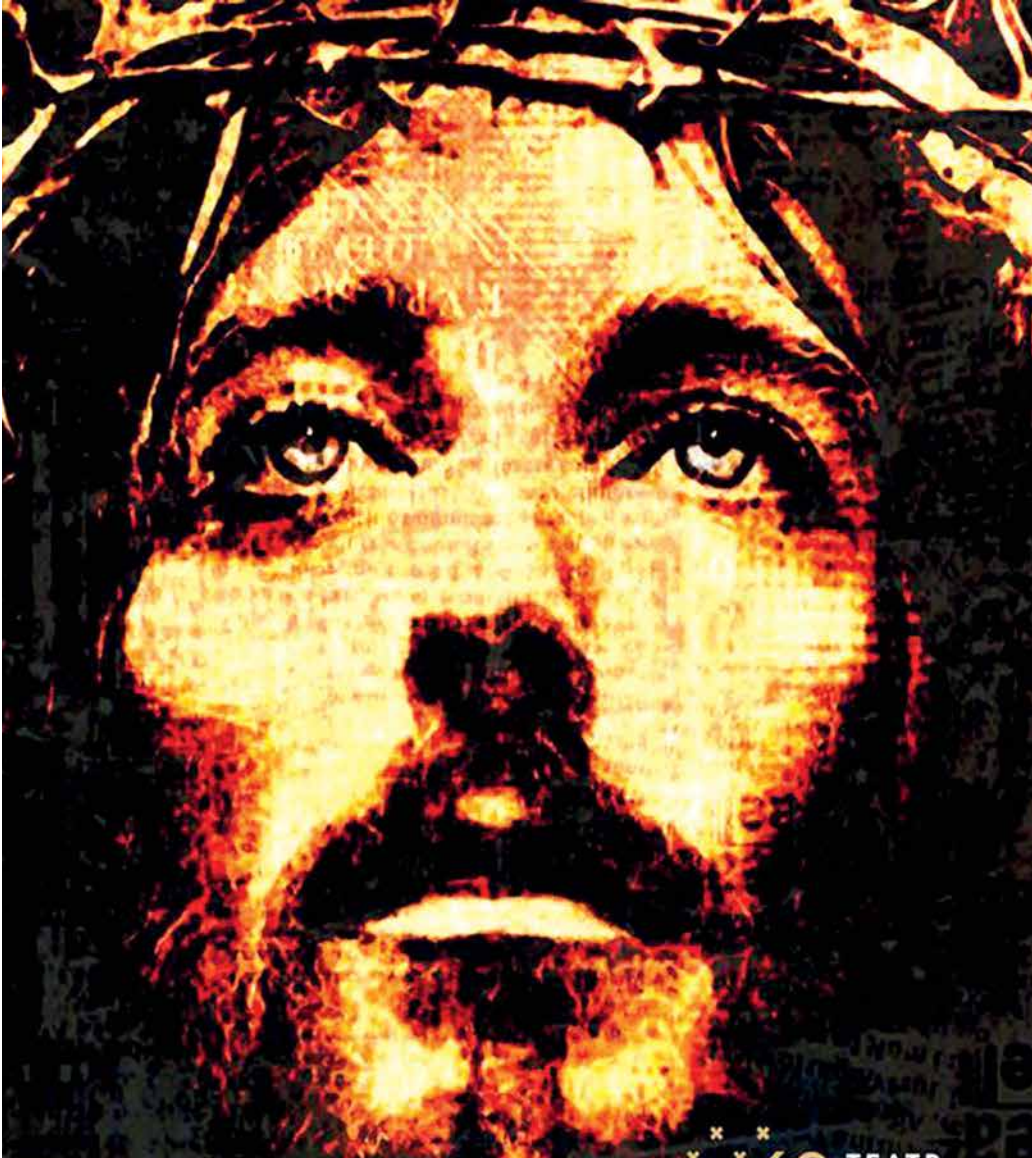
S tworzony na przełomie lat 60. i 70. XX wieku spektakl, przedstawia ostatni tydzień z życia Jezusa Chrystusa, który widzimy z perspektywy Piotra, Judasza, Marii Magdaleny czy Piłata. Sztuka okazała się jednym z największych wydarzeń w historii teatru muzycznego na świecie. Polska premiera odbyła się w 1987 roku w Gdyni. Autorami polskiego tłumaczenia są: Wojciech Młynarski i Piotr Szymanowski

W poznańskiej inscenizacji rolę Jezusa zagra Marek Piekarczyk, którego kreacja w Teatrze Muzycznym w Gdyni przeszła do historii polskiego musicalu. Janusz Kruciński, który wykreował postać Jezusa w Chorzwie, zagra Judasza. Natomiast w roli Marii Magdaleny wystąpi Anna Lasota, solistka Teatru Muzycznego w Poznaniu. Reżyserem spektaklu został Sebastian Gonciarz.

– Jestem absolutnie przekonany, że wyjątkowi artyści biorący udział w tym projekcie oraz inscenizacja w tak dużej przestrzeni, jaką będzie scena na Stadionie w Poznaniu, dadzą widzom możliwość przeżycia wyjątkowych doznań – mówi Sebastian Gonciarz, reżyser.

– Mój udział to jest dowód na istnienie Boga. Urodziłem się bowiem w Poznaniu jako syn oficera wojskowego, który nie był komunistą. I teraz tu powracam – wyznaje Marek Piekarczyk i dodaje – Nie powinienem tego mówić, ale wołałbym, żeby na 1050. rocznicę chrztu Polski wystawić np. „Kazania Świętokrzyskie”. Ale „Jesus Christ Superstar” będzie nie mniejszym wydarzeniem.

Wejściówki już prawie się rozeszły, jednak w pobliżu stadionu zamontowane będą telebimy, na których będzie można obejrzeć relację z tego co dzieje się na płycie stadionu. Musical „Jesus Christ Superstar” rozpocznie się 16 kwietnia o godz. 19:00 na INEA Stadionie. Dla widzów przygotowano 30 tysięcy miejsc na płycie i trybunach.



ANDREW LLOYD WEBBER
TIM RICE

60 LAT
TEATR MUZYCZNY
W POZNANIU

JESUS CHRIST SUPERSTAR

16 KWIECZNIA 2016 INEA STADION POZNAŃ

POWROTY MARKA PIEKARCZYKA

Z Markiem Piekarczykiem, cenionym wokalistą i odtwórcą roli Jezusa w musicalu „Jesus Christ Superstar”, rozmawiamy o powrotach do roli, do Poznania, o tym co dał mu rock’n’roll i o „Kazaniach Świętokrzyskich”.

OPRAC. MICHAŁ SOBKOVIK

Udział w poznańskiej inscenizacji musicalu „Jesus Christ Superstar” jest dla Ciebie swoistym powrotem do roli i do Poznania.

Mój udział to jest dowód na istnienie Boga. Urodziłem się bowiem w Poznaniu jako syn oficera wojskowego, który nie był komunistą. I teraz po 30 latach wracam do Poznania, wracam do roli Chrystusa.

Zatem będąc w Poznaniu jesteś u siebie.

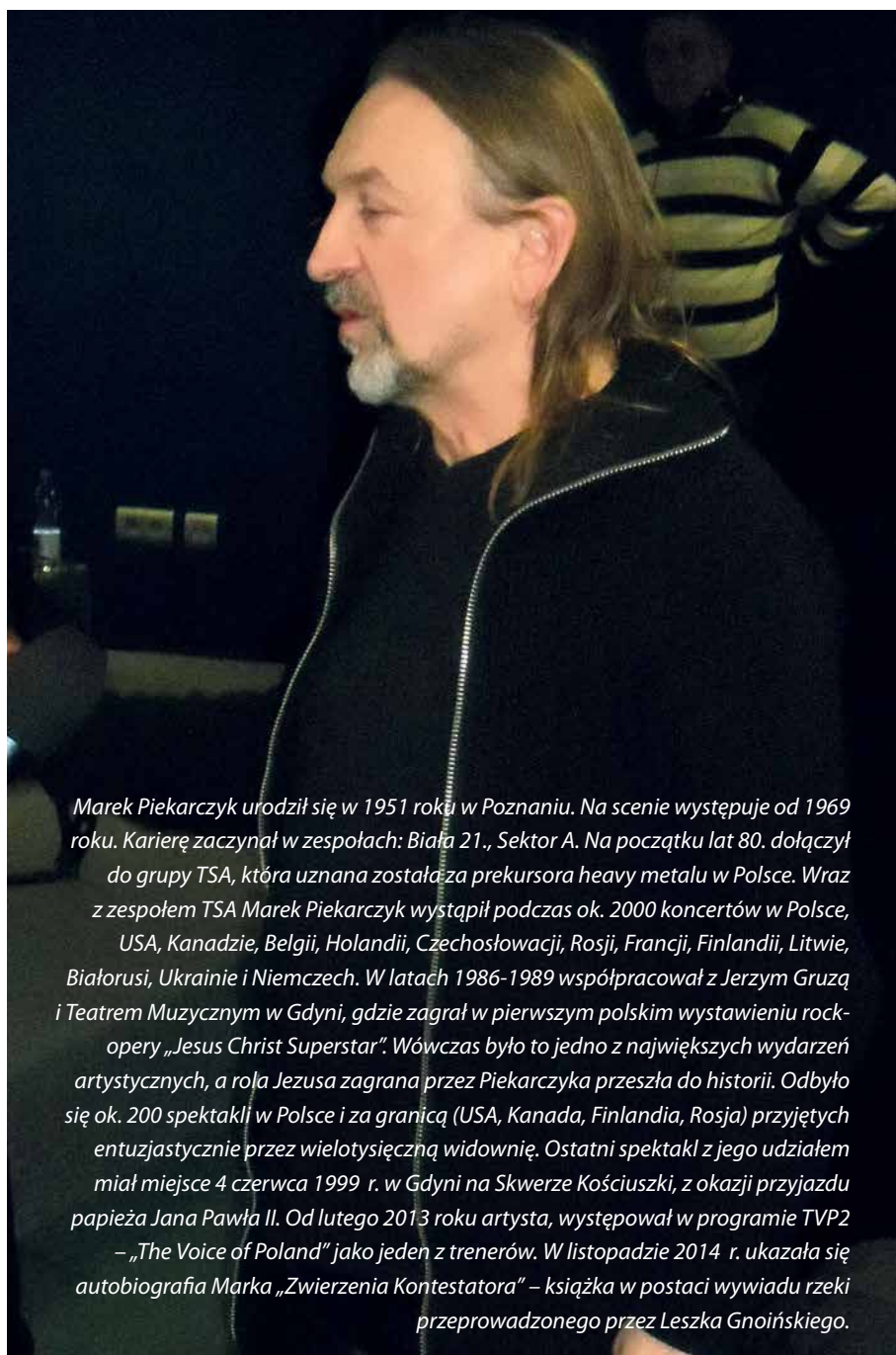
W Poznaniu jestem prawie u siebie, tu są korzenie moje i mojej rodziny. Wchodząc do Radia Merkury, prawą stroną, można zobaczyć na ścianie portret mojego kochanego dziadka, Kazimierza Piekarczyka, współzałożyciela w 1927 roku Radia Poznańskiego, dziś Radia Merkury. Jestem z Poznania, potem mieszkałem w Gnieźnie przy ulicy Sobieskiego.

Oba miasta wiele łączy.

Teraz obchodzimy Jubileusz wydarzeń, które miały początek właśnie w Wielkopolsce. Były przełomowe dla naszego państwa, Kościoła, naszej cywilizacji. To jest wspaniałe. Cieszę się, że właśnie mnie to spotyka.

Trochę się to łączy z wyobrażeniem, jakie wielu ludzi ma na Twój temat.

Przez lata byłem zaszufładowany jako rockendrolowiec, hippis. Nie ukrywam, że rola Jezusa odmieniła moje życie. Tysiąc lat temu zdarzyło się, że miejsce, w którym przyszedłem później na świat, a potem Gniezno, gdzie spędziłem kolejne lata, dało początek całej naszej wspaniałej historii, naszej Ojczyzny, Narodu. Robiłem w życiu różne rzeczy, dobre i złe. Grałem, śpiewałem, lepiałem garnki, pracowałem na roli, studiowałem filozofię, przemierzyłem całą Polskę w różnych czasach i na wszystkie sposoby. Aż w końcu Jerzy Gruba dostrzegł we mnie Jezusa – aktora. Stałem się wtedy spełnionym artystą, gwiazdą. Czy po zagranju Jezusa można jeszcze zagrać kogoś „lepszego”? Cała ta ponadtysiącletnia wę-



Marek Piekarczyk urodził się w 1951 roku w Poznaniu. Na scenie występuje od 1969 roku. Karierę zaczynał w zespołach: Biała 21., Sektor A. Na początku lat 80. dołączył do grupy TSA, która uznana została za prekursora heavy metalu w Polsce. Wraz z zespołem TSA Marek Piekarczyk wystąpił podczas ok. 2000 koncertów w Polsce, USA, Kanadzie, Belgii, Holandii, Czechosłowacji, Rosji, Francji, Finlandii, Litwie, Białorusi, Ukrainie i Niemczech. W latach 1986-1989 współpracował z Jerzym Gruzą i Teatrem Muzycznym w Gdyni, gdzie zagrał w pierwszym polskim wystawieniu rock-opery „Jesus Christ Superstar”. Wówczas było to jedno z największych wydarzeń artystycznych, a rola Jezusa zagrana przez Piekarczyka przeszła do historii. Odbłyło się ok. 200 spektakli w Polsce i za granicą (USA, Kanada, Finlandia, Rosja) przyjętych entuzjastycznie przez wielotysięczną widownię. Ostatni spektakl z jego udziałem miał miejsce 4 czerwca 1999 r. w Gdyni na Skwerze Kościuszki, z okazji przyjazdu papieża Jana Pawła II. Od lutego 2013 roku artysta, występował w programie TVP2 – „The Voice of Poland” jako jeden z trenerów. W listopadzie 2014 r. ukazała się autobiografia Marka „Zwierzenia Kontestatora” – książka w postaci wywiadu rzeki przeprowadzonego przez Leszka Gnoińskiego.

drowka naszego narodu, i moja własna, zamyka się symbolicznie w tej roli, w musicalu „Jesus Christ Superstar”. Roli, która pozwala mi wrócić do korzeni, wspólnie z innymi radować się i świętować rocznicę Chrztu Polski.

Czy bycie muzykiem ułatwia granie w musicalu?

Rock’n’Roll nauczył mnie takiego śpiewania, dzięki któremu mogłem niejednokrotnie ciepło i z wielką mocą zaśpiewać. Wła-

śnie tego brakuje mi u innych wokalistów – tej mocy.

Muzycy rockowi zazwyczaj nie mają wykształcenia muzycznego.

Rockowcy są amatorami, tylko disco polo grają ludzie po jakichś konserwatoriach muzycznych, żeby robić „szmalca”. Ale rock’n’rolla nie da się robić w ten sposób, bo to wynika z czegoś innego. To muzyka wypływająca z innych źródeł – bluesa, innych rodzajów buntu, ekspresji, która nie występuje w innych gatunkach. Przecież to pop music, ale z elementem buntu.

Nie boisz się zagrać tak specyficznej roli, jak Jezus Chrystus?

Jan Paweł II był dla mnie jednym z najmądrzejszych papieży w historii. Tylko Jan Paweł II powiedział nie lękajcie się, to jest istota tego wszystkiego.

Uważasz, że „Jesus Christ Superstar” jest najlepszym wyborem na obchody 1050-lecia Chrztu Polski?

Nie powinienem tego mówić, bo to nie jest mój interes, ale ja bym nie wybrał „Jesus Christ Superstar”. Ja tam gram, to jest uwieńczenie pewnej mojej drogi. Jest to sztuka napisana przez obcych nam ludzi. Baptysta (Tim Rice) napisał tekst, który musiałem poprawiać, a nie waham się tego zrobić, żeby nie ranić uczuć religijnych własnych ani niczyich. Nie będę głosił prawd, których ja nie uznaję. Natomiast Weber jest żydem, nie mam nic przeciwko żydom, ale w „Jesus Christ Superstar” jest to piętno, postać Chrystusa jest groteskowa, czasami taka bezradna. Judasz jest lepiej zrobiony – jest dramatem ogromnym. Trochę to nieuczciwa rola.

Ale „coś” z tym zrobisz?

Moja obecność jest gwarantem, że to nie będzie splycone, i że jednak te właściwe emocje, które odkryłem przez tyle lat brania udziału w scenach biczowania, przemysła na krzyżu, których było kilkadziesiąt, łącznie z próbami, że jednak to będzie święto jakieś.

Jeśli nie „Jesus Christ Superstar” to co?

Gdybym ja to przygotowywał, to wolałbym wystawić „Kazania świętokrzyskie”, w których także brałem udział m.in. z Józe-

fem Skrzekiem. To najpiękniejszy tekst jaki czytałem w życiu, bez fanatyzmu. „Kazania świętokrzyskie” jest to pierwszy tekst pisany po polsku i każdy, kto go czyta ma szansę dotknąć tego, czego my nie możemy dotknąć, świętując 1050-lecie Chrztu Polski, czyli tej polskości cudownej, która jest w tym języku.

Jakieś przykłady z dawnego języka zapamiętałeś?

Wiecie jak jest serce po prasłowiańsku? Hirfe. A jak jest sumienie? Sąmnienie – posiadania samego siebie. To słowo mnie olśniło, gdy czytałem ten tekst zrozumiałem czym jest to nasze sumienie.

Co jeszcze przemawia na korzyść „Kazań Świętokrzyskich”?

W tym tekście można znaleźć wiele rzeczy, które zaprzeczają naszym poglądom na temat świata. Na przykład anioł został wysłany przez Boga, by ratować chrześcijan, bo poganie nacierali setkami tysięcy wojsk i pokonał te wojska; a na końcu jest zdanie: „i poganie śmierć podjęli”. To oddanie godności pokonanym. Nie zostali zarżnięci, oni przyjęli, podjęli śmierć. Zwycięzcy oddali cześć poddanym, dając im szansę bycia tymi, którzy przyjmują śmierć.

Może byłby to lepszy wybór.

Uważam, że „Kazania świętokrzyskie” powinno być wystawione. W Środzie Wielkopolskiej to było na rynku. Niesamowite. Środa pamięta to do dzisiaj. Gdyby połączyć to z tym świętem, tymi światłami i efektami, które na stadionie mogą być, to byłoby niesamowite wzruszenie. Ale „Jesus...” nie będzie mniejszy, będzie też wspaniały.

Mimo to przyjąłeś rolę Jezusa.

To jest mój obowiązek grać Jezusa. Miałem propozycje grania innych ról, ale nie potrafiłem ich przyjąć. Każda z nich wydawała mi się taka nijaka. Wśród postaci, które znam z literatury, filmu czy teatru jest niewiele takich, które dałyby mi taką energię jak postać Jezusa. Ja nie jestem zawodowym aktorem, skąd wykrzesałbym taką energię jak tu w „Jesus Christ Superstar”.

Nie jest to chyba łatwa rola?

Nie da się zagrać Chrystusa, trzeba się oprzeć o szaleństwo, ale oczywiście nie

oszaleć. Nie na tym to polega. Jest jakaś tajemnica w tej roli, która niesie najbardziej ułomnego człowieka.

Czujesz się wyróżniony, że możesz zagrać Jezusa w jubileuszowej inscenizacji?

Sam fakt, że będę w tym przedsięwzięciu uczestniczył jest dla mnie wyróżnieniem niesamowitym. To powrót do mojego miasta rodzinnego. To nagroda za to, że nie mogłem być na uroczystościach tysiąclecia. Jako dziecko zostałem wywieziony do Bochni, a tam nie było żadnych uroczystości.

Zmieniły się okoliczności w jakich przyszło nam świętować.

Mimo propagandy, sztydzenia z wiary, przetrwało to wszystko. Ludzie dalej potrzebują tego świeżego powietrza, tego ciepła i światła, jakie daje Jezus. Nawet jeśli ktoś nie jest głęboko wierzący i praktykujący. Jezus jest symbolem zwycięstwa człowieczeństwa nad śmiercią.

Teraz jesteśmy „wolni”?

Kiedyś mieliśmy system komunistyczny, teraz bankowy. Ludzie się zagubili. Nie wiadomo czy teraz Jezus nie jest bardziej potrzebny, bo wtedy ludzie odczuwali bunt wewnętrzny przeciw sytuacji w której są, a teraz tylko użalają się nad sobą i mają kredyty – czyli nie widzą tego, że wpadają w kanał konsumpcji i kanał nowego świata, nowego boga. Telewizja jest takim bogiem; media, które katują mózgi – ja je nazywam środkami masowego rażenia umysłów. Myślę, że taka prosta, skromna postać Jezusa, głoszącego prawdę, takiego obdartusa, który przychodzi na dwór Piłata, jest świadectwem zwycięstwa prawdy nad kłamstwem.

Zatem ludzie muszą jeszcze powalczyć o swoją wolność?

Może gdy ludzie zrozumieją pewne rzeczy, przyjrzą się dokładniej, zamiast tylko klepać pacierze. Może obudzą się i przestaną utrzymywać te wszystkie banki, parabanki, kupować te wszystkie głupoty, które kupują; ulegać modom, które każą im wydawać ciężko zarobione pieniądze i przestaną się kłócić o politykę, a zaczną myśleć o miłości, o rodzinie, o najbliższych, o przyjaźni to uratują się. I zaczną się rodzić dzieci w Polsce.

„CHRZEST POLSKI 966”

– MUZYCZNE ZAPROSZENIE DO OBCHODÓW 1050. ROCZNICY
CHRZTU POLSKI

Piosenka, materia na pozór komercyjna, powinna mówić o wartościach uniwersalnych i rzeczach ważnych – mówi Dominik Górny, autor słów i melodii utworu „Chrzest Polski 966”, który wykonuje wraz z Anną Hetmańską. – Naszą piosenkę adresujemy do każdej osoby, również takiej, która mówi, że nie jest wierząca.

KRYSTIAN WAGAY

Chcemy zachęcić do wspólnego przeżywania refleksji i radości związanej z 1050. Rocznicą Chrztu Polski. Wierzymy w symbolikę miejsc i spotkań z nieprzypadkowymi ludźmi – dlatego teledysk do naszego utworu kręciliśmy w Złotej Kaplicy Bazyli Archikatedralnej w Poznaniu; na Starym Rynku i na Stadionie INEA. Jak mówią nasi słuchacze i aktorzy teledysku – udało nam się stworzyć pomost między historią, Chrztom Mieszka I a współczesnym odkrywaniem tożsamości własnej oraz duchowości cywilizacji europejskiej. Utwór zrodził się spontanicznie. – podkreśla Dominik Górny – wiedziałem, że mam na jego stworzenie niecałe trzy dni. Pomyślałem o słowach kluczach, które muszą zawrzeć w tekście.

Muzyka zaś powinna być optymistyczna i rytmiczna – skoro ma zachęcać do przyjazdu na poznański stadion w dniu 16 kwietnia 2016 r. Te refleksje dojrzewały we mnie przez jeden dzień. Następnego dnia zasiadłem do pianina. Melodyka słów podpowiedziała melodię utworu. Do wspólnego opracowania aranżacji i muzyki zaprosiłem Macieja Stępkę, kompozytora muzyki filmowej. Dwa dni później, dograliśmy z Anią wokale w MM Studiu i Przemka Ślużyńskiego, tak by w pierwszym dniu kręcenia teledysku, piosenka była gotowa. Dziękujemy tym wszystkim, którzy swoją życzliwością i pomysłowością przyczynili się do jej powstania i pomogli w tym, aby była muzycznym zaproszeniem do przeżywania 1050. Rocznicy Chrztu Polski.

CHRZEST POLSKI 966

Autor tekstu
i linii melodycznej: Dominik Górny

Zwrotka I.

1050 lat
1050 prawd
1050 chwil
tak ma być

1050 dróg
1050 lecz
jedno państwo
Kościół i Jeden Chrzest

Ref. :

Tak to już
pora przyjąć
Wiara źródłem
Chce dziś być

Twoja wiara
To początek

Mieszka Chrzest
Wtedy był
Dzisiaj źródłem jest twym

Chrzest twej Polski
To początek

Zwrotka II.

Historia mówi że
Mieszko nawrócił się
W Poznaniu mieście twym
Tak to było

Prawda ta bramą jest
dla ciebie dzisiaj trwa
jedno państwo
Kościół i Jeden Chrzest

Ref. :

Tak to już
pora przyjąć
Wiara źródłem
Chce dziś być

Twoja wiara
To początek

Mieszka Chrzest
Wtedy był
Dzisiaj jest źródłem twym

Chrzest twej Polski
To początek

TEATR ZAANGAŻOWANY W UROCZYSTOŚCI CHRZTU POLSKI

Z Przemysławem Kieliszewskim, Dyrektorem Teatru Muzycznego w Poznaniu, rozmawiał Krzysztof Wodniczak.

W tym roku Teatr Muzyczny obchodzi jubileusz 60-lecia działalności. Dlaczego dla Teatru jest to tak wyjątkowa data?

Jubileusz zawsze jest okazją do podsumowań. Może stanowić też moment pójścia do przodu. Każda instytucja musi się rozwijać, by pełnić misję w danym miejscu i czasie, spełniać oczekiwania dzisiejszych widzów. Operetka Poznańska, założona w 1956 roku, która została przekształcona 40 lat temu w Teatr Muzyczny, ma od lat trudne zadanie, by w nowoczesnym świecie, inspirować, bawić, edukować w warunkach lokalowych, które nie są adekwatne do tych zadań. To jednak nie zwalnia nas z realizowania misji, o której wspominałem, a jubileusz jest tylko większą mobilizacją do tego.

Pierwszą premierą jubileuszową była „Evita”, która okazała się hitem. Widzowie pokochali historię Evy Perón-Duarte, a bilety na spektakl trzeba kupować z dużym wyprzedzeniem. Jaki jest zatem przepis na udany musical?

„Evita” będzie naszym hitem z pewnością jeszcze przez kilka sezonów, bo to świetnie zrealizowany i zagrany kultowy spektakl. Przepis jest prosty: wziąć świetny tytuł, najlepszych realizatorów, najlepszych wykonawców i ciężko zapracować na sukces. Nasze zespoły przeszły w ostatnich latach wielką metamorfozę: chór, balet, orkiestra, to dziś odmłodzone, świetne zespoły. Protagonistów obsadzamy w castingach, gdyż nie zawsze w zespole znajdziemy idealnych aktorów do roli Evity, Jekylla, czy Jezusa... Ale muszę powiedzieć, że poziom Evity jest zasługą całego zespołu Teatru, pod muzyczną dykcją Piotra Deptucha, a w tym ogromnym spektaklu występuje tylko trójka gościnnych solistów.

W lutym publiczność obejrzała prapremierę „Opowieści zimowych”. Jest to bardzo kameralny projekt, jakiego nigdy wcześniej nie oglądaliśmy na tej scenie.



Skąd wziął się pomysł przeniesienia na deskę teatralną utworu Maury’ego Yestona?

Pomysłodawcą pierwszego polskiego wykonania „December Songs” (bo tak brzmi oryginalny tytuł) był Piotr Deptuch. Zaprosiliśmy do współpracy Lesława Halińskiego, świetnego, doświadczonego tłumacza, dla którego jednak był to debiut teatralny. Znakomita Edyta Krzemień była od początku rozpatrywana jako odtwórczyni tego quasi-recitalu udramatyzowanego przez Janusza Krucińskiego. To piękny cykl pieśni i spektakl, więc będziemy go powtarzać od listopada i planujemy też wydać płytę ze ścieżką dźwiękową.

W październiku w Sali Ziemi odbył się koncert „Face to Face. Musical spotyka film”. To wydarzenie pokazało, że w Poznaniu jest ogromne zapotrzebowanie na musicale. Spodziewał się Pan aż tak dużej frekwencji?

Musical Jekyll&Hyde obejrzało już niemal 20 tys. widzów, Evita pobije ten wynik w przyszłym sezonie. Koncert w Sali Ziemi, powtórzony w części jako koncert noworoczny Prezydenta Poznania, obejrzało łącznie ponad 2,5 tys. widzów. Mamy badania, które pokazują możliwy dalszy rozwój Teatru i ilości widzów. Jesus Christ Superstar na stadionie miejskim obejrzy ponad 30 tys. widzów. To, co udało nam się ciężką pracą zrobić, to przekonać do Teatru nowych, młodszych

i bardziej wymagających widzów, dla których wcześniej nie było tak oczekiwanej oferty na odpowiednim poziomie.

W maju zaplanował Pan kolejną premierę. Tym razem będzie to „Księżniczka czardasza”, a zatem po raz kolejny sięga Pan po operetkę. Dlaczego?

Z Piotrem Deptuchem doszliśmy do wniosku, że grając współczesne tytuły musicalowe, nie możemy zapominać o wielbicielach operetki, szczególnie w roku jubileuszowym. Stąd jeden z ikonicznych tytułów tego gatunku, który wyreżyseruje znakomity Grzegorz Chrapkiewicz, a choreografię przygotuje najbardziej utytułowany choreograf działający w teatrach muzycznych w Polsce, Jarosław Staniek.

Sezon 2015/2016 Teatr zakończy w sposób wyjątkowy. W czerwcu w Auli UAM odbędzie się koncert jubileuszowy, w którym wezmą udział również byli soliści i pracownicy. Jakie niespodzianki szykują Państwo dla swoich wiernych widzów?

Niespodzianki niech pozostaną niespodziankami. Zapraszamy jednak na świetną, może nieco sentymentalną zabawę 25 czerwca w Auli UAM, ze znakomitym programem, wykonaniem, gośćmi, szampanem jubileuszowym. Jedną z gwiazd wieczoru będzie między innymi Grażyna Brodzińska.

Dobiega końca Pana 3-letnia kadencja jako Dyrektora tej sceny. Co udało się Panu zmienić w tym czasie?

To niech ocenią inni. Mnie się wydaje, że Teatr przeszedł znaczną metamorfozę i wszedł na zupełnie inną ścieżkę, którą trzeba jeszcze wyrównać i dobrze wydeptać. Poznaniacy na nowo pokochali ten Teatr, sala pęka w szwach, a poziom artystyczny podniósł się diametralnie. Takie odbieram głosy wielu osób, które mówią, że od kilkunastu lat nie odwiedzały budynku przy Niezłomnych. I to jest dla mnie komplement i powód do satysfakcji.

ORZEŁ I KRZYŻ

Czterystu aktorów-wolontariuszy, Stańczyk w roli narratora i najwybitniejsze dzieła rodzimych malarzy. Widowisko plenerowe „Orzeł i Krzyż” zabierze nas w podróż przez ponad tysiąc lat polskiej historii. Honorowy Patronat nad wydarzeniem objął Prezydent RP Andrzej Duda.

MICHAŁ SOBKOVIK



Dla goślińskiego Stowarzyszenia „Dzieje” to kolejne przedsięwzięcie łączące dobrą zabawę z nauką historii i patriotyzmu. W ostatnich latach do Murowanej Gośliny zjeżdżały tysiące Polaków, by obejrzyć walki husarii w bitwie pod Kłedzkim czy rycerzy królowej Jadwigi. Ubiegłoroczny spektakl „Husaria pod Gnieznem” obejrzało blisko 7 tysięcy osób. Autorem scenariusza jest poznański historyk sztuki i poeta dr hab. Jacek Kowalski. Natomiast reżyserię i skomponowanie muzyki powierzono Marcinowi Matuszewskiemu. Główną postacią w widowisku jest Stańczyk – legendarny doradca króli, błazen zatro-

skany losami Polski. Razem z nim odbędzie my niezwykłą podróż od czasów założenia państwa polskiego, aż po triumfy husarii i przesłanie Jana Pawła II.

– *Obchody 1050. rocznicy Chrztu Polski to doskonała okazja, by przypomnieć o naszych korzeniach. Legenda o Lechu, Czechu i Rusie, chrzest Mieszka I i Zjazd Gnieźnieński, czy pielgrzymki Jana Pawła II to wydarzenia, które ukształtowały polską tożsamość. Chcemy przedstawić historię narodu w twórczy sposób – z wykorzystaniem efektów specjalnych, setek aktorów oraz gry światła i obrazów. Szacujemy, że wystawiane dwanaście razy widowisko przyciągnie w tym roku do Murowanej Gośliny*

ponad 20 tysięcy widzów – wyjaśnia Tomasz Łęcki, prezes Stowarzyszenia „Dzieje”.

W rolę aktorów wcielają się wolontariusze. Od kilku lat mieszkańcy Murowanej Gośliny, Poznania, Gniezna i sąsiednich gmin na kilka letnich wieczorów wcielają się w króli, rycerzy i szlachtę. Nie inaczej będzie w tym roku.

„Orzeł i Krzyż” to największe widowisko historyczne w Polsce. W ciągu 1,5 godzinowego spektaklu zagra w nim 400 wolontariuszy. Inscenizacje odbędą się w „Parku Dzieje” w Murowanej Goślinie w terminach: 30 czerwca; 1, 2, 7, 8, 9, 15, 16, 17, 21, 22 i 23 lipca 2016 r.

MUZYCZNE „OBLICZE TEJ ZIEMI..”

Przed nami tysiąc pięćdziesiąta rocznica chrztu Polski. Niespecjalnie okrągła, ale dla dzisiejszych Polaków – za młodych, by pamiętać uroczystości millenijne roku 1966; jednocześnie za starych, by dożyć jubileuszu jedenastu wieków – jedyna, jaką mogą się cieszyć za życia.

KRZYSZTOF WODNICZAK

Z pewnością będzie uroczyste, bo lubimy uroczystości. Z pewnością będzie podniosłe, bo sprawa jest ogromnej wagi. I jako taka, zasługuje na szczególnie głęboką refleksję. Na narodowy rachunek sumienia. Przez wiele stuleci byliśmy bastionem wiary katolickiej – dziś, w obliczu powszechnej kapitulacji Zachodu, wielu uważa nas za ostatni jej szaniec. Czy Polska jest nim rzeczywiście? Czy wytrwamy w obliczu wyzwań czasu pogardy? Może nam w tym dopomóc muzyka i teksty współczesne lub wywodzące się z tradycji chrześcijańskiej.

Od lat w Parku Jana Pawła II (zwanego dawniej Łęgami Dębińskimi), mieszkańcy Poznania spotykają się na wspólnej modlitwie i wspominaniu pierwszej wizyty Ojca Świętego w Poznaniu. W kolejną rocznicę tego wydarzenia w czerwcu 2016 roku, chcemy zorganizować bezpłatny dla odbiorców koncert pt. „Muzyczne oblicze tej ziemi”. Impreza wpisywać się będzie w inicjatywę podtrzymującą pamięć o wydarzeniu sprzed lat, oferując mieszkańcom Poznania i Wielkopolski koncert muzyki skomponowanej i wykonywanej przez Sun Flower Orchestra oraz towarzyszącym jej gwiazd (ich udział uzależniony jest od hojności sponsorów).

Wcześniej, bo w kwietniu możemy podobny program trwający 70 minut zaprezentować u Państwa w ramach odchodów 1050 lecia Chrztu Polski. Wykonywane utwory w dużej części pośrednio i bezpośrednio odnoszą się do osoby Jana Pawła II, a proponowane połączenie orkiestry smyczkowej, sekcji rytmicznej, rockowego składu, elektroniki i żywego chóru stanowią o uni-



katowym charakterze koncertu. Wydarzenie to może zostać zorganizowane przy aktywnym zaangażowaniu władz Waszej miejscowości przy poparciu Kurii Archidiecezjalnej w Poznaniu.

Zorganizowany przez nas koncert z okazji rocznicy 1050 Chrztu Polski „Muzyczne oblicze tej ziemi”, wzbogaciłby obchody tej rocznicy i nadał im nowy charakter, skoncentrowany także na muzyce i radosnym „muzycznym” wspominaniu wizyty wybitnego Polaka, św. Jana Pawła II. . Pragniemy, żeby pamięć o tym bardzo radosnym wyda-

zeniu sprzed 30 lat nie słabła oraz by młode pokolenie Wielkopolan mogło poczuć więź, która wytworzyła się wśród uczestników spotkania z Ojcem Świętym. Wzbogacenie obchodów o element muzyczny, w niezwykle profesjonalnej oprawie i nowoczesnym charakterze, przyciągnęłoby szerokie grono mieszkańców miasta i okolic

Adresatami proponowanego koncertu są mieszkańcy Waszej miejscowości i Wielkopolski, – zarówno ci, którzy mieli okazję uczestniczyć w spotkaniu papieskim 20 czerwca 1983 roku, jak również młodzi mieszkańcy, którzy nie mogą pamiętać wizyt Jana Pawła II w Polsce . Koncert zorganizowany w ramach projektu nie ma na celu zastąpienia innych sposobów wspomnienia tej wizyty, ale dodanie do nich nowego elementu i przyciągnięcia jeszcze szerszej grupy adresatów. W dniu koncertu zostanie odprawiona Msza św. , po której nastąpi radosne wspomnienie wizyty Papieża Polaka przy muzyce skomponowanej w dużej części specjalnie na tę okazję przez liderów i członków Sun Flower Orchestra.

Koncert ten będzie namacalnym rezultatem prac prowadzonych w ramach projektu. Będzie to wydarzenie o charakterze otwartym, bezpłatnym, przez co dostępnym dla szerokiego grona mieszkańców Waszej miejscowości i okolic. Przewidujemy, że koncert przyciągnie kilka tysięcy odbiorców. Będzie przy tym popularyzacją unikatowego połączenia muzyki wysokiej z nowoczesnymi aranżacjami i współczesnymi formami muzycznymi dla uatrakcyjnienia odbioru koncertu. Zaprezentuje również nową formułę obchodzenia rocznic wykraczającą poza spotkania modlitewne i eucharystyczne.

KOLOROWY ŚWIAT JAZZU

z Dionizy Piątkowskim (*) – twórcą Ery Jazzu rozmawia Krzysztof Wodniczak

Czym jest dzisiaj Era Jazzu ?

– Sam pomysł zrodził się gdzieś w połowie lat dziewięćdziesiątych. Wiedziałem, że ma to być impreza inna niż wszystkie dotychczasowe, podobne festiwale w Polsce. Przede wszystkim postawiłem na ekskluzywność i prestiż wydarzeń, a co za tym idzie, na taki dobór artystów, by ich koncertami przerwać tuzinkowość innych prezentacji. Stąd też wielu wykonawców pojawiało się pod szyldem Ery Jazzu po raz pierwszy w Polsce i zawsze – co jest już regułą imprezy – na jedynych koncertach w kraju. Oczywiście, Era Jazzu nie może wyzbyć się możliwości prezentowania wielkich gwiazd, ale sam projekt daje mi ogromne możliwości pokazywania także tych, których kariery rozgrywają się w Ameryce, Europie, tj. poza naszymi estradami. Z jednej więc strony wielkie, komercyjne i jazzowo populistyczne nazwiska jak Diana Krall, Al Di Meola, Wayne Shorter, Herbie Hancock, Jan Garbarek, Cassandra Wilson, John McLaughlin, Joe Zawinul; z drugiej strony artyści, którzy – właśnie poprzez koncerty Ery Jazzu – zaistnieli w polskiej świadomości artystycznej. Lista ta jest niezwykle długa, ale jest także powodem mojej dumy. Przedstawiłem polskiej publiczności takie znamienite osobowości, jak Patricia Barber, Dianne Reeves, Dee Dee Bridgewater, Marizę, Omara Soseę, Angelię Kidjo, Abeby Lincoln, cały nurt chicagowskiej New Black Music, wyśmienitych innowatorów : Carłę Bley, Dino Saluzzię, Davida Murraya... Nie staram się kreować artystów, ani ich "celebryckiej" popularności – ale zapraszać takie osobowości, których koncert pod szyldem Ery Jazzu jest najdoskonalszą przepustką do kariery i uwielbienia na polskim rynku. Stąd może większą satysfakcję daje mi realizacja takiego koncertu, gdzie warstwa artystyczna musi bronić się sama, gdzie enigmatycznie brzmiące nazwisko niekoniecznie jest gwarancją komercyjnego sukcesu. Ale ogromną radością jest, gdy już po koncercie zachwycona publiczność nagradza artystę „standing

ovation „. To jest – tak mi się wydaje – siłą Ery Jazzu, która swoją marką gwarantuje zawsze wielkie wydarzenie artystyczne. Bez względu czy jest to popularna Diana Krall, Herbie Hancock czy nieznana w Polsce Nnenna Freelon lub egzotyczny Nguyen Le .

Jaka jest formuła festiwalu, czym różni się od innych?

– W Polsce jest blisko sto imprez jazzowych określanych jako festiwal, przegląd, konkurs. Era Jazzu jako jedyna wyszła poza ten schemat; pokazaliśmy przez te siedemnaście lat, że gramy szukając przede wszystkim artystycznego pretekstu i artysty, który zainteresuje swoją sztuką polską publiczność. Na polskim rynku Era Jazzu jest swoistym ewenementem. Nigdy dotąd nie wykreowano tak rozpoznawalnej marki, w sensie jakości i prestiżu, która dzięki udziałowi najważniejszych i niekwestionowanych gwiazd muzyki stworzyła tak ważną imprezę w kraju. Naturalnie sukces naszych koncertów oraz towarzyszących im projektów byłby niemożliwy bez tysięcy entuzjastów, którzy tak gromadnie przybywają na koncerty Ery Jazzu. Poprzez liczny udział fanów, największych gwiazd oraz ekskluzywnych wydawnictw, nie tracąc niczego z elitarności tej muzyki, stworzyliśmy prestiżową i niepowtarzalną imprezę. Dzisiaj to ponad dwieście znamienitych koncertów, ponad półmilionowa publiczność oraz nasz „trade mark” – specyficzny wabik i gwarancja perfekcyjnej, artystycznie niekwestionowanej imprezy. Od początku zakładałem, że Era Jazzu ma być wydarzeniem prestiżowym, opartym o bardzo prostą konstrukcję. Kreujemy wydarzenie zapraszając gwiazdę światowego formatu, do której pozyskujemy sponsorów dając im równocześnie możliwość realizowania własnej strategii marketingowej. Zdobyłem zaufanie prestiżowych sponsorów, zainteresowanie mediów oraz – co najważniejsze – wierną publiczność.

Koneserzy i bywalcy to publiczność Ery Jazzu. Jak udało się rozbudzić ten dobry snobizm, przekonanie, że warto bywać na koncertach tego cyklu?

– Wydaje mi się, że na polskim rynku brakowało takiej imprezy. Gdzie zaprasza się niekwestionowane gwiazdy, te wielkie i te u nas nieznane, że gwarantem tego artystycznego wyboru jest facet, który się na tym zna. Nie obrażam siebie, abym mógł oszukać publiczność. Era Jazzu to jest także autorytet mojego nazwiska, moich jazzowych fascynacji i ambicji. Pracuję z dala od komercyjnego, jazzowego zgiełku celowo unikając populistycznych, estradowych działań. . Dziś, po wielu latach obcowania z jazzem, dostaję po kilkanaście ofert dziennie, mam więc z czego wybierać. Staram się unikać gwiazd komercyjnych, ale przecież publiczność głosuje także nogami. Era Jazzu to mój autorski projekt, stąd też moje muzyczne fascynacje są często najważniejszym argumentem w doborze artystów. Na pierwszym miejscu jednak zawsze stawiam wysoki poziom muzyki. Stąd udział w koncercie Ery Jazzu jest swego rodzaju zaproszeniem do lepszego świata, bo sam jazz jest taką kulturą alternatywą. Trudno mówić tutaj o snobizmie a raczej o nieprzemijającej modzie na jazz. Cieszę się, że nasza publiczność, z ogromnej oferty koncertowej, potrafi wybrać właśnie Ery Jazzu.

Najbliższe plany i atrakcje Ery Jazzu?

– Ciągłe wyszukuje pomysłów, które nie są typowym, estradowym przedsięwzięciem, lecz specjalnie przygotowanym, autorskim pomysłem; Jednym z bodaj ciekawszych, jakie każdego roku przygotowuję jest pomysł łączenia muzyki jazzowej z muzyką klasyczną. Wielkim sukcesem okazał się projekt Al Di Meola-Dino Saluzzi („Plays Astor Piazzola”); do historii polskiego jazzu przeszły wspólne koncerty polskiej orkiestry symfonicznej i Herbiego Hancocka („Gershwin’s Word”); ogromnym zainteresowaniem cieszyły się koncerty Orkie-

stry Kameralnej „Amadeus” Agnieszki Duczmal z Al Di Meolą („Vivaldi & Jazz”); jazzowe frazy wplatano w kompozycje J. S. Bacha trio Jacquesa Loussiera („Era Jazzu plays Bach”). Niespotykanym w historii europejskiego jazzu okazał się projekt „Penderecki Jazz” i saksofonisty Jana Garbarka oraz śpiewającego pieśni średniowiecza The Hilliard Ensemble, koncert sopranistki Barbary Hendricks, śpiewającej kompozycje legendarnych twórców jazzu – Ellingtona, Portera, Gershwinów.

Kolejna, festiwalowa odsłona Ery Jazzu odbędzie się wiosną 13-18 kwietnia 2016 roku. Impreza już na dobre powróciła do Poznania i jako Aquanet Jazz Festival staje się znaczącym wydarzeniem kulturalnym i artystycznym. Staram się konstruować imprezę inną niż wszystkie. Era Jazzu z ogromnym dorobkiem koncertowym zaprezentowała dotąd wielu największych innowatorów jazzu i gwiazdy tej muzyki. Naszym pomysłem jest teraz pokazywanie tego, co ważnego

dzieje się w jazzowym świecie i prezentowanie artystów, którzy nieczęsto pojawiają się na naszych estradach. Niekwestionowaną gwiazdą festiwalu jest China Moses – nowa gwiazda jazzu i muzyki soul. Wieczór jazzu, bluesa i funky przedstawi James „Blood” Ulmer – legenda jazzowej gitary. Wokalista Anthony Strong błyskawicznie wdarł się na światowe estrady światowe opanowane dotąd przez Michaela Buble i Jami’ego Culluma. „Portishead Jazz” zagra kwartet Get The Blessing – muzycy z kultowych grup Radiohead oraz Portishead. Amerykańska wokalistka Deborah J. Carter przedstawi „Diggin’ The Duke” ukłon w stronę muzyki genialnego innowatora jazzu – Duke’a Ellingtona. Przygotowujemy także kilka projektów specjalnych. Najważniejszy to koncert Chico Freemana wraz z poznańskimi muzykami i premiera koncertowa najnowszej płyty legendarnego, amerykańskiego saksofonisty.

Należy on do najznamienitszych instrumentalistów nowoczesnego jazzu. Pochodzi ze słynnego „klanu Freemanów” – rodzinnej elity chicagowskiego jazzu, którą tworzą wybitni i legendarni artyści”.

Laureatem tegorocznej nagrody Ery Jazzu jest poznański gitarzysta Dawid Kostka. Dawid jest już dzisiaj wirtuozem jazzowej gitary. Niezwykle ciekawy projekt “Komeda Variations” przygotował trębacz Maciej Fortuna oraz pianista Krzysztof Dys. Poddali oni wnikliwej, artystycznej wariacji kompozycje najwybitniejszego polskiego jazzmana Krzysztofa Komedy – Trzczińskiego. Koncert “Komeda Variations” przygotowano w 85 rocznicę urodzin K. Komedy i jest hołdem Ery Jazzu dla wybitnego Poznaniaka.

() Dionizy Piątkowski
– publicysta i krytyk jazzowy;
promotor cyklu koncertowego ERA JAZZU;
autor pierwszej, polskiej Encyklopedii Jazzu*

JAZZOWANIE DIONIZEGO

KRZYSZTOF WODNICZAK

Regionalne Obserwatorium Kultury UAM podsumowało projekt Oddziaływanie festiwalu na polskie miasta. Kim są organizatorzy festiwalu w Polsce? Jak działają? Czy sukces festiwalu można zmierzyć? Jak festiwale oddziałują na polskie miasta? Czy grozi nam festiwalizacja życia kulturalnego? Odpowiedzi na te i wiele innych pytań próbowali znaleźć badacze w ramach ogólnopolskiego projektu w latach 2014-2015, realizowanego przez Związek Miast Polskich. Studium kompetencji kadr sektora kultury oraz synergii międzysektorowej dofinansowanego z budżetu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego przedstawiły czynniki mające wpływ na liczbę uczestników festiwalu organizowanych w Polsce. O wszystkim decydują więc występujący artyści (62, 3 %) i atmosfera festiwalu (44, 5 %), potem ceny biletów (30, 8 %), mar-

ka festiwalu – jego tradycja (30, 1 %), na końcu dobra reklama i promocja (22, 2%). Zastanowić może odległa pozycja marki festiwalu. W tym numerze dużo piszemy o AQUANET JAZZ FESTIVAL, czyli popularnej od lat Era Jazzu, stworzonej przez mojego wychowanka (tak, tak dedykacja w książce „Czas Komedy” z 18 II 1994 r. świadczy o tym najlepiej – „Dla Krzysztofa, który był dla mnie przewodnikiem po muzyce w Poznaniu”) mówi o czymś innym. Marki Era Jazzu, którą zbudował Dionizy Piątkowski nie można nie dostrzec w skali globalnej. To wartość bezwzględna, stanowiąca rzecz można nie tylko receptę na życie dla Dionizego, ale także dla jazzfanów i jazzmanów. Rzeczywiście, tylko kilka dni w roku przeżywamy koncerty ze znakiem światowego Q, więcej otrzymując zapis koncertowy poszczególnych muzyków, mając krążek CD Era Jazzu zabieramy muzykę do

domu i słuchamy jej kiedy odczuwamy taką potrzebę. „Staram się – mówi Dionizy Piątkowski – szef Era Jazzu – kontynuować imprezę inną niż wszystkie. Era Jazzu z ogromnym dorobkiem koncertowym zaprezentowała dotąd wielu największych innowatorów jazzu i gwiazd tej muzyki. Naszym pomysłem jest teraz pokazywanie tego, co najważniejsze dzieje się w jazzowym świecie i prezentowanie artystów, którzy nieczęsto pojawiają się na naszych estradach lub pokazujemy ich po raz pierwszy”. Impreza ta na dobre powróciła do Poznania i w dniach 13–18 kwietnia sale CK Zamek, Teatru Wielkiego, Blue Note i Piano Bar będą oblegane przez jazzmanów na światowym poziomie. Dziękujemy D. Piątkowskiemu, że zaspakaja nasze jazzowe apetyty, a pojawiający się, dzięki jego wysiłkom wykonawcy, nie tylko w Poznaniu zasługują na więcej niż bisy!

ERA JAZZU

Kolejna, festiwalowa odsłona Ery Jazzu odbędzie się wiosną (13-18 kwietnia 2016 roku). Impreza już na dobre powróciła do Poznania i jako Aquanet Jazz Festival staje się znaczącym wydarzeniem kulturalnym i artystycznym.

U roku festiwalowi dodają nie tylko miejsca koncertów, liczny udział publiczności ale także niekwestionowane gwiazdy oraz ciekawe projekty. Koncerty festiwalowe odbywać będą się w kilku salach (Opera, CK Zamek) oraz klubach Poznania (Blue Note, Piano Bar) i obejmować będą nie tylko prezentacje autorskie zaproszonych gwiazd, ale także projekty specjalne: udział światowej gwiazdy w zespole poznańskich muzyków, specjalnie przygotowany projekt „komedowski” oraz koncert laureata nagrody Era Jazzu 2016.

„Staram się – mówi Dionizy Piątkowski, szef Ery Jazzu – konstruować imprezę inną niż wszystkie. Era Jazzu z ogromnym dorobkiem koncertowym zaprezentowała dotąd wielu największych innowatorów jazzu i gwiazdy tej muzyki. Naszym pomysłem jest teraz pokazywanie tego, co najważniejszego dzieje się w jazzowym świecie i prezentowanie artystów, którzy nieczęsto pojawiają się na naszych estradach lub pokazujemy ich po raz pierwszy”.

Niekwestionowaną gwiazdą festiwalu jest China Moses – nowa gwiazda jazzu i muzyki soul. Wieczór jazzu, bluesa i funki przedstawi James „Blood” Ulmer – legenda jazzowej gitary. Wokalista Anthony Strong błyskawicznie wdarł się na światowe estrady światowe opanowane dotąd przez Michaela Buble i Jami’ego Culluma. „Portishead Jazz” zagra kwartet Get The Blessing – muzycy z kultowych grup Radiohead oraz Portishead. Amerykańska wokalistka Deborah J. Carter przedstawi „Diggin’ The Duke” ukłon w stronę muzyki genialnego innowatora jazzu – Duke’a Ellingtona.



„W ramach Ery Jazzu – rekomenduje Dionizy Piątkowski – przygotowujemy także kilka projektów specjalnych. Najważniejszy to koncert Chico Freemana wraz z poznańskimi muzykami i premiera koncertowa najnowszej płyty legendarnego saksofonisty. Amerykański saksofonista Chico Freeman należy do najznamienitszych instrumentalistów nowoczesnego jazzu. Pochodzi ze słynnego „klanu Freemanów” – rodzinnej elity chicagowskiego jazzu, którą tworzą wybitni i legendarni artyści”. Laureatem tegorocznej nagro-

dy Ery Jazzu jest poznański gitarzysta Dawid Kostka. „Dawid jest już dzisiaj wirtuozem jazzowej gitary” – rekomenduje laureata Dionizy Piątkowski. Niezwykle ciekawy projekt „Komeda Variations” przygotował trębacz Maciej Fortuna oraz pianista Krzysztof Dys: poddali wnikliwej, artystycznej wariacji kompozycje najwybitniejszego polskiego jazzmana Krzysztofa Komedy – Trzcńskiego. Koncert „Komeda Variations” przygotowano w 85 rocznicę urodzin K. Komedy i jest hołdem Ery Jazzu dla wybitnego Poznaniaka.

DAWID KOSTKA LAUREATEM NAGRODY ERY JAZZU

Dawid Kostka laureatem nagrody Ery Jazzu Tegoroczną nagrodę Ery Jazzu otrzymał poznański gitarzysta Dawid Kostka. Na Blue Note Poznań Competition 2015 brawurowo i z wielką wirtuozerią zagrał „Yes or No” Wayne’a Shortera i własną kompozycję „Night Vision”. Ubiegłorocznym laureatem nagrody Ery Jazzu został kwartet Adam Zagórski / Jakub Skowroński.

KRZYSZTOF WODNICZAK

Dawid jest już dzisiaj wirtuozem jazzowej gitary – rekomenduje młodego muzyka Dionizy Piątkowski – szef Ery Jazzu. Osadzony w brzmieniu Scofielda oraz zauroczony techniką Pat Metheny’ego i Johna McLaughlina szuka artystycznych skojarzeń także u klasyków: od Jima Hall po Wesa Montgomery’ego. W jakim kierunku pójdzie jego własna, autorska stylistyka, technika i brzmienie najbliższy czas okaże. Teraz jest w doskonałym momencie, by podjąć takie wyzwanie. Jestem pewien, że nagroda Ery Jazzu trafia w dobre ręce!”

Dawid Kostka jest absolwentem poznańskiej Akademii Muzycznej (studia magisterskie w klasie gitary Konrada Zemlera ukończył z wyróżnieniem). Od kilka lat związany jest z różnymi projektami artystycznymi koncertując z Sławkiem Uniatowskim, Kubą Badachem, Dorotą Miśkiewicz, Ewą Bem, Stanisławem Soyką, Janem Ptaszynem Wróblewskim oraz Anną Serafińską. Jest laureatem wielu konkursów : z zespołem SkieBieDieBie, którego był założycielem, zdobył 2 miejsce na konkursie RCK Pro Jazz Festiwal 2013 oraz 3 miejsce na konkursie Jazz Juniors 2013. Z zespołem Global Schwung Quintet zdobył 2 miejsce na RCK Pro Jazz Festiwal 2015 oraz 1 miejsce w konkursie „Discovered by Good Time Radio” w kategorii jazz/acid jazz. Z zespołem Blitz w 2013 roku zdobył 2 miejsce w konkursie Muzyczna Zębátka. Jest także laureatem prestiżowej nagrody dla największego talentu festiwalu 7th Azoty Tarnów Jazz Contest oraz finalistą I Międzynarodowego Konkursu Gitarowego im. Jarka Śmietany w Krakowie. Nagrał płytę koncertową z Poznańskim big bandem pod batutą Sta-



niśława Fijałkowskiego. Występował poza granicami Polski na koncertach w Bordeaux i Brukseli. Uczestniczył także w licznych warsztatach muzycznych m. in. w Puławach, Frankfurcie, Lesznie, Poznaniu oraz Chodzieży, gdzie pobierał nauki od Rafała Sarneckiego, Marka Napiórkowskiego, Konrada Zemlera, Davida Doruszki, Christiana Rovera, Atille Muehla i Michaela Sagmeistera. Podczas festiwalu Era Jazzu 2015 zrealizował wraz amerykańskim wokalistą Vinx’em entuzjastycznie przyjęty Poznań Jazz Project.

Druga edycja Blue Note Poznań Competition zgromadziła kilkudziesięciu artystów, dla których nagrody poznańskiego konkursu są ważną przepustką do świata jazzu. Finałowe zmagania oceniało konkursowe jury (Krzesimir Dębski, Zbigniew Wrombel i Dionizy Piątkowski), które przyznało nagrody i wyróżnienia. W kategorii zespół instrumentalny Pierwsze Miejsce otrzymała formacja Weezdob Colective (Kacper Smoliński – har-

monijka, Kuba Marciniak – saksofon tenorowy, Piotr Scholtz – gitara, Damian Kostka – kontrabas i Adam Zagórski – perkusja). Drugie Miejsce przypadło zespołowi Skiski-Skiuk (Darek Rubinowski – saksofon tenorowy, Roman Chraniuk – kontrabas, Jakub Nizeracki – gitara i Jakub Miarczyński – perkusja). Nagrodzono także instrumentalistów: dwa pierwsze miejsca dla Kajetana Galasa (organy Hammonda) i Jakuba Skowrońskiego (saksofon) oraz dwa drugie miejsca (Dawid Kostka – gitara i Maciej Sokołowski – saksofon). Wyróżniono ponadto dwie śpiewające panie: Izę Polit oraz Kingę Prus. Zarejestrowany koncert laureatów ukazał się na płycie BNPC 2015 oraz jest także dopełnieniem katalogu festiwalowego Ery Jazzu. Era Jazzu 2016 Prize – Dawid Kostka Project 16.04.2016, godz. 20.00 – Poznań – Sala Wielka CK Zamek, Dawid Kostka – gitara, Damian Kostka – kontrabas, Jacek Szwał – fortepian, Mateusz Brzostowski – perkusja

KONCERTOWA PŁYTA „BLUE NOTE POZNAŃ COMPETITION 2015”

Zwykle goście przychodzący na urodziny przynoszą jubilatowi prezenty. Tym razem było odwrotnie, publiczność uczestnicząca w serii jubileuszowych koncertów w klubie „BlueNote” otrzymała w prezencie niezwykle album. Nie do zdobycia, nie do kupienia i całkowicie premierowy, będący plonem konkursu „Blue Note Poznań Competition 2015”.

ANDRZEJ WILOWSKI

Klub działa już 18 lat i jest jednym z nielicznych miejsc w Polsce, gdzie regularnie rozbrzmiewa jazz.

Wkroczyliśmy w erę festiwalu i choć niemal każde miasto organizuje festiwal jazzowy, to na co dzień nie ma gdzie grać. Zwłaszcza jest to problem dla młodych muzyków. Od kilku lat wraz z „Ery jazzu”, „Blue note” organizuje konkursy dla młodych muzyków. Do ostatniej edycji konkursu przystąpiło około 300 podmiotów wykonawczych, solistów i zespołów. Koncert finalistów został utrwalony na płycie.

Formacja „Weezdob Collective”; Kacper Smoliński – harmonijka, Kuba Marciniak – saksofon tenorowy, Piotr Scholz – gitara, Damian Kostka – kontrabas, Adam Zagórski – perkusja.

Inspirują się różnymi gatunkami; blues, funk, bibop. Mimo tego eklektyzmu wypracowali sobie własny, rozpoznawalny i nowoczesny styl. Prawdopodobnie znajdą zatrudnienie w wielu projektach, dzięki swojej wszechstronności.

„Skicki-Skiuk” pod tym tajemniczym szyldem występują studenci z Wrocławia: Radek Rubinowski – saksofon, Roman Chraniuk – gitara basowa, Jakub Mizeracki – gitara, Jakub Miarczyński – perkusja.

Nowoczesne brzmienie łącząc z pomysłowością kompozycji i to, co lubie, w improwizacjach są nieprzewidywalni.

Saksofonista Jakub Skowroński jest już doświadczonym muzykiem, ma za sobą



współprace z zespołami: „International Jazzpocalypse”, „Przemek Raminiak Quartet”, „Maciej Fortuna Etno Quartet”. Studiował na Wydziale Jazzu w Katowicach i Jazz Institut Berlin.

Maciej Sokołowski saksofonista, nauki pobierał na poznańskiej akademii u Jarosława Wachowiaka oraz Macieja Kocińskiego. Związany z poznańską sceną jazzową, współtworzy zespoły „Pleroma” i „Grit Ensemble”.

Ostatnia edycja ujawniła plejadę wybitnych gitarzystów. Ujawniła, bo trudno tu mówić o odkryciach, w większości to dojrzały muzycy i mimo młodego wieku z estradowym doświadczeniem. warto za-

pamiętać te nazwiska; Dawid Kostka, Jakub mizeracki i Piotr Scholz. Każdy z nich jest wirtuozem i ma niepowtarzalne brzmienie.

Rzadko pojawiają się nowi wokaliści jazzowi i organizatorzy.

Iza Polit ma to, co dla każdej wokalistki jazzowej najcenniejsze, unikalny tembr głosu, z lekkością porusza się w różnych rejestrach, traktując głos niemal instrumentalnie. Przypomniła „Starą piosenkę” Krzysztofa Komedy do słów Agnieszki Osieckiej.

Kajetan Galas dołączył do grona wirtuozów organów Hammonda. Sięgnął po tematy „I’ll Remember April” Duke Persona i „Alle The Things You Are” Jerome Kerna.

Młodzi jazzmani są nie tylko biegłymi instrumentalistami, ale i uzdolnionymi kompozytorami. W popisach prezentowali własne kompozycje, dojrzałe i pomysłowe.

Laureaci, to absolwenci, lub studenci akademii muzycznych z Poznania, Wrocławia i Krakowa. Dominuje pogląd, że jazzu nie można się nauczyć, to prawda, ale też nie uważam, że wiedza szkodzi. Był taki czas, kiedy za granie muzyki rozrywkowej i jazzu wyrzucano z akademii muzycznych. Młode pokolenie muzyków udowodniło, że można pogodzić kompetencje i inwencje, dlatego strzeżcie się klasycy, na scenę wkracza nowe pokolenie mistrzów gatunku.

MILES DAVIS, BIL EVANS

W związku z przypadającą w roku bieżącym 90 rocznicą urodzin Milesa Davisa Katedra Jazzu Akademii Muzycznej w Poznaniu przygotowała specjalny koncert będący pierwszą w Polsce koncertową prezentacją kompozycji wybranych z okresu współpracy Davisa z Gilem Evansem.

ROBERT RATAJCZAK

Repertuar objął utwory zaczerpnięte z trzech albumów nagranych przez legendarnych artystów: „Miles Ahead” (1959), „Porgy And Bess” (1959) i „Sketches Of Spain” (1960), a wykonania historycznych utworów podjęła się Orkiestra Jazzowa Akademii Muzycznej im. Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu pod dyrekcją Patryka Piłsiewicza z solistą w osobie trębacza Macieja Fortuny.

Już na kilka tygodni przed planowanym na 13 marca koncertem, zainteresowanie wydarzeniem przeszło najśmielsze oczekiwania zarówno organizatorów jak i samych muzyków, a wejściówki na koncert rozeszły się w ciągu kilkunastu minut. W związku z tym zdecydowano o powtórzeniu koncertu następnego dnia, aby umożliwić wszystkim zainteresowanym wysłuchanie tego doprawdy wyjątkowego koncertu.

Miałem zaszczyt być świadkiem premierowej prezentacji programu stosownie zatytułowanego „Miles Lives!”.

Trwająca pięć lat współpraca Milesa Davisa i Gila Evansa zaowocowała nagraniami, których ogromny potencjał dostrzeżono tak naprawdę dopiero po latach.

W 1957 roku odbyła się pierwsza sesja nagraniowa orkiestry Gila Evansa i Milesa Davisa, której efektem okazał się album „Miles Ahead”, zawierający muzykę, mimo iż pełną orkiestrowego rozmachu, to bardzo nawiązującą do estetyki cool właściwej dotąd nagraniom kameralnym. Wydana w 1958 roku płyta „Porgy And Bess” zawierała z kolei instrumentalne interpretacje najpiękniejszych tematów Gershwina wybranych z opery jazzowej, która po raz pierwszy wystawiona została w 1935 roku (na 2 lata przed śmiercią Gershwina). To opowieść o miłości dwojga bohaterów: Porgy’ego i Bess dziejąca się w miasteczku nadmorskim na Połu-

dniu Stanów Zjednoczonych rozgrywająca się w latach 30. XX wieku. Opera spotkała się początkowo z entuzjastycznym przyjęciem. Gdy jednak zaczęto ją wystawiać w Nowym Jorku, recenzje stały się nieprzychylnie. Białym, bogatym bywalcom opery nie podobał się pomysł wprowadzenia czarnej muzyki na scenę, były to bowiem lata borykania się Ameryki z uprzedzeniami rasowymi. Okazało się iż struktura melodii Gershwina zapewniła obfitą przestrzeń dla Davisa do improwizacji, przy czym artysta w najmniejszy sposób nie naruszył oryginalności podstawowych linii melodycznych. Davis określał ten album mianem jednego ze swoich ulubionych, a z upływem lat opracowanie Davisa i Evansa stało się klasyką, z której inspirację czerpały w kolejnych latach całe rzesze muzyków jazzowych.

Tak jak nie było rzeczą łatwą sięgnąć po Gershwina i nagrać „Porgy And Bess”, tak samo odważnym przedsięwzięciem było sięgnięcie po słynne hiszpańskie tematy jakie wypełniły longplay „Sketches Of Spain”. Album ten należy dziś do najważniejszych płyt w dyskografii Davisa a zarazem do najsłynniejszych albumów jazzowych przełomu lat 50-tych i 60-tych, jednym tchem wymienianych podczas najróżniejszych podsumowań.

Program poznańskiego koncertu w przemyślany sposób podzielono na dwie części, wyodrębniając w części drugiej specyficzny repertuar zaczerpnięty z albumu „Sketches Of Spain”.

Poszczególne utwory ubarwił fachowym komentarzem prowadzący koncert wyjątkowy dyrygent i kontrabasista Patryk Piłsiewicz. Warto nadmienić, iż koncert „Miles Ahead!” stanowił jego kontynuację dzielenia się fascynacją muzyką Milesa Davisa z poznańską publicznością, po wydarzeniu

jakie miało miejsce w Poznaniu w listopadzie 2014 roku. Wówczas to Patryk Piłsiewicz i Maciej Fortuna w ramach Festiwalu Made In Chicago podjęli się rekonstrukcji materiału pochodzącego z płyty „Birth Of The Cool” (1957), a specjalnym gościem koncertu był jedyny żyjący członek legendarnego nonetu Milesa Davisa – Lee Konitz. Młodzi muzycy Orkiestry Jazzowej Poznańskiej Akademii Muzycznej wraz z solistą, wszechstronnym i niezwykle kreatywnym Maciejem Fortuną poradzili sobie ze złożoną strukturą poszczególnych kompozycji wyśmienicie. Orkiestra została niezwykle starannie przygotowana, a instrumentację dopracowano w najmniejszych szczegółach, gromadząc na scenie prawdziwy arsenał wykorzystanych w oryginalnych aranżacjach Gila Evansa instrumentów.

Nie wiem ile razy podjęto się w Europie podobnego przedsięwzięcia, które byłoby w stanie tak wiernie odtworzyć wyjątkową magię kunsztownie i bogato zaaranżowanych utworów, z jakimi mamy do czynienia w przypadku wspólnego dorobku Milesa Davisa i Gila Evansa. Wiem natomiast, iż koncert ten był doprawdy jedną z niewielu okazji usłyszenia tego materiału w tak precyzyjnie dopracowanej formie. Ogromne brawa i wielki szacunek za odwagę, rozmach przedsięwzięcia, a przede wszystkim za doskonały warsztat instrumentalny i wielkie uczucie z jakim podjęto to niecodzienne wyzwanie.

„Miles Lives!” – koncert z okazji 90. urodzin Milesa Davisa: „Miles Davis & Gil Evans Columbia Sessions”, 13. 03. 2016 – Aula Nova, Poznań

Maciej Fortuna – trąbka

Orkiestra Jazzowa Akademii Muzycznej im. Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu pod dyrekcją Patryka Piłsiewicza.

DWAJ LUDZIE JAZZU

Dwaj ludzie jazzu : fotografik Marek Karewicz oraz poznański publicysta Dionizy Piątkowski przygotowali książkę – album, który jest szczególną impresją oraz biografią jednego z najwybitniejszych, polskich artystów – Krzysztofa Komedy Trzcieskiego.

KRYSTIAN WAGAY

Przez lata zbierałem materiały ikonograficzne dotyczące ruchu jazzowego w Poznaniu – mówi o publikacji jej autor Dionizy Piątkowski, szef Ery Jazzu – szczególnie interesując się postacią Krzysztofa Komedy – Trzcieskiego.

Pierwszą próbą systematyzacji był cykl artykułów, jakie opublikowałem w miesięczniku Nurt. Dotyczyły one przede wszystkim Krzysztofa Komedy. Pozornie praca nad książką mogła wyglądać, jak to sobie niestety, wyobrażałem, jako próba monograficznej i chronologicznej syntezy. Wnet okazało się jednak, że „Czas Komedy” byłby wtedy bliższy zestawieniu dokumentacyjnemu, niż książce o publicystycznym, wspominkowym charakterze. Przeważała druga koncepcja.

Wyszedłem bowiem z założenia, że nawet ulegając pewnym uproszczeniom faktograficznym i płynności chronologicznej, uda mi się przedstawić przede wszystkim istotę tamtych, jazzowych lat. Celowo pominąłem wiele spraw, innym nadałem szerszy wymiar. W opracowaniach typu monograficznego trudno wyzbyć się selekcji. Zrezygnowałem zatem z typowej, faktograficznej prezentacji, starając się nadać wypowiedziom prasowym i dokumentacyjnym cytatom znamiona publicystycznej narracji.

Kierowałem się przy tym zasadą, by właśnie cytowana wypowiedź najwierniej oddawała sens poruszanego problemu, prezentowanego epizodu i umiejscawiała go w konkretnym kontekście kulturowym, estetycznym i społecznym. Oparłem się zatem na artykułach publicystycznych, recenzjach, reportażach z prasy poznańskiej i ogólnopolskiej oraz nade wszystko z prasy muzycznej. Stara-



Marek Karewicz



Dionizy Piątkowski

łem się dotrzeć do źródeł i materiałów faktograficznych. Przeprowadziłem liczne i długie rozmowy z tymi wszystkimi, którym hasło jazz w Poznaniu nie było obojętne. Tą drogą składałem im serdeczne podziękowania. Jest mi tym bardziej miło, że w każdym (!) przypadku spotykałem się z niezwykle przychylnym, serdecznym przyjęciem i każdorazowo otrzymywałem wyczerpujące informacje. Szczególnie ważnymi były impresje Jerzego Miliana, Andrzeja Wróblewskiego oraz – nieżyjących już dzisiaj – Zofii Komedowej, Aliny Grzewińskiej, Zenobii Trzcieskiej, Ireny Orłowskiej.

Poprosiłem wybitnego muzyka amerykańskiego, Dave Brubecka, by napisał garść impresji związanych z jego legendarnym, wtedy i teraz, pobylem w Polsce i w Poznaniu. List Dave Brubecka stanowi specyficzny epilogu tej książki. Osadzona w realiach lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, opowiedziana przez najbliższych Komedy, ukazuje niezwykle fenomen muzyki, kariery oraz osobowości Komedy.

Piątkowski dotarł do informacji oraz materiałów, które Czas Komedy uwiarygadniają i ukazują czas Krzysztofa Trzcieskiego, jako ważny etap kreacji całej polskiej szkoły nowoczesnego jazzu. Niezwykły album dopełniają – wcześniej nie publikowane – fotografie Marka Karewicza, nestora fotografików jazzu, który przepięknie udokumentował swoje spotkania z Komeda, jego muzyką i zespołem w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Dopełnieniem albumu jest płyta CD, z unikatowymi nagraniami Sextetu Komedy zrealizowanymi w studio Polskiego Radia w Poznaniu w latach 1956-57.

CO PAN ROBI, ŻE SIĘ PANU NOGI NIE MYLĄ?

Wywiad z Robertem Napieralskim, organistą poznańskiej Fary
rozmawia Natalia Mikołajska

Robert Napieralski – lat 37 – to koncertujący organista farny z Poznania. Jest absolwentem poznańskiej Akademii Muzycznej, a organy w Farze zna od największej do najmniejszej piszczałki – regularnie grywa na nich cykl koncertów, których jest pomysłodawcą, a które nazywają się – każdy z osobna – „Ladegast po zmroku”. Wprowadza na nich gości na empore chórową i pozwalając spoglądać sobie przez ramię i przez nogi (tak, tak – przez nogi, bo niektórzy tak mają, że patrzą na te biegające po pedałach nogi jak urzeczeni) prezentuje możliwości tego wielkiego instrumentu.



Zacznijmy może od pewnego komentarza – są przecież sprawy, które wymagają odpowiedniego naświetlenia, objaśnijmy więc zdjęcie:

Otóż, widzimy na nim mój obiekt zakochania, czyli nogi Roberta Napieralskiego. Co prawda są one w takiej pozycji, w której *nic się nie zagra* (są to słowa pana Roberta), ale ja zawsze coś bym tam pobrzdąkała, a poza tym przyznam, że nie miałam odwagi poprosić go o zagranie utworu muzyki organowej, autorstwa

Amerikanina Gordona Younga, przez który w tych nogach się zakochałam (zresztą chyba i tak wtedy akurat nie było to możliwe) Podczas tej kompozycji nogi organisty tak pięknie biegają po całej klawiaturze dolnej, że nic tylko kochać. W wywiadzie też o nich porozmawiamy – dopiero na końcu, żeby wszystko nie było tak prosto z mostu i od razu kawa na łąwę. Zresztą do omówienia jest wiele spraw z papieską „Barką” i polską dbałością o organy na czele. Zacznijmy jednak od kościoła:

CZĘŚĆ I: ORGANISTA I JEGO KOŚCIÓŁ

Od kiedy jest pan organistą w Farze?

Zostałem nim jakoś tak w roku 2002 – nie pamiętam dokładnej daty, przy czym zaznaczam, że jestem jednym z kilku organistów którzy grają we Farze. Grywam również na stałe w parafii pod wezwaniem św. Barbary w Luboniu Żabikowie.

Czy swoje życie podporządkowuje pan kościołom. Czy rytm dnia wyznaczają panu msze święte?

Nie, coraz mniej. Chciałbym robić wiele innych rzeczy i nie chcę, żeby przyłgnęło do mnie określenie, że np. jestem jakimś dzwonnikiem z Fary, że mieszkam i żyje w Bazylice. Poza tym jestem tylko drugim organistą farnym. Pierwszym jestem – jak już mówiłem – w Luboniu, ale i tak staram się mieć jakieś normalne życie poza kalendarzem liturgicznym. Jednak muszę przyznać, że w pewnym stopniu rytm dnia i tak wyznaczają mi msze święte... Tak powiedziałem.

A co parafianie? Jak ocenia pan parafian w Farze i ich poziom rozśpiewania? Czy śpiewają chętnie, odważnie czy wręcz przeciwnie?

Zacząć trzeba od tego, że parafia farna jest dość trudną parafią – to jest stara dzielnica Poznania, więc parafianie też już swoje latka na karku mają. Raczej nie ma tu ludzi młodych, o dzieciach już nie wspominając. Za to są goście, turyści i dużo osób przygodnych. A z samym śpiewem w Polsce to jest tak, że śpiewamy coraz gorzej, więc jak wszyscy oni – i parafianie i goście – zbiorą się do kupy, to wychodzi im to raczej kiepsko, chociaż my organiści niewiele możemy o tym ich rozśpiewaniu powiedzieć, bo mamy przykazane cały czas śpiewać, a wtedy nie słychać już nielicznie zgromadzonych, słabo śpiewających wiernych.

Słyszałam, że dobry organista musi najpierw dobrze wychować sobie parafian. Co pan myśli?

Myślę, że to bardzo mądre, bo rzeczywiście trochę tak jest. Ludzie przyzwyczajają się do organisty i organista przyzwyczaja się do ludzi, aczkolwiek często jest to proces trwający latami. I mówię to z doświadczenia parafii, w których grywałem i z doświadczenia parafii w Luboniu – tam nie muszę nic śpiewać, bo śpiewa cały kościół. Chociaż prawdą jest też to, że czasami kaleczą niektóre pieśni, śpiewają niewłaściwie, bo albo sami ze śpiewnika nauczyli się źle, albo inny organista grał to trochę inaczej...

Inaczej ich sobie wychował?

Tak, to jest właśnie to. Bo potem ja, przywracając tę wersję ze śpiewnika, szkole ludzi. Jednak to też jest złożone, bo najpierw trzeba dogadać się z proboszczem. Proboszcz

musi zaufać organiście i pozwolić mu zrobić pewne rzeczy. Ważne jest też jak będziemy to robić – czy będzie to rewolucja, czy też stopniowe wprowadzenie pewnych nowych elementów.

A kościoły i tak będą śpiewać po swojemu, czyli wolno i przeciągle.

W ogóle większość kościołów jęczy, zarzyna pieśń czy też, jak to pani mówiła, przeciąga, a kiedy organista przejmuje tę manierę, to wtedy mamy porażkę, nie idzie tego wytrzymać. Tymczasem pieśni kościelne mają w nutach zapisane pewne metrum, do którego należy dojść. Np. oddechy odgrywiają tu ważną rolę, ale wcale nie jest łatwo zmusić ludzi, żeby oddychali tam gdzie oddychać mają, a nie tam gdzie im się podoba. Dlatego organista ma straszne trudności z wychowaniem sobie parafian.

Podobno, żeby być organistą, trzeba mieć silną wiarę – ma ją pan?

Organista kościelny spełniać ma jakąś misję, jakieś posłannictwo, musi zмагаć się ze swoją wiarą, rozwijać ją, pielęgnować i krzewić wśród ludzi. Jeśli będzie ateistą, to ta jego muzyka będzie pusta, nie będzie niosła w sobie tej treści, którą nieść powinna. I wszystko to, pomimo świetnego talentu organisty. Więc według wszystkich dogmatów, które mamy jako organiści, organista powinien wierzyć.

Pan wierzy?

Tak, wierzę. Nie wiem jak inni, ale ja myślę, że my – organiści – mamy z tym pewien problem. Pracujemy w kościele, robimy rzeczy na pograniczu wiary, posługi i wypłaty, bywamy zmęczeni i po prostu znużeni ilością liturgii w niedziele – z reguły mamy ich wiele, czasami 6, bywa że więcej, a za każdym razem jest to samo i wkrada nam się w to rutyna. Potem szukamy w niej Pana Boga, czyli jest problem, bo nie ma tu już miejsca na refleksję, tylko na czytanie np. „Przewodnika Katolickiego” na ósmym już kazaniu, bo ile można? I to są problemy, z którymi się zmagamy. Myślę że wielu organistów tak ma.

Co odróżnia granie w kościele od grania na koncertach?

Granie w kościele to dość nietypowa profesja. Po pierwsze godziny tego grania – my organiści gramy wcześniej rano, kiedy ludzie

dopiero potem idą do pracy, albo gramy wieczorem, gdy wszyscy już odpoczywają, a my wtedy właśnie zaczynamy naszą wieczorną pracę. Albo w święta i niedziele...

Właśnie, jak to jest z tym, że najwięcej pracy ma pan w niedziele, kiedy inni – mniej lub bardziej – sobie odpoczywają?

To jest trudne, choć może nie dla mnie – ja już się przyzwyczailem, robię to od dwudziestu lat i dlatego dla mnie to normalne. Po prostu nie ma czegoś takiego jak dzień, w którym nie idę i nie działam w kościele, Gorzej mają moje dzieci, bo w niedziele nie mam czasu na zabawy z nimi. Nie ma też spotkań rodzinnych, ani spotkań z innymi ludźmi. Ja mam wolne poniedziałki, a nie weekendy. Takie życie organisty.

Smutne.

Nie. Kwestia przyzwyczajenia, bo zmieniają się tu pewne wartości i obciążenia. Problem pojawia się, jeśli ktoś sobie z tym nie radzi i próbuje na siłę to godzić. Chociażby, ja nie mogę wziąć w wakacje urlopu, bo tak to już jest, że organista mało zarabia, a w wakacje są śluby, na których można sobie dorobić... Generalnie jest ciężko, trzeba zaciskać zęby i czasami gra się siłą woli. Ja np. łączę dwie parafie, bo inaczej nie mógłbym zapłacić rachunków – nie ma innej opcji, trzeba walczyć.

Czy wydarzyło się coś niespodziewanego podczas pana pracy organisty?

Przed wszystkim miejsce, w którym gram. Nigdy nie spodziewałem się, że chłopak ze wsi trafi na posadę do Fary, gdzie będzie grał na takim instrumencie. To było marzenie ściętej głowy... Nie, w ogóle nie było takiego marzenia, ani nawet myśli.

A teraz na koniec tej części wywiadu mam takie pytanie ni z gruszki ni z pietruszki. Otóż, czy myśli pan, że kiedy będzie już na emeryturze, to jeszcze będzie pan grał na organach w Farze? Zwykle organiści tak mają.

Myślę że niestety najczęściej to kiepskie warunki finansowe decydują o tym że ta funkcja to wyrok dożywotni. Naprawdę, chciałbym nie musieć do śmierci pracować jako organista. Przeżywając jesień życia chcę jednak, oczywiście od czasu do czasu mieć możliwość pogrania sobie na dobrych organach...



CZĘŚĆ II ORGANISTA I JEGO LADEGAST

Czy są organiści, od których się pan uczy, których podziwia, którzy mają na pana jakiś większy wpływ?

Na początku edukacji muzycznej to oczywiście pedagodzy, nauczyciele gry na instrumencie, profesorowie byli takimi ludźmi, od których człowiek czerpał, ale kiedy skończyło się edukację, to się nagle skończył również ten kontakt z profesorem. Wtedy musisz sam zdecydować co będziesz robić. Można dalej studiować, ale ja zdecydowałem, że złożę rodzinę. Grając we Farze mam stały kontakt z zabytkowym instrumentem, który potrafi swoim brzmieniem motywować do pracy, który inspiruje muzyka na wielu płaszczyznach i wymusza stały rozwój. Zatem, to instrument może być tu twoim nauczycielem.

A wszystkie te wielkie sławy w muzyce organowej z całego świata, które przyjeżdżają do Fary grać na Ladegaście?

Właśnie, ponieważ oni przyjeżdżają tu na festiwale i koncerty, a organy wymagają obecności asystenta, to ja będąc takim pomocnikiem, mogę spokojnie ich obserwować i korzystać ile i jak chcę. W te wakacje byli tu np.: wspaniały organista Hans Fagius ze Szwecji czy profesor Eric Lebrun z Francji, i ja widziałem, a nie tylko słuchałem ich grę. Myślę, że z tego można czerpać naprawdę dużo – choćby dobór repertuaru, poznać sposób w jaki grają, jak posługują się instrumentem. Powiem więcej: teraz, oprócz samego Ladegasta – jak

mówiłem – to właśnie oni są moimi pedagogami.

Pan pomaga im grać?

Znam dobrze moje organy. To duży instrument mechaniczny bez współczesnych udogodnień, które pozwalają na szybkie i precyzyjne zmiany brzmienia. Dlatego ktoś musi to zmieniać i do tego wykonać tę pracę tak, aby zmiany barw w organach następowały płynnie i w zamierzony przez wykonawcę sposób. Tym właśnie zajmuję się rejestrator. Pomagam organistom – również, a może przede wszystkim tym koncertowym – panować nad instrumentem, włączając i zmieniając głosy organowe, czyli precyzyjnie realizując zamysł wykonawcy.

A czy są organiści *stricte* kościelni znani na świecie i w skali całego kraju?

Koncertowi organiści zawsze potrafią zagrać w kościele. Generalnie to jest tak, że organy – te najlepsze – stoją w kościołach, więc ludzie grający na nich muszą w końcu, chcą czy nie chcą, trafić do kościoła. Oczywiście, niektórzy wirtuozi mogą dawać tylko koncerty, ale zwykle to jest tak, że grają również na mszach i robią to bardzo dobrze, bo dodają do tego swój talent improwizatorski i wykonawczy.

Czym różni się granie kościelnej muzyki organowej od innej, również organowej?

Z reguły to jest tak, że muzyka komponowana na organy jest już uduchowiona. Kompozytorzy od razu tworzyli dla kościoła i dla Pana Boga, Często z różnych powodów. Chociaż prawdą jest też to, że niecała muzyka organowa taka jest, bo są też utwory ewidentnie nie inspirowane religijnie, całkowicie świeckie. Jednak sam instrument i miejsce, w którym ja gram sprawiają, że muszę myśleć trochę inaczej o tym co gram.

A jaka jest różnica pomiędzy organistą kościelnym a rockowym?

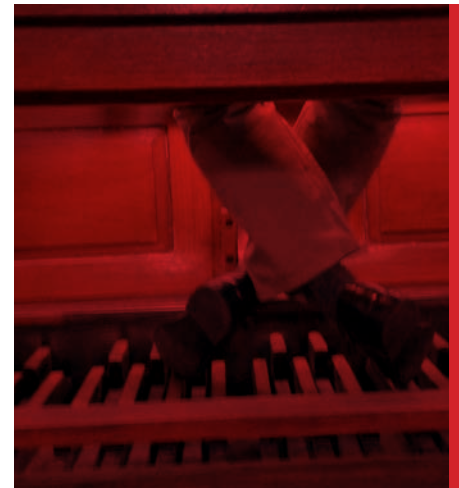
To jest zupełnie inny repertuar i inny rodzaj grania na instrumencie. Na pewno inaczej dobiera się tu barwy, ale myślę, że najbardziej restrykcyjne będą jednak kwestie dotyczące tego co ja mogę zagrać. Na Organach Hammonda organista właściwie może wszystko, na co tylko pozwalają mu talent i umiejętności.

W kościele wszystkiego nie można?

Organista kościelny ma pewne wytyczne, których powinien się trzymać, żeby ta jego muzyka nie poszła za bardzo w stronę rozrywkowej, jazzowej czy popowej. To jest pewien określony styl, który powinien być charakterystyczny, stonowany i w jakiś sposób stosowny co do miejsca, w którym się gra.

A czy na organach kościelnych można zagrać wszystko?

Są gatunki muzyczne, których organista nie powinien nawet próbować przemycić do liturgii. Jest to każda muzyka ewidentnie świecka, czyli rozrywkowa, popowa, jakiś heavy metal i te sprawy. Na organach można by, oczywiście to zagrać, ale nie robimy tego w czasie mszy, nie improwizujemy w tym stylu, nie próbujemy przemycić do liturgii różnych świeckich elementów. To jest inny zakres i istnieją tu pewne zasady, które mówią co, jak i w którym miejscu grać. Na mszy świętej tego powinniśmy się trzymać.



CZĘŚĆ III: ORGANISTA I JEGO PIEŚNI

A jak wygląda kwestia dobierania pieśni podczas mszy świętej – wybiera je pan sam czy też decyzję podejmuje tu celebrans, czyli ksiądz, który daną mszę odprawia?

O! To jest bardzo złożona sprawa. Przyjęte jest, że to organista dobiera pieśni, bo to jego robota. Ale najpierw trzeba wiedzieć jak to zrobić. Tu jednak jest problem, bo wielu organistów po prostu tego nie umie. Wtedy od razu jest kłopot, bo możemy grać

sobie to co umiemy, co lubimy albo to co słyszeliśmy na jakiejś pielgrzymce. Tymczasem są zasady, które mówią jak dobiera się pieśni do liturgii. Trzeba tylko je znać i stosować, co w dobie Internetu naprawdę nie jest trudne.

A celebrans nie ma tu nic do gadania?

On zawsze ma ostatnie słowo, bo celebrans generalnie jest szefem od liturgii. Jeżeli ma cienkiego organistę, to myślę, że musi wszystko mu powiedzieć, ale jeśli ten organista wie co robi, to oprawa muzyczna mszy św. jest kwestią sporadycznego dogadywania się i wcześniejszego ustalenia pewnych zasad, w których potem stale będziemy się poruszać. Pewnie, że czasami proboszcz może zadzwonić i powiedzieć: dzisiaj mi zagraj to i to, bo mi to pasuje do mszy i do kazania. Wtedy jak najbardziej trzeba to uwzględnić, ale jednak nie zawsze...

Nie zawsze?

No cóż, bywają proboszczowie, z którymi stale są problemy, wciąż się z nimi dyskutuje... ale zawsze na końcu, mimo tych tarć, można dojść do konsensusu, zbudować zaufanie i zdrową relację między organistą i proboszczem.

W kościele, przy każdej okazji, gra muzyka (ślub, chrzciny, pogrzeb, itd.), przy której z tych okazji pan najlepiej się czuje?

Trudno powiedzieć, choć na chrztach to jest tak, że organista właściwie nie gra. Długo myślałem, że najbardziej uroczyste są pogrzeby z tą swoją smutną, poważną i stonowaną stylistyką pieśni.

A nie śluby?

Śluby w kościele katolickim są coraz gorsze. Coraz rzadziej ludzie przychodzą się modlić i przeżywać liturgię, a coraz bardziej chcą zrobić ze mszy świętej cyrk. Z kamerzystą, z aparatami, z muzyką popową. Zachcianki par młodych tyżące się tego co organista ma zagrać, są coraz bardziej chore i nie można na nie się zgadzać. Ja często kłócę się z młodymi i mówię im: proszę poszukać sobie innego organisty, bo ja tego ślubu państwu nie zagram.

Ostro... Dlaczego nie chce pan grać?

Bo po prostu nie chcę w kościele na mszy grać Leonarda Cohena, muzyki popowej

ani „Księżciu jestem przeznaczona” Dody. Bo akurat to im się podoba. To tak jakby zupełnie nie wiedzieli gdzie są i co się w tym miejscu dzieje, albo raczej dopiero zadzieje w dniu ich ślubu. Zresztą, w kościele nie wypada grać popowych piosenek, nawet tych z odpowiednio zmienionym tekstem.



CZĘŚĆ IV: ORGANISTA I JEGO MUZYKA

Na ilu instrumentach umie pan grać?

Tak właściwie i z czystym sumieniem, to powinienem powiedzieć, że na żadnym. Bowiem muzyk doskonalili się przez całe życie. Można więc powiedzieć, że mam pewną wiedzę i posiadam jakieś umiejętności do gry na organach, ale mógłbym wciąż je doskonalic i ciągle się rozwijać. Także myślałem tak naprawdę, że nic nie uprawnia mnie do powiedzenia, że umiem grać na organach.

Ale mi w tej chwili chodziło o instrumenty nie będące organami.

To odpowiem, że troszeczkę na fortepianie, bo na studiach miałem go jako dodatkowy instrument. Jednak nigdy nie zaryzykuję stwierdzenia, że jestem pianistą albo tym bardziej fortepianistą. Miałem też klawesyn i dlatego znam sposób grania na klawesynie. Zresztą miałem pod palcami różne instrumenty, ale żeby na czymś grać, to trzeba się temu poświęcić. Ja najwięcej gram na organach, ale powiem jeszcze, że mam w domu trąbkę, w którą dmucham, jak jest cicho i nikt nie słyszy.

Dlaczego wybrał pan organy?

W zasadzie to był przypadek. Zdawałem do średniej szkoły muzycznej na ul. Głogowskiej w Poznaniu, a fortepian był tam tak obłożony, że generalnie nie było szans się dostać. A ja naprawdę chciałem uczyć się grać na pianinie dalej – rodzice opłacali mi lekcje w podstawówce – pomyślałem więc: może organy? Tym bardziej, że po raz pierwszy grałem na nich w wieku lat 13. Było to dzięki jednemu z moich nauczycieli pianina, który był organistą. Ktoś mi wtedy podpowiedział: „Spróbuj. Może się uda”. Spróbowałem, udało się i od tego momentu jestem organistą.

A ma pan w domu fortepian?

Mam instrument elektroniczny. Jest on mniejszy z powodów czysto lokalowych. To pianino jest na tyle lekkie, że można je bez problemu przesuwać, a nawet przemieścić. Bardzo przydaje się do ćwiczeń, do ruszania palcami.

Jaki jest pana ulubiony kompozytor muzyki organowej?

To Louis Verne. Pisałem o nim i jego symfoniach organowych pracę magisterską. Był komponującym organistą w katedrze Notre-Dame w Paryżu. Dodam, że zmarł w czasie swojego ostatniego koncertu.

Czy sam pan też komponuje?

Generalnie nie, żadnego utworu jako takiego nie skomponowałem, ale udało mi się napisać fanfary dla poznańskiego kościoła pw. Najświętszej Krwi Pana Jezusa na ul. Żydowskiej. Przy ołtarzu jest tam obraz odsłaniany na każdej mszy i w czasie tego odsłaniania słychać moje fanfary. Przy zasłanianiu też można sobie ich posłuchać.

A jakiej muzyki, jeśli w ogóle, słucha pan nie w kościele i nie wtedy, kiedy żona – śpiewaczka operowa – ćwiczy?

Mało czasu jest, żeby słuchać czegośkolwiek. Zresztą ostatnio doszedłem do wniosku, że trzeba gdzieś wywieźć te setki compactów, które mam, bo kiedyś miałem też więcej czasu do słuchania, ale teraz to już go nie ma. Jednak jeśli już uda mi się gdzieś – najczęściej w samochodzie – czegoś posłuchać, to słucham wielu różnych rzeczy.

Czyli?

Niekoniecznie klasyki, choć, oczywiście, również muzykę organową. Ostatnio słucham

polskiego reggae, czyli głównie „Mesajah”. Generalnie to jest tak, że jak mam płytę, to ją włączam. Kiedyś słuchałem też metalu. Lubię bardzo polską rockową „Comeę”, słucham także polskiego jazzu, choć nie będę tu wymieniał nazwisk, ale np. jazzujący fortepian to jest to. Ostatnio ukazała się płyta z improwizowaną muzyką filmową graną właśnie na fortepianie przez gościa, którego nazwiska nie pamiętam... Takiej muzyki słucham.

A nie ma pan ochoty czasami zamienić Fary na sceny klubowe, zostać organistą rockowym i grać na Organach Hammonda?

Nigdy – to jest świat zupełnie mi nieznamy. Co prawda, wiem co to są Organy Hammonda, miałem kiedyś nawet okazję ich dotknąć, ale sposób grania i muzyka, która jest związana z tym instrumentem, to zupełnie nie moja bajka. Zresztą ja od zawsze na organach chciałem grać w dużym kościele. Marzyła mi się paryska katedra Notre-Dame, ta od mojego ulubionego kompozytora muzyki organowej, więc Fara to dla mnie takie niezwykle objawienie – jest wielka przestrzeń, wspaniały kościół i duże ciekawe organy.

Grał pan w tym Paryżu?

Tak. Byłem, dotykałem, grałem i nawet śpiewałem.

„Barkę”?

Dlaczego pyta pani o tę akurat piosenkę?

Nie do końca wiem, może dlatego, że jest to bardzo popularna pieśń papieska. Tak bym rzekła. Chodzi chyba też o to, że śpiewa się ją zawsze i wszędzie.

Przed wszystkim nie nazwałbym jej pieśnią. To jest piosenka i nikt jeszcze nie zatwierdził jej jako pieśni. Myślę, że nie powinno jej się grać w czasie mszy, bo nie ma w sobie nic z powagi, która mszy się należy. Zgoda, ona jest popularna, ale dlatego tylko, że kojarzy się z Janem Pawłem II. I nic więcej. Powtórzę więc, że myślę, iż nie należy jej grać w czasie mszy świętej. Można za to ewentualnie na jej koniec.

Jeśli jednak „Barka” grana będzie na końcu mszy św., to znając nasze społeczeństwo, które opuszcza kościół zaraz po tym jak ksiądz przekroczy próg zakry-

stii, to będzie ono bardzo niezadowolone. Ma pan na to jakiś pomysł?

Edukować, edukować i jeszcze raz edukować. Zwykli ludzie czy też – powiedzmy górnolotnie – lud boży powinien wiedzieć co wolno grać w kościele, jakie pieśni są godne mszy świętej, a jakie nie. I tyle.

Bierze pan udział w konkursach dla koncertujących organistów?

Nie, obecnie nie.

Przecież wymyślił pan – niedawno w sumie – „Ladegasty po zmroku”.

Tak, ale koncerty organowe i konkursy to są dwa różne światy. Ja zawsze chciałem grać dla ludzi i zmagania konkursowe to nie moja bajka – za duży stres, człowiek strasznie się spala. Brałem kiedyś, jeszcze na studiach udział w takich konkursach i raz czy drugi się przejechałem, bo bywało tak, że pomimo, że lepiej się zagrało, to wygrał ktoś inny, protegowany jakiegoś profesora. Poza tym, trzeba by tym konkursom podporządkować całe życie. Stwierdziłem więc, że nie chcę się w to angażować.

Pan ma inne ambicje.

Aby brać udział w konkursach, trzeba by po studiach podjąć kolejne studia i całkowicie tym konkursom się poświęcić, stale ćwiczyć i brać udział w nowych rywalizacjach z ludźmi ze światowej czołówki, którzy przede wszystkim grają i chyba nie robią nic więcej. Tymczasem ja mam rodzinę, dzieci, pracę, w której robię to co kocham i jeszcze inne pasje i pomysły, którym chciałbym się poświęcić... Żyć, nie umierać.

Ale zaraz, zaraz – z tego wynika, że ci koncertujący organiści, którzy przyjeżdżają na ‘Staromiejskie Koncerty Organowe’ nie mają życia. Czy to chciał pan powiedzieć?

Nie, nie, nie. Jeśli ktoś chce i umie połączyć te dwie sfery – konkursy i życie osobiste – to świetnie. W ogóle dobrze, że tacy ludzie są na świecie. Ja po prostu uznałem, że taka ciągła walka jest nie dla mnie.

Jak często grywa pan z chórem? Piję tu do tego „Ladegasta po zmroku”, na którym byłam, pan grał, a chór śpiewał. To chyba był „Wieczór Romantyczny”.

To był chór mojej koleżanki i ja czasami im akompaniuję, jeśli mają taką potrzebę. Jednak nie współpracuję na stałe z żadnym chórem, choć muszę powiedzieć, że podobna mi się połączenie chóru z organami, bo to jest taka muzyczna pełnia, ale niestety, nie za bardzo mam na to czas. Przecież organista, który w niedzielę musi zagrać osiem mszy, nie pojedzie sobie nagle na jedno czy drugie tournée. W próbach też nie będzie uczestniczył, jak umrze mu jeden czy drugi parafianin i trzeba będzie grać na pogrzebie.

Czy myśli pan, jak Friedrich Ladegast, że organy farne powinny dawać koncerty tak jak dają, szczególnie w lecie?

Jak najbardziej. Myślę, że to jest jedyna słuszną drogą dla instrumentu, który stoi w kościele, by grał. Jeżeli organy przestają grać i używane są tylko w niewielkim zakresie, to niszczej, umierają albo po prostu psują się – można też tak to powiedzieć. Tymczasem koncert wymusza sprawność instrumentu na sto procent, a to z kolei nakazuje dbałość o niego na bieżąco. Jest to zależność, która w naszym kraju kuleje.

To znaczy?

Bardzo często organy w Polsce są, ale nikt ich nie stroi. Natomiast tu w Farze – i tym trzeba się chwalić – mamy, na szczęście, organy koncertujące, na których przez cały rok grają naprawdę różni ludzie – są rozmaite konkursy i pokazujemy te organy ludziom – w lecie na ‘Staromiejskich Koncertach’, a w ciągu roku na krótkich koncertach w południe w soboty. Do tego grania trzeba organy przygotować i naprawdę kosztuje to wiele wysiłku organizacyjnego i takiej pracy często niedocenianej, powiedziałbym nawet powtarzając za pozytywistami – „pracy u podstaw”.

A pan, panie Robercie, grywa też w soboty?

Zdarza mi się, ale ja generalnie jestem organistą liturgicznym, więc w soboty akurat z reguły mam pogrzeby w Luboniu. Dodam, że bardzo często wskakuję na te koncerty awaryjnie, bo ktoś wypadł, a ja akurat w sobotę nie mam pogrzebu. One trwają około pół godziny, bo o 12.45 i tak jest msza święta.



Zawsze gra pan z nut, czy zdarza się panu graniu z pamięci?

Generalnie gram z nut, choć są, oczywiście pieśni, nie utwory, te raczej krótkie, które mogą jechać z pamięci.

CZĘŚĆ V: ORGANISTA I JEGO SPRAWA NOŻNA

Lubi pan swoje koncerty „Ladegast po zmroku” – że ludzie patrzą panu na ręce, a i czasami też na nogi?

To moje dziecko, to jak mam nie lubić? A do patrzenia to najpierw trzeba się było przyzwyczaić – przecież organista generalnie to jest chłop schowany, a to bardzo wygodne: siedzę sobie, robię co chcę, mogę nawet leżeć na ławce w czasie kazania, można więc powiedzieć, że jestem odcięty od świata. A „Ladegasty” powstały w odpowiedzi na dwie kwestie – po pierwsze, że ludzie chcą słuchać koncertów, a po drugie, że chcą też zobaczyć organistę przy pracy.

I jak pan pracuje w czasie „Ladegastów”?

Oprowadzając wycieczki, najczęściej spotykam się z wielkim zaskoczeniem: „ja pierwszy raz widzę organy”; ludzie pytają mnie: „jak to działa?” albo „organista gra noga-

mi?”. Większość ludzi widziała pianistów, bo to jest łatwe do zobaczenia i potem dziwią ich, jak panią – proszę się nie czerwienić... – a więc, dziwią ich te nogi.

Co mam się nie czerwienić? Jak mam się nie czerwienić? Mój nauczyciel od muzyki z podstawówki był i stale jest moim organistą, więc po co miałam mu się przyglądać. Jaki dzieciak z podstawówki lubi patrzeć na swoich nauczycieli?

Tak, ale przede mną nie trzeba się czerwienić. Wracając do pytania: ja dzięki „Ladegastowi” zacząłem np. zastanawiać się jak siedzę i jak wyglądam, czy może za bardzo się nie garbię. To, że ludzie weszli mi na chór sprawiło, że muszę myśleć o rzeczach, na które wcześniej nie musiałem zwracać uwagi. Mogłem być krzywy, źle ubrany, mogłem być takim Quasimodo. To jest ogromny plus tych koncertów, nieznanym raczej wśród organistów w Polsce, bo takich koncertów w naszym kraju raczej nie ma, bowiem nie ma miejsca, a w Farze na chórze mieści się do 50 osób.

A jak było na pierwszym takim koncercie?

Zbyt byłem spanikowany i zestresowany, żeby pamiętać.

Dlaczego ponoć to jest tak, że organista zmienia buty przed graniem?

Technika pedałowa i sam instrument wymagają pewnego podejścia. Organista ma precyzyjnie trafić w dźwięki na raczej wąskich klawiszach pedałowych i dlatego dobrze by było, gdyby miał do tego odpowiednie buty. I są takie specjalne przeznaczone *stricte* do grania na pedałach – one nie mają podeszwy, tylko skórę, dzięki czemu jest niby lepsze czucie. Powiem pani, że mam takie buty, ale strasznie ich nie lubię i mnie wkurzają.

Właśnie widzę, że te pana buty raczej skórzane nie są, a przed chwilą skończyła się msza.

Jak mówiłem – strasznie nie lubię tych organowych butów. Dlatego noszę zwykłe wąskie, na niewielkim obcasie, dopasowane i kupione w normalnym sklepie. Mogę sobie w nich chodzić również na ulicy. One są proste, klasyczne, nie mają wydłużonych nosków, czubków ani żadnych dziwnych kształtów, które tylko utrudniałyby mi grę.

A teraz najważniejsze pytanie: co pan robi, że nogi się panu nie mylą?

Ale właśnie mylą się, Każdemu się mylą. Generalnie jednak to jest kwestia ćwiczeń.

Tak po prostu?

Tak to się dzieje – setki powtórzeń tego samego powodują, że nogi – wszechwiedzące nogi – same wiedzą co mają robić.

SUN FLOWER ORCHESTRA

IN LOVE SYMPHONIC

In Love Symphonic może nie jest tytułem wiele znaczącym, by rzec banalnym, ale po wysłuchaniu CD ma się nieodparte wrażenie, że twórcy i wykonawcy spod znaku Sun Flower Orchestra opanowali warsztat muzyczny do doskonałości.

KRZYSZTOF WODNICZAK

Nie sposób w krótkiej recenzji wymienić kilkudziesięciu muzyków w pełni podlegającymi rygorom kompozytora Piotra Wizy i koncertmistrza Mariusza Dereweckiego, którzy podali się narzuconemu schematowi w dur i moll. Oczywiście, że można wychwycić pojedyncze nuty znane z bogatego katalogu muzyki filmowej. Nieznacznie wyciska wówczas piętno na twórczości. Tak różnorodny skład uczynił brzmienie zespołu nieco eklektycznym, ale w sensie pozytywnym. Każdy z muzyków z osobna udzielił brzmieniu część swego „ja”, a jeszcze swoją pieczęć przyłożył realizator dźwięku Przemysław Służyński.

Dla przeciętnego słuchacza muzyka grana przez Sun Flower Orchestra jest dość trudną w odbiorze i wymaga dużego osłuchania w tym rodzaju muzyki. Jest ona dziedziną niezmiernie szeroką w pojęciu muzycznym, zachaczając nawet o jazz, podobnie szeroki w pojęciu stylu. Dziedziny te w sposób płynny i harmoniczny często się uzupełniają. Jak zwykle bogactwo brzmień zależy od kilku czynników. Jednym z pierwszych jest znajomość fachu muzycznego przez kompozytora, który w pełni świadom zaangażował takich, a nie innych muzyków. Drugim tak samo ważnym elementem jest wyobraźnia i rozumienie przebiegu dźwięków w oparciu o zastosowaną skalę. Z tymi pojęciami bywa różnie. Jednak w odniesieniu do tego rozbudowanego ansamblu należy zauważyć, że sztuka muzyczna jest doskonale znana wszystkim członkom zespołu. Piotr Wiza świadomie gra konwencjami, inicjuje przy tym różnorodnością mającą charakter sfabularyzowanej manifestacji związku ze źródłami, partyturami sięgającymi do baroku. Utwory Piotra Wizy charakteryzują szerokie płaszczyzny dźwiękowe, nadające nie



wszystkim utworom wydźwięk monumentalny. Głos wokalistów Dariusza Rennera (najciekawsze wykonania Love zza strory, To nie tak miało być czy Nie lękaj się) i Magdy Dureckiej (Pomiędzy nocą a dniem i Na co nam to było) przypominał mi nawet chwilami amerykańskie musicale rodem z Broadwayu. Podobieństwo tkwi w wykonawczym wokalu, sekcji dęciaków i rytmicznej oraz gitary kreślącej nowoczesne linie melodyczne.

Te związki, raz mocniej, raz słabiej są akcentowane, ale trwają. Stały się kanwą do

złożonej, głębokiej i pełnej wypowiedzi. Warstwa semantyczna nie jest pozostawiona sama sobie lecz współgra i współtworzy zrębek czegoś nowatorskiego (choć w rocku symfonicznym już „zagrano i zaśpiewano” wszystko. Nowe projekty czy podejścia mogą być traktowane jako epigońskie. Osobiście zabrakło mi w brzmieniu Sun Flower Orchestra pewnej precyzji, jakiegoś wykończenia dźwięków płynących z kolumn nagłośnieniowych. Ale całość zachwyca...

SZTUKA ORKIESTRY CZY ORKIESTRA SZTUKI ?

Życie muzyczne w dobie internetu zmultiplikowało się. Niby nic w tym złego, stare powiedzenie poucza, że „od przybytku głowa nie boli”, ale wcale nie mam pewności, czy ów nadmiar nie wychodzi nam już bokiem. Muzyki wydawanej na płytach mamy coraz więcej, a słuchaczy niekoniecznie. Owszem w rogu obfitości jest co wybierać, ale kaliber jakby nie ten.

KAZIMIERZ MILER

Nie twierdę, że w moim pokoleniu i w młodszych rocznikach nie ma bardzo dobrych twórców. Ale gdzieś się zapodziała „charyzma”, autorytet, przypieczętowana marka. Taką starał się spozycjonować m.in. Piotr Rubik i wyszło mu to na dobre. Ciągłe jest twórczy, a w duecie ze Zbigniewem Książkiem autorem tekstów tworzą całkiem udane oratoria. Myślę, że za nim podąża nabierając właściwego kroku w podobnej konwencji stylistycznej poznaniak Piotr Wiza. Ten pierwszy pobierał nauki u samego Ennio Moricone, ten drugi zaprosił znanego kompozytora do Poznania na Festiwal TPSA Muzyki Filmowej. Piotr Rubik nagrał 11 płyt, na których znalazły się psalmy, oratoria, kantaty, a nawet fugii i toccaty. Piotr Wiza wydał jeden CD, ale jest na dobrej drodze do wydania kolejnego autorskiego krążka. Płytę Sun Flower Orchestra „In Love Symphonic” wręczył mi Krzysztof Wodniczak, abym wysłuchał – i jak mi się spodoba to zrecenzował. Krzysztofowi się nie odmawia i uznałem, że płyta Piotra Wiza zasługuje na obiektywną recenzję. Płyta jest bardzo ciekawą tak pod względem kompozycji – w większości Piotra Wiza – jak i wykonawstwa, posiada nawet elementy muzyki relaksacyjnej. Właściwe frazowanie w tematach instrumentów i wokalu dowodzi wzorowego wykorzystania podstawowych elementów muzyki takich jak: melodii, rytmu, pięknej harmonii oraz zmian dynamicznych i agogicznych.

Warstwa instrumentalna sekcja rytmiczna, gitary, instrumenty klawiszowe oraz prawie pełna paleta instrumentów smyczkowych (5,4,3,2,1) rozbudowana adekwatnie i w żaden sposób nie przykrywa dobrej warstwy wokalne (soliści Magda Durecka i Dariusz Rennert). Dodatkowym atutem tej płyty jest duża sprawność warsztatowa wykonawców w poszczególnych brzmieniach sekwencji instrumentalno – wokalne oraz całkiem zgrabnych improwizacji. Głębokich przeżyć i przyjemnego słuchania życzę.



SUN FLOWER ORCHESTRA

IN LOVE SYMPHONIC

Sun Flower Orchestra zabrzmiała jak „Electric Light Orchestra” po wysłuchaniu uwertury do oratorium „Nie lękaj się”. „Słonecznikowa orkiestra” brzmi znajomo, choć sugerować może raczej kalifornijskie klimaty, tym czasem jest to projekt rodzimy, lokalny, poznański.

ANDRZEJ WIŁOWSKI

Mam z tym pewien kłopot, bo pod szyldem kryje się sporo podmiotów wykonawczych, na co dzień osobnych. Pora rozwiązać zagadkę.

Pod tym szyldem kryje się Poznańska Orkiestra Kameralna pod dyrekcją Mariusza Derewenckiego, Piotr Wiza; kompozytor i pianista, Dariusz Rennert; autor tekstów, gitarzysta i wokalista, oraz liczni goście: Magda Durecka – wokalistka, Arkadiusz Myśliński gitara elektryczna, klasyczna, Szymon Frąckowiak gitara basowa, Maciej Muraszko, Jakub Królikowski perkusja, Krzysztof Samela – kontrabas, Maria Murawa-Fraska – skrzypce, Marcin Murawski – altówka, Lidia Michalczyk – wiolonczela, Dorota Czerwińska – mezzosopran, Anita Skrzypczak – chórki, Maciej Kociński – saksofon, Łukasz Kulczak – gitara elektryczna, Zbigniew Reszka – trąbka, Lucjan Wiza – klarnet. Album wypełnia 12 utworów, w tym dwa instrumentalne. Tytułowy „Nie lękaj się”, kompozycja Piotra Wiza do słów Grahama Crawforda znam z innego autorskiego wykonania i powiem szczerze bardziej ekspresyjnego, rockowa ballada zmieniła się w pieśń. Imponuje erudycja i inwencja kompozytora Piotra Wiza, który mógłby dostarczyć przebojów artystom rockowym, popowym i musicalowym. Pełną gamę tych możliwości prezentuje od ballady rockowej, poprzez stylizacje gospelowe, po klasycyzujące hymny.

Wrażenie osłabia trochę przewidywalność aranżacji, zwykle zaczyna się od solisty z jednym instrumentem i stopniowo dodaje kolejne plany, zagęszczając fakturę, aż do kulminacji z użyciem całego aparatu wykonawczego, jakim dysponował. Wygląda to trochę na manierę. Może lepiej byłoby rozłożyć akcenty i zbudować dramaturgie ca-



łości. Dlatego mam zasadniczą wątpliwość, czy mam do czynienia z luźno powiązаныmi utworami ułożonymi w kolekcję, czy z programowym oratorium, które musi mieć wewnętrzną dramaturgię. Niestety teksty poziomem zdecydowanie odbiegają od muzyki, choć w muzyce popularnej nie jest to aż taką przeszkodą. Sugerowałbym jednak wykonawcom sięganie po dobrą literaturę.

Teksty sobie może pisać bluesman, czy rockowiec. Dobrej poezji i wybitnych autorów tekstów nam nie brakuje. Wrażenie psuje realizacja dźwięku. Czuje się klimat studia, ale może to wynika z braku wcześniejszych wykonań z publicznością. Wiem, że to kosztowne przedsięwzięcie, ale jestem pewien, że na estradzie wrażenie byłoby o wiele lepsze. Muszę jednak wspomnieć o licznych błędach realizacyjnych; smyczki zlewają się w jedną plamę dźwięku, wyraźnie słycać, że chórki zostały wykonane

poprzez nakładki, w trakcie jednego utworu instrumenty zmieniają miejsca, co wynika prawdopodobnie z różnego ustawienia panoramy i prosi się o wpuście więcej powietrza, mam też zastrzeżenia do ustawienia dynamiki poszczególnych instrumentów.

Współczesny słuchacz jest wymagający i spodziewa się brzmienia w pełni oddającego walory muzyków. Napisałem, że ten projekt, to oratorium, choć to tylko moje domniemanie. Nie lubię słowa projekt, ale tu wyjątkowo pasuje, gdyż zebrali się muzycy na co dzień związani z estradą i akademią muzyczną, realizujący całkiem inne artystyczne gatunki, niż ten, który ja lokowałbym w nurcie zwanym „sacro song”, żeby się trzymał anglosaskiej poetyki.

Dla jednych ta formuła odwołująca się do wzorców muzyki popularnej i religijnej jednocześnie, znana pod tym hasłem, może być zaletą, wskazywać na uniwersalność przekazu, mnie to jednak nie przekonuje. Taki album mógł być nagrany wszędzie na świecie, a jednak jest polski, powiem więcej, lokalny, poznański. Myślę, że bez kompleksów możemy taką propozycję promować, bowiem mamy do czynienia z niezwykle kompetentnym i erudycyjnym personelem wykonawczym, zabrakło mi jedynie tej nuty lokalnej i radości w muzykowaniu. Powtórzę, to nie grzech, bowiem wynika ze słabego ogrania repertuaru, konfrontacji z publicznością.

A są ku temu dwie znakomite okazje; Światowy Kongres Młodzieży Chrześcijańskiej i jubileusz chrztu Polski. Nie lękajcie się promotorzy i organizatorzy jubileuszowych wydarzeń, na pewno ta propozycja spotkałaby się z dobrym przyjęciem przez młodzież starszą i tą współczesną.

DLA NOWYCH PRZYJACIÓŁ ELEONORY

W ubiegłym roku 19 grudnia ukochana przez świat ciotka Eleonora obchodziła swoje święto. W dniu jej imienin przekonałiśmy ją z uśmiechem na twarzach, że o NIEJ pamiętamy.

KRZYSZTOF WODNICZAK

W tym roku imieniny Eleonory uczciliśy 21 lutego. Przybyliśmy tego wieczoru naszą żółtą łódką o godz. 18. 00 na skraj skweru przy pomniku Starego Marycha (vis a vis Kupca Poznańskiego). Przynieśliśmy z sobą gitary akustyczne, inne instrumenty (flety, kobzy), okładki płyt winylowych z obszernej dyskografii The Beatles, podzieliłiśmy się śpiewem i radością. Pomimo

**In the town when I was born
lived a man, who sailed to sea
and he told us of his life,
in the land of submarines.**

**So we sailed on to the sun,
till we found the sea of green
and we live beneath the waves
in our yellow submarine.**

**We all live in a yellow submarine,
yellow submarine,
yellow submarine.**

**We all live in a yellow submarine,
yellow submarine,
yellow submarine.**

**And our friends are all aboard,
many more of them live next door
and the band begins to play.**

**We all live in a yellow submarine,
yellow submarine,
yellow submarine.**

jest **We all live in a yellow submarine,
yellow submarine,
yellow submarine.**

**As we live a life of ease,
everyone of us has all we need,
sky of blue, and sea of green,
in our yellow submarine.**

**We all live in a yellow submarine,
a yellow submarine,
yellow submarine.**

**We all live in a yellow submarine,
a yellow submarine,
yellow submarine.**

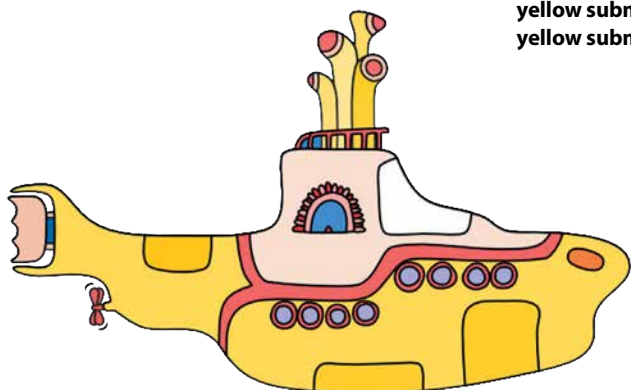
**We all live in a yellow submarine,
yellow submarine,
yellow submarine.**

**We all live in a yellow submarine,
yellow submarine,
yellow submarine.**

obfitego deszczu kilkanascie osób zagrało i zaśpiewało radosny song Yellow Submarine. Jako jeden z organizatorów tego spontanicznego spotkania odczytałem dwa teksty Eleanor Rigby i Yellow Submarine w tłumaczeniach Stanisława Barańczaka. Ten pierwszy utwór do ogólnego śpiewania jest za trudny, drugi szczególnie w Poznaniu dzięki Grupie Stress i quasi hymnie dla piłkarskiego Lecha jest do intonowania łatwiejszy. Oba te nagrania mają z sobą związek. Ukazały się na singlu w sierpniu 1966 roku. Będąc przy pomniku Starego Marycha (obiecał, że przyjdzie pomysłodawca Marycha Juliusz Kubel, ale zniechęciły go opady, podobnie jak naszego nadwornego fotoreportera Hieronima Dymalskiego), ale i tak wywołałiśmy w naszym i Eleonory życiu pozytywne impulsy połączone z eksplozją szczęścia, jaką z dożywot-

nią prolongatą zagości w jej sercu, na twarzy i otoczeniu. Znowu pokazaliśmy – jak w ubiegłym roku, gdzie liderował naszej grupie śp. Tadeusz Mandat Lisze klub samotnych serc pewnego sierżanta jest tylko wy-

tworem wyobraźni, który w rzeczywistości nie ma racji bytu. Zatopiliśmy samotność niczym Marzanę, śpiewając jej prosto w twarz, że wszystkim czego ludzie potrzebują MIŁOŚĆ. ELEONORA NIGDY NIE BĘDZIE SAMA!.



WARTO ŻYĆ NAD WARTĄ

„A nam warto żyć nad Wartą”, do tego miał nas przekonać konkurs na piosenkę o Poznaniu.

Wydawnictwo pokonkursowe „Fundacji Sceny na piętrze”, przedstawia panoramę poznańskiej piosenki. Rozmaitość stylistyczna, od disco, po operetkę, od tanga, po jazzową balladę, od klimatów latynowskich, po rapowe stylizacje, ale wszystko raczej w galanteryjnej oprawie. Po wysłuchaniu jedenastu piosenek konkursowych i dodatku, nasuwają się dwa spostrzeżenia.

ANDRZEJ WIŁOWSKI.

Po pierwsze wszystkie piosenki znakomicie zaaranżowane, a towarzyszący piosenkarzom muzycy prezentują najwyższy poziom rzemiosła, aranżacje bardzo bogate, a rzadko kto dziś angażuje duży aparat wykonawczy, całą orkiestrę do nagrania piosenki. Trzeba też oddać sprawiedliwość wszystkim piosenkarzom, że potrafią śpiewać, co nie jest tak powszechne w rodzimej produkcji rozrywkowej. Nie jedna krajowa, na siłę promowana, „gwiazdka” estrady, właśnie u konkursowiczów mogłaby pobierać lekcje śpiewu.

Drugie spostrzeżenie niestety nie napawa optymizmem, większość tekstów jest najzwyczajniej w świecie grafomańska. Kompozytorzy spisali się znacznie lepiej od tekściarzy. Wiadomo, nie łatwo napisać przebój, bo melodia musi być „chwytliwa”, niepowtarzalna, a jednocześnie łatwa, zapadająca w pamięci słuchacza. A tekst? Tu nie wystarczy jedynie sprawność w rymowaniu. No cóż spośród tych propozycji trudno wyróżnić kandydatki na przeboje. Choć nie wątpliwie taką szansę miałby utwór otwierający album – „JESIENNY TRAMWAJ NAD WARTĘ”, muz. i sł. Marek Gordziej wyk. Artur Sołtysiak. Zgrabna stylizacja na latynowską nutę. Wyróżnia się tu nie tylko głos Artura Sołtysiaka, ale także cygańsko brzmiąca gitara Witka Żuromskiego. Te atuty sprawiają, że piosenka miałaby spore szanse stać się przebojem.



„POZNAŃSKI CZAS”, muz. Kuba Stankiewicz, sł. Janusz Kukuła wyk. Inga Lewandowska. Byłaby to świetna ballada jazzowa. Byłaby, bo od znakomitej muzyki Kuby Stankiewicza zdecydowanie odstaje tekst. Inga Lewandowska ma warunki na wokalistkę jazzową. Tego numeru słucha się z nastawieniem, że można by to powtórzyć. Niestety forma muzyczna choć ciekawa, to mało przebojowa. Piosenka mogłaby stać się przebojem, gdyby zaaranżować ją na przykład jako bosanowę.

„TWÓJ POZNAŃ”, muz. Aleksander Gref, sł. Tomasz Raczkiwicz wyk. Spirituals & Gospel Quartet. Spirituals & Gospel Quartet wiedzą jak trafić do słuchacza. Ten patent się sprawdza w produkcji hitów, hymniczna konwencja

oparta na dobrych gospelowych wzorach. Spora ekspresja, a do tego, dzięki dużej orkiestrze bogate brzmienie. Prawdopodobnie i ta piosenka mogłaby stać się przebojem, gdyby nie pewien drobiazg, a rzecz dotyczy wszystkich, słuchacze nie mieli szansy jej poznać.

Album uzupełniają nagrania ARCHIWALNE/1955-1994: „POZNAŃ SIĘ BUDZI” muz. Jerzy Milian, sł. Jadwiga Urbanowicz, wyk. Krystyna Hojnowska; „POZNAŃSKA PIOSENKA” muz. Władysław Słowiński, sł. Michał Odorowicz, wyk. Rena Rolska; „TRAMWAJEM NA RATAJE”, muz. Jerzy Milian, sł. Jadwiga Urbanowicz, wyk. Małgorzata Borowska; „ZAPROSIENIE GIOVANNIEGO BATYSTY DI QUADRÓ”, muz. Jerzy Grzewiński, sł. Romuald Grzaślewicz, wyk. Edward Kmiciewicz; „POZNAŃSKA MUZYKA”, muz. Adam Brzozowski, sł. Jadwiga Urbanowicz, wyk. Mirosława Kowalak; „POZNAŃSKI LATARNIK”, muz. Mieczysław Wojciechowski, sł. Jadwiga Urbanowicz, wyk. Zofia Gładyszewska; „POZNAŃ NOCĄ” muz. Jerzy Milian, sł. Ryszard Danecki, wyk. Mirosława Kowalak; „CZEŚĆ STARY, JAK LECI/WENTA W PARKU WILSONA”, muz. Żurowski, sł. Andrzej Sobczak, wyk. Piotr Żurowski.

Kolekcje piosenek o Poznaniu na płycie wydano, ale jej nie lansowano i w poznańskich stacjach radiowych nie grano. Wykonawcy, których piosenki zarejestrowano na płycie, pytają; czy warto żyć nad Wartą? Na to pytanie nie odpowiedzą żadne konkursy, ale publiczność. Słuchacze, sięgnijcie więc po tę płytę i przekonajcie się.

WYWIAD COVEROWY

Z Darkiem Rogersem, wielkim – mieszkającym i działającym w Poznaniu – antycrossoverem, który jest kontrowersyjny jeśli o covery chodzi, porozmawiamy o piosenkach, graniu, muzykowaniu i – oczywiście – o coverach.

NATALIA MIKOŁAJSKA

Zaraz na początku wywiadu muszę wyjaśnić państwu pewną rzecz. Otóż, zasady dziennikarskiego *savoir-vivre*, do których – niestety – niewielu w tej chwili się stosuje, mówią, że w wywiadzie każdy oprawca wywiadowczy (czyt. dziennikarz albo i dziennikarka) i każda ofiara wywiadowcza (czyt. osoba indagowana) muszą zachować wobec siebie pewien dystans, polegający m. in. na tym, że powinny zwracać się do siebie *per'pan'* albo *per'pani'*. Staram się zasadę tę zachowywać i stosuję ją wszędzie tam, gdzie tylko mogę. Jednak, w wypadku tego wywiadu – mojego z Darkiem Rogersem – postanowiłam, że ponieważ znamy się już jakiś czas i współpracujemy przy pewnym projekcie, w tym wywiadzie nastąpi koniec *savoir-vivre* i dobrego wychowania dziennikarskiego. Będziemy więc zasady łamać, mówić sobie po imieniu i źle się zachowywać. Zrobimy to, ponieważ źle by to było – tak myślę – gdyby nagle wyrósł między nami chwilami-współpracownikami ten dystans.

Dodać jeszcze tu należy, że do początku lat 60-tych covery były normą wśród piosenek śpiewanych. Generalnie rzecz biorąc w tej chwili, u nas w Polsce, również są. Stąd też zaczynamy: **Natalia Mikołajska: Jak w sumie nazwałbyś to nagminne coverowanie, czyli granie i śpiewanie cudzych piosenek?**

Darek Rogers: Po pierwsze powiedziałbym raczej, że z faktycznym graniem i śpiewaniem niewiele ma to wspólnego. Dlatego też – najbardziej łagodnie – nazwałbym to muzykowaniem. **Co jeśli ktoś pisze dla kogoś i muzykę i tekst? To też muzykowanie?**

Tak, choć w nieco innym sensie. Powiedziałbym więcej – to jest aktorstwo, chociaż może raczej takie aktorskie przedszkole.

Co z tymi, którzy coverują piosenki zupełnie inaczej je interpretując? Ostatnio zrobił tak np. Mietek Szcześniak z utwo-

rem „Satisfaction” „Rolling Stonsów”. Później w wywiadzie mówił, że dzwonił do nich i podobno bardzo im się podobała ta nowa wersja.

Są piosenki coverowane przez sto tysięcy ludzi – takie jest np. „Satisfaction” – ale mimo wszystko nie są one ich własnymi piosenkami, nawet jeśli zmieniają kompletnie ich brzmienie i słyszenie, czy też będą się mniej lub bardziej produkować je śpiewając i przeżywając. Chociaż tak ładnie mówi się wtedy, że to jest ich własna, a więc zupełnie inna interpretacja. Ten twój przykład Mietka Szcześniaka jest tutaj bardzo dobry, bo to doskonały aktor właśnie.

A co z festiwalami np. Marka Grechuty, na których różni wokaliści śpiewają tylko jego utwory?

Mnóstwo jest takich przeglądów poświęconych tej czy innej osobie. Sam kiedyś na jednym z festiwali bluesowych taki wymyśliłem – Przegląd im. Tadeusza Nalepy – przy czym popełniłem wtedy, moim zdaniem, największy błąd w życiu.

Była to samowolka?

Nie, oczywiście, że nie. Jak w ogóle mogłaś posądzać mnie o coś takiego? Skontaktowałem się z żoną Tadzia. Ona, oczywiście, się zgodziła, także miałem jej pełną aprobatę.

Co więc było tym błędem?

To, że każdy zespół biorący w nim udział miał zaśpiewać trzy piosenki – jedną Tadzia Nalepy albo „Breakoutu” i dwie swoje. I takie zasady ustaliłem ja – zatwardziały antycrossoverowiec. Zrobiłem to jednak z powodu takiego zasmucenia jakie czułem po śmierci Tadzia, tego że już odszedł, nie ma go, pozostały tylko płyty i nagrania, a nie ma żywego człowieka.

Przyjaźniliście się?

Nie nazwałbym tego od razu przyjaźnią. Tadzio Nalepa był raczej moim znajomym, którego darzyłem dużym szacunkiem. Po jego śmierci wyrzucałem sobie, że nie za bardzo z nim się kontaktowałem. Jednak on ze swej strony też nie dążył do kontaktu. W relacjach między ludźmi tak to już jest, że obie strony muszą chcieć. A wracając do tego Przeglądu, to przecież mógł być im. Tadeusza Nalepy, ale z własnymi piosenkami uczestników.

A Tadeusz Nalepa wiedział o tej twojej walce z coverami?

Wiedział, jak wszyscy muzycy, z którymi się znam.

Czyli festiwale poświęcone jakiejś jednej osobie nie są w porządku?

Tak bym powiedział. Myślę, że uczestnicy wszystkich takich festiwali powinni śpiewać piosenki od siebie poświęcone danej osobie, a nie jej piosenki. Dopiero wtedy wychodzi z nich szczerłość, bo przecież ludzie mogą być zafascynowani tym czy innym muzykiem. Muzyk ten wywiera później ogromny wpływ na ich twórczość i osobowość.

Jest ich autorytetem.

Dokładnie – tym „autorytetem” może czasami być jakiegoś guru, z którego czerpie się inspirację – np. bardzo wielu gitarzystów mówi, że dla nich guru to Jimmy Hendrix. Wzorują się na nim i w ten sposób coś tam robią w swoim życiu. Podobnie jest z festiwalami imienia kogoś, bo przecież każdy wybiera sobie inne guru. Muzycy i muzycanci, bo trudno jest tu ich rozgraniczyć – zbyt cienka linia przebiega między muzykowaniem a graniem muzyki – a więc ci muzycy i muzycanci zwykle fascynują się tą czy inną osobą i na festiwalu dobrze by było zobaczyć i posłuchać owoców tej fascynacji.

A nie coverów.

A nie coverów.

A kim są ci, którzy łączą swoje piosenki z coverami, muzykantami czy muzykami?

W Polsce covery to norma, więc takie łączenie jest OK. Zresztą zawsze to dobrze, tak myślę. A muzyk muzykiem pozostaje. Np. nasz Konkurs „Natchnienie” i Klaudia „Kika” Cichocka, która już tam występowała. Ona ma bardzo ciekawą i nietuzinkową barwę głosu, a ponadto pisze też dobre teksty do swoich piosenek. Poza tym również, jak wszyscy teraz, śpiewa covery, których można sobie posłuchać na Youtubie. Niestety, kiepskie są te covery.

A jak nazwać muzyka, któremu inni komponują muzykę, a teksty pisze sam?

Wokalistą... Ale tak na poważnie, to ktoś może mu skomponować tę muzykę, ale najpierw musi on rozumieć tekst, bo przecież muzyka z tekstem powinna współgrać. To podstawa. Dodam, że zwykle w życiu tak to już jest, że nie każdy potrafi napisać i tekst, i muzykę.

A odwrotnie? Muzykę dana osoba komponuje sama, a teksty pisze dla niej ktoś. Muzyk czy muzykant?

Takie coś też nie jest coverem. Jeśli choć cząstka całości jest własna – albo tekst albo muzyka – piosenki nie można już nazwać coverem.

Dobre tekstowo – najczęściej autorskie – piosenki wymagają zazwyczaj zastanowienia się nad sobą, światem i paroma jeszcze innymi sprawami. Na koncertach autorskich – przynajmniej tu w Polsce, bo mówiłeś mi kiedyś, że na zachodzie jest inaczej – nie ma na to czasu, bo kiedy jedna piosenka się skończy, od razu zaczyna się druga. Dlaczego?

Oj! To się nie zrozumieliśmy.

A jak powinniśmy się zrozumieć?

Chodzi tu o słuchaczy. Tu w Polsce jest tak, że jak występuje się z programem autorskim, to są tacy, którzy słuchają przez cały koncert i każdą piosenkę sobie analizują, ale są też ci, którzy słuchają tylko pobieżnie, bo akurat przyszli sobie na koncert porozmawiać i piosenki jeszcze przeszkadzają im piwo wypić. Kompletnie nie interesuje

ich co kto ma do przekazania, tylko to żeby gdzieś w tle leciała jakaś muzyka i to nawet lepiej, żeby to były covery, bo wtedy słuchają znanych piosenek – z radia, z telewizji. I tak to wygląda w Polsce

A na Zachodzie?

Na Zachodzie covery też, oczywiście, są grane, ale to jest taka trzecia liga. Głównie słucha się piosenki autorskiej. I ja to wielokrotnie przeżywałem. Ludzie za granicą, choć nie w Czechach, po prostu słuchają z uwagą. Tam nie ma tak, że śpiewa się piosenkę po piosence. Wykonawca zatrzymuje się od czasu do czasu, czasami powie parę słów o genezie danej piosenki, i to raczej konkretnych, poważnych słów. Tam po koncercie grupa ludzi przychodzi do wykonawcy i chce porozmawiać na temat tekstu, niejednokrotnie pyta też czy ich interpretacja jest właściwa.

W Polsce to się nie zdarza?

Nie, w Polsce to się nie zdarza. Chociaż prawdą jest, że czasami, ale to bardzo, bardzo rzadko znajdzie się ktoś kto tak bardzo utożsamia się z danym tekstem, że przychodzi i mówi mi po koncercie: to jest moje życie. Po prostu pewne przeżycia co ileś tysięcy ludzi się powtarzają, są podobne albo zbliżone do siebie, a ludzie podobnie to odczuwają. Dlatego jak zaśpiewa się piosenkę, która wypływa z wnętrza człowieka, bo on coś przeżył i zobaczył, czegoś doświadczył, to później inni też się z tym utożsamiają i mówią: to jest takie prawdziwe, szczere. I tylko takie słowa są tu w Polsce.

A na Zachodzie? Że tak powtórzę pytanie.

Tam ludzie – zresztą nie tylko tam, bo i na Wschodzie, w Azji, w Ameryce Południowej – oni przychodzą po koncercie i mówią, że np. ta piosenka kojarzy im się z tym i tym, czasami interpretują moją piosenkę zupełnie inaczej niż ja, ale to jest ich interpretacja. Każdy może odczuwać to co chce.

Żyjemy w wolnym świecie.

Właśnie. nie można nikomu narzucać, że to jest piosenka o tym i owym, a on musi to czuć tak samo. Dam ci przykład, Natalia – np. mamy piosenkę o spadającym liściu. Jeden może myśleć o jesieni, inny o wichurze albo czymś odchodzącym, a jeszcze inny pomyśli o tym, że spada liść i tworzy się nowe życie. Także, zobacz jak szerokie

jest tu spektrum doznań – jak można interpretować jednego tylko spadającego liścia.

Mówisz, Darku, że covery to temat rzeka, zatem proszę cię teraz o jego skondensowanie i powiedzenie na koniec wywiadu, co w coverach najbardziej ci się nie podoba?

Myślę, że główną przyczyną nie lubienia przez mnie coverów jest po prostu ich nieuczciwość. Śpiewanie własnych piosenek czy też piosenek stworzonych przez grupę ludzi, przez zespół to coś innego niż śpiewanie cudzych piosenek. I tyle.

A nie brak szczerości?

Tak, też, choć są jeszcze pewne odstępstwa od tego bycia szczerym, bo przecież zawsze są jakieś odstępstwa od tematu głównego, a covery są w końcu często robione na potrzeby dużych wytwórni. Np. znany zespół robi się... mniej popularny.

Oklapnął trochę?

Tak, oklapnął. Trzeba wtedy tchnąć w niego trochę nowego życia, bo żyje z tego sto, a czasem i tysiąc ludzi. Odkurza się więc jakiś stary dobry przebój i publiczność potem jest zachwycona. Jedni mówią, że to lepsze, inni, że słabe, jeszcze inni, że takie sobie. Najważniejsze jednak, że mówią. Zespół staje się na nowo popularny. Zresztą tak było w przypadku wielu zespołów na całym świecie.

Coverowały i „Metallica”, i „Nirvana”.

Żeby tylko... Ale na świecie coverują zespoły, które z reguły mają już jakiś swój dorobek, bardzo duży. I jak jeden cover zaśpiewają to jest zupełnie inna bajka niż gdy ktoś na co dzień śpiewa tylko covery, bo nic innego jedno czy drugie takie beztalencie nie potrafi. On nie jest nawet muzykiem tylko aktorem, że się tak powtórzę. Oj! Natalia, jak ja lubię się z tobą powtarzać.

Oj! Darku, nie widzę w tym nic nieprzyzwoitego.

W sumie rację masz, a poza tym żyjemy w przyzwoitym świecie, w którym aktor na scenie w teatrze zwykle wykonuje czyjąś rolę, gra i wciela się jakąś postacią. Żeby nawiązać znów do coverów, to na scenie muzycznej człowiek śpiewający je również wykonuje czyjąś rolę, gra i wciela się w jakąś postacią – jest aktorem, a nie muzykiem.

ARTYKUŁ NATCHNIONY

„Natchnienie” jest pierwszym konkursem, któremu „Kulturalnik Poznański” patronował i patronować będzie w jego kolejnych edycjach, bo to naprawdę fajna i wartościowa sprawa. Twórcą, organizatorem i siłą sprawczą Konkursu jest piewca muzyki i piosenki autorskiej Darek Rogers. W tym artykule znajdziecie wszystko to, co o „Natchnieniu” chcielibyście wiedzieć, ale boicie się zapytać.

NATALIA MIKOŁAJSKA

Darek Rogers przez całe swoje życie kultywuje muzykę autorską, tę płynącą prosto z serca twórcy. Z doświadczenia wie, że aby pokazać słuchaczom swoje prawdziwe oblicze nie wystarczy jeden czy dwa utwory. Tymczasem na konkursach każdego muzyka i każdy zespół z reguły prosi się o zagranie takiej właśnie ograniczonej liczby swoich dzieł. Niestety, jak mówi pan Darek, z reguły jest też tak, że ten pierwszy i drugi utwór są takimi rozgrzewkowymi, a bo to trzeba sobie dobrze palce rozgrzać czy głos, albo sprawdzić nastrojenie instrumentu. Każdy muzyk tak ma, i to niezależnie od tego jakim wirtuozem by był i w czym tę wirtuozerię by pokazywał. Zawsze początek jest trochę słabszy – twierdzi pan Darek – osiąga się na nim tak mniej więcej $\frac{3}{4}$ swojego poziomu. Wszystko – i koncert i perfekcjonizm – zaczyna się tak naprawdę od trzeciego utworu. A konkursy i ich organizatorzy swoje. Darek Rogers wie o tym dobrze, bo w wielu był jurorem. Zresztą wszyscy wiemy, bo obserwujemy od czasu do czasu zmagania konkursowiczów. Ta – na pewno zbyt mała – liczba utworów w konkursach nie dawała panu Darkowi spokoju i w końcu wymyślił on swój Konkurs, a właściwie Festiwal, na którym każdy może zagrać 40-minutowy koncert i zaprezentować w pełni swoje muzyczne możliwości. Chodzi tu o to, żeby zespoły, a ewentualnie pojedynczy wykonawcy mogli wreszcie zupełnie na konkursie się otworzyć. Nazwał go „Natchnieniem”, żeby podkreślić, że utwory mają być natchnione i płynąć prosto z serca. Przy okazji Konkurs propagować ma muzykę autorską śpiewaną w języku polskim, taką ku pokrzepieniu naszych serc – są to słowa dotyczące się konkursów polskojęzycznych



piosenek wyjęte z regulaminów Narodowego Centrum Kultury.

DLA KOGO JEST „NATCHNIENIE”?

Konkurs przeznaczony jest dla wszystkich muzyków-autorów, którzy na co dzień wykonują muzykę autorską. Na pewno więc nie mogą w nim wystąpić zespoły zwykle grające covery, które na Konkurs specjalnie przygotowują program autorski. Pilnuje tego oczywiście Darek Rogers, choć dość trudno jest dzisiaj wyłuskać takie zespoły spośród tych wszystkich, które się zgłaszają, ale w dobie coraz bardziej popularnego Internetu, nie należy to do najtrudniejszych zadań. Zawsze można zobaczyć co dana grupa proponuje. Dlatego wystąpić tu może również zespół śpiewający i muzykę autorską i covery, ale wyłącznie z muzyką autorską. Powtórzmy więc raz jeszcze, że ideą przewodnią Konkursu jest płynąca z serca muzyka autorska i dla twórców hołdujących tej zasadzie, „Natchnienie” zostało stworzone.

CO JEST NAGRODĄ W „NATCHNIENIU”?

Jeśli chodzi o nagrody bardzo rzeczowe, to może nie ma tu zaraz jakichś wielkich

sensacji, ale od czegoś w końcu trzeba zacząć – nagrodą główną jest nagranie płyty w profesjonalnym studio (w tym roku jest to studio radia Afera) i wydanie jej w liczbie 200 egzemplarzy. I choć w sumie niewiele jest tych egzemplarzy, to po pierwsze jest to po prostu nagroda dla zespołu, a ewentualnie wykonawcy, któremu warto nagrać płytę, a po drugie później zwycięzca zawsze może sobie te płyty dodrukować w liczbie jaka mu się wyśni. Zaś o sukcesie albo i niepowodzeniu decyduje już publiczność i sam zespół lub wykonawca, bo to zależy też od tego jak ten sukces będzie przez nich lub przez niego pojmowany – czy chodzi tu również np. o bycie bardziej rozpoznawalnym. Oczywiście do płyty dodana jest też bardzo ładna statuetka z kluczem wiolinowym.

Drugą nagrodą bardzo rzeczową jest nagroda publiczności – nagranie singla w liczbie 100 egzemplarzy wraz ze statuetką będącą wariacją roślinno-wiolinową. Natomiast nagrody mniej rzeczowe to 3 statuetki: Za Najlepszego wokala (wizerunek mikrofonu), Dla Najlepszego Instrumentalisty (wariacja nt. pięciolini, nut i klucza wiolinowego) i Za

Najlepszy tekst (najlepszy, czyli najmądrzejszy – od razu więc ta sowa),

KTO POMÓGŁ ZORGANIZOWAĆ „NATCHNIENIE”?

Organizacja natchnionego Konkursu – jak zresztą i każdego innego konkursu – nie jest takim zwykłym hop-siup-tralala i od razu mamy konkurs z nagrodami. Przy organizowaniu panu Darkowi pomogło wielu ludzi, a przede wszystkim Tadeusz Wierzbicki – właściciel Svejka i Stajenki Pegaza. Od lat, od zawsze właściwie wspiera on muzyków grających muzykę autorską. Pomógł też Mikołaj Rembowski – gitarzysta, realizator nagrań i menager muzyczny, któremu zdarza się też produkować płyty różnym muzykom, Marek Kajdrys – perkusista i dyrektor szkoły perkusji 'School Of Drumline by Marek Kajdrys', a także Krzysztof Skorupiński – gitarzysta i akustyk.

CO DECYDUJE O WYGRANEJ W „NATCHNIENIU”?

A raczej kto decyduje? Otóż, robi to jury, które jest płynne. Jednak 4 osoby są tutaj stałe, ale prawie za każdym razem dołączają do nich inni ludzie – dziennikarze muzyczni, managerowie, muzycy – aby za każdym razem do obrad jurorskich wlać nowego ducha, rzucić nowe światło. Oceny zespołów za każdym razem są procentowe, a to wydaje się być bardzo sprawiedliwym.

JAK SKOŃCZYŁO SIĘ „NATCHNIENIE” AD 2016?

Na uroczystości finałowej Darek Rogers mówił tak (brzmiał jakby rzeczywiście ostatnie słowo naprawdę wypowiedziane zostało drukowanymi literami):

I Konkurs Polskiej Piosenki Autorskiej może nie był doskonały, ale szczerzy i prawdziwy. Na pewno wielu uczestników jest rozczarowanych werdyktem jury, trudno jest tak bardzo obiektywnie ocenić kogokolwiek, staraliśmy się odrzucić własne smaki i odczucia, a ocenić jedynie pozytywną falę dźwięków płynącą ze sceny i to, co najważniejsze w idei konkursu – NATCHNIENIE.



NAGRODY:

Nagrodę Główną, czyli nagranie i wydanie płyty jury przyznało duetowi z Wrocławia – „Adaś i Nina”.

Nagrodę Publiczności, nagranie i wydanie singla publiczność przyznała Darkowi Maćczakowi,

Za Najlepszy Tekst jury wyróżniło autora i wokalistę zespołu „Hedonika” – Wojciecha Badowskiego.

Najlepszym Instrumentalistą został – Remigiusz Szuman.

Za Najlepszego Wokalistę uznano – Michała Pilasa z zespołu „PWS” („Przed Wschodem Słońca”).

ZE STATYSTYKI „NATCHNIENIA”:

W pierwszej edycji Konkursu: wystąpiło 22 wykonawców, zakwalifikowało się 24 (dwa zespoły się wycofały), na konkurs zgłoszono 157 wykonawców, koncerty zajęły w sumie sześć miesięcy (wyłączając święta i inne tego typu nieprzewidziane i przewidziane zdarzenia), koncertów (czwartkowych) było dwadzieścia jeden, zaś jeden odbył się we wtorek, wykonawcy (w większości profesjonaliści reprezentujący bardzo wysoki poziom) zaprezentowali praktycznie wszystkie style muzyczne – od poezji śpiewanej, poprzez jazz, blues, pop, hip-hop aż do ciężkich brzmień,

W pracach jury uczestniczyli; Mariana Kalicka – muzyk, altowiolistka, Mariusz Kwaśniewski – dziennikarz muzyczny Radia Merkury, Paweł Jerzyniewski – muzyk, Grzegorz Sykała – muzyk, Mikołaj Rembowski – menager muzyczny, Piotr Rusiecki – muzyk, Krzysztof Skorupiński – muzyk i realizator dźwięku, Marek Kajdrys – dyrektor szkoły perkusyjnej, muzyk, aranżer i perkusista, Natalia Mikołajska – dziennikarka i Darek Rogers – autor tekstów, kompozytor i muzyk.

Wszystkie koncerty konkursowe nagłaśniał Krzysztof Skorupiński.

Sponsorem konkursu był Tadeusz Wierzbicki – właściciel Klubu Svejka.

Organizatorem Konkursu był Darek Rogers.

WNUKU, OCH WNUKU

POZNAŃSKA WIOSNA MUZYCZNA

Tegoroczny 45 Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Poznańska Wiosna Muzyczna” zainaugurował 14 marca b r. Uroczysty Koncert Jubileuszu 50-lecia pracy artystycznej profesora Mariana Rapczewskiego.

KAZIMIERZ MILER

PRZEWODNICZĄCY OGÓLNOPOLSKIEJ RADY ZESPOŁÓW FOLKLORYSTYCZNYCH (PRYWATNIE DZIADEK BARTŁOMIEJA)

Jubilat prof. sztuk muzycznych – wybitny perkusista Polski, wychowawca kilku pokoleń perkusistów. Juror wielu konkursów międzynarodowych i ogólnopolskich, wieloletni Dziekan Wydziału Instrumentalnego w Akademii im. Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu. Absolwent Poznańskich szkół muzycznych oraz Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej (obecnie Akademii Muzycznej im. I. J. Paderewskiego) w klasie perkusji prof. Jerzego Zgodzińskiego. Całe swoje artystyczne życie związane z Poznaniem i Poznańskimi instytucjami muzycznymi (Opera, Filharmonia, Akademia Muzyczna), kierownik jedynej w Polsce Katedry Perkusji. Olbrzymie jego zasługi nie tylko na polu muzycznym wymagałyby specjalnej książki. Wymownym faktem stali się wykonawcy tego Koncertu (najlepsi studenci i absolwenci profesora oraz wykładowcy Polskich Uczelni Muzycznych a także zaproszeni wirtuozi tego instrumentarium zza granicy). Słowem najlepsi perkusiści z Polski i ze świata.

Na tle tych znakomitości, prawdziwą gwiazdą okazał się Bartłomiej Miler, urodzony w Paryżu 1992 z matki pianistki i ojca klarncisty (także absolwentów naszej Akademii). Od najmłodszych lat czynnie udziela się w środowisku artystycznym, bierze udział w licznych koncertach, festiwalach, konkursach i przesłuchaniach jako solista, członek zespołów kameralnych i muzyk orkiestrowy.

Edukację muzyczną rozpoczął nauką gry na fortepianie. Nieco później zainspirował go klarnet, ale ostateczny wybór padł na perkusję klasyczną. Bartłomiej Miler jest wszechstronnym artystą praktykującym różne style i obracającym się w kontrastowych dziedzi-



Jubilat profesor Marian Rapczewski

nach muzyki. Jest multiinstrumentalistą, który wykorzystuje swoje umiejętności gry na klarnecie, klarnecie basowym, fortepianie, perkusji klasycznej i rozrywkowej, bio-

jąc udział w różnych eksperymentach i projektach muzycznych. Od roku 2009 został doceniony na konkursach i przesłuchaniach w skali ogólnopolskiej

i światowej jako nieprzeciętny solista i kameralista. Jest współzałożycielem zespołu perkusyjnego „Trio BenBen”, który wielokrotnie osiągał znaczące sukcesy na arenie ogólnopolskiej i międzynarodowej.

W 2012 roku zespół brał udział w prestiżowym Międzynarodowym Konkursie Zespołów Perkusyjnych w Luksemburgu, gdzie dotarł do półfinału (będąc najmłodszym zespołem konkursu). Jest

2014 zakwalifikował się na podstawie przesłanych nagrań do dwóch najbardziej prestiżowych solowych konkursów perkusyjnych o randze światowej: w Monachium (Niemcy) – Konkurs „ARD” i Eindhoven (Holandia) Konkurs „Tromp”. Wśród uczestników konkursów był jedynym studentem reprezentującym polskie uczelnie. W tym samym roku podjął studia w klasie dyrygentury symfonicz-

jackie w klasie perkusji prof. zw. dr hab. Mariana Rapczewskiego w Akademii Muzycznej im. I. J. Paderewskiego w Poznaniu. Obecnie jest studentem drugiego roku studiów magisterskich tejże Akademii i studentem w Narodowym Konserwatorium Muzycznym w Lyonie, we Francji, w klasie perkusji prowadzonej przez wybitnego solistę i profesora Jean’a Geoffroy’a. Obok edukacji muzycznej od 2011 roku współpracuje z Poznańską Filharmonią. Występował w koncertach z orkiestrą Adama Sztaby i jako gość specjalny z Orkiestrą Kameralną Polskiego Radia „Amadeus”. Swoje zainteresowania muzyczne i umiejętności artystyczne rozwijał poprzez udział w licznych kursach mistrzowskich i warsztatach prowadzonych przez wybitnych wirtuozów i pedagogów instrumentów perkusyjnych w kraju i na świecie jak: Marta Klimasara, Se-Mi Hwang, Emmanuel Séjourné, David Friedman, Benny Greb czy Anders Åstrand. Jest laureatem programu stypendialnego Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Młoda Polska” w 2015 roku. Jest również laureatem wielu nagród I Ogólnopolskiego Konkursu Perkusyjnego im. Jerzego Zgodzińskiego, który odbył się w Poznaniu w listopadzie 2015 roku.

W drugiej części uroczystego Koncertu Jubileuszowego Bartłomiej Miler zagrał dwie kompozycje: Andrew’a Thomas’a „Merlin” na marimbę solo którą oczarował szczerze wypełnioną Aulę Uniwersytetu Adama Mickiewicza oraz utwór „Le Corps A Corps” Georges’a Apherghis’a dla jednego perkusisty i dźwięk zarb z pogranicza teatru i muzyki którą zachwylił widzowie. Po nim już tylko nastąpił potężny finał utworu skomponowanego przez Martę Ptaszyńską „Symfonia na 104 perkusistów” dedykowana profesorowi Marianowi Rapczewskiemu z okazji 50-lecia jego pracy artystycznej. Obserwowałem Jubilata podczas odbierania gratulacji i życzeń – nie krył satysfakcji z wychowanków i przyjaciół a z Bartłomieja był specjalnie dumny.



Wychowanek jubilata Bartłomiej Miler

laureatem dwóch międzynarodowych solowych konkursów perkusyjnych „Italy Percussion Competition” w Montesilvano we Włoszech, w 2013 roku. W roku

2014 ukończył z wyróżnieniem studia licen-

LOMBARD „SWING”

Powiem szczerze, że do pomysłu nagrania płyty ze swingowymi wersjami utworów grupy Lombard od samego początku podchodziłem sceptycznie, jednak efekt końcowy – czyli płyta – wypada lepiej niż się spodziewałem.

MICHAŁ SOBKOWIAK

Do muzyki swing podchodzę jak pies do jeża, ale w tym przypadku byłem poniekąd zmuszony. Jak bowiem pominąć nowy album jednej z czołowych grup w historii polskiego rocka? Gdy płyta trafiła w moje ręce, od razu krążek powędrował do odtwarzacza. Pierwsze wrażenie: nie taki diabeł... o przepraszam... swing straszny, jak się wydawało.

Na albumie znajdziemy 10 kompozycji, zarówno z lat osiemdziesiątych, jak i z najnowszej historii zespołu. Utwory te w nowych wersjach można zaakceptować. Najlepiej według mnie wypadły „Taniec pingwina na szkle” i „Deja vu – to już było”, które zabrzmiały jakby pochodziły z repertuaru grupy grającej na co dzień swing. Najślabiej natomiast prezentują się utwory „Gwiazdy rock’n’rolla” i „Szklana pogoda”, którym zabrakło oryginalnej zadziorności. Kolejną wadą płyty jest to, że zbyt szybko się kończy. Te 40 minut muzyki wypełniające krążek ucieka błyskawicznie.

Nie jestem zwolennikiem profanacji piosenek (czyli coverów), co dotyczy także autoprofanacji, więc płytę „Swing” traktować będę jako ciekawostkę w dyskografii Lombardu, podobnie jak płyty anglojęzyczne czy krążek „1981-1991” z przearanżowanymi wersjami przebojów z pierwszego dziesięciolecia działalności grupy.

Jednakże, jeśli ktoś lubi swingujące brzmienia, ma szansę polubić tę płytę. Pozostałym odbiorcom muzyki pozostaje czekać na nowy studyjny album Lombardu, gdzie muzycy znów zaprezentują swój rockowy pazur lub wybrać się na koncert grupy Grzegorza Stróżniaka.

Samym muzykom zespołu stylistyka swingowa pasuje, czego dowodem są np. zdjęcia zdobiące okładkę płyty, którą zaprojektował czołowy poznański grafik – Szymon Felkel.



Spis utworów:

- *Musical*
- *Gwiazdy rock’n’rolla*
- *Taniec pingwina na szkle*
- *Słowa na murze*
- *Deja vu – to już było*
- *Anka*
- *Adriatyk – ocean gorący*
- *Nasz ostatni taniec*
- *Szklana pogoda*
- *Przeżyj to sam*

Zespół w składzie:

- Marta Cugier – śpiew
- Grzegorz Stróżniak – śpiew
- Daniel Patalas – gitara

Michał Kwapisz – kontrabas, bas
Miroslaw Kamiński – perkusja
Big Band pod dyktando Jana Zeylanda

Płytę „Swing” można nabyć bezpośrednio na koncertach Lombardu, a także w sklepie internetowym grupy na portalu aukcyjnym. Dzięki temu krążek kosztuje tylko 20 zł, czyli dużo mniej niż w koncertach fonograficznych. Muzycy Lombardu idą także z duchem czasu. Pierwszego kwietnia ruszyła sprzedaż płyty w formie plików muzycznych. Osoby zainteresowane znajdują ją chociażby w serwisach: iTunes, Google Play, Spotify, Tidal, Deezer, Empik.com i Muzodajnia. Ot symbol naszych czasów – można słuchać płyty nie mając jej fizycznie w domu.

RANDEZ – VOUS Z PIOTREM I PAWŁEM – PROJEKT

Piszemy do Pana Prezydenta Miasta Poznania, Jacka Jaśkowiaka z głębi serca . Jeden , Zbigniew Roth jako rodowity Poznaniak, drugi Krzysztof Wodniczak Wielkopolanin , od 1968 roku zamieszkały w Poznaniu.

ZBIGNIEW ROTH, KRZYSZTOF WODNICZAK

Jesteśmy i nadal mamy potrzebę bycia członkami lokalnej społeczności na bazie więzi społecznych w ramach swojej małej Ojczyzny jaką jest region Wielkopolska i miasto Poznań. Przywiązanie i wielowiekowa tradycja – pomimo tego, że nasze miasto było poprzez różne dzieje losowe i wydarzenia historyczne kolebką wielu narodowości – jednak w sensie społecznym, silnie związane jest z kulturą słowiańsko – europejską. Miasto mające nie tylko wielowiekową tradycję ale będące oknem na świat dzięki między innymi Międzynarodowym Targom Poznańskim, niezmiennie związane z symboliką chrześcijańską zewnątrznie widoczną w postaci patronów miasta św. Piotra i św. Pawła. Zrodziło w nas pragnienie wyniesienie na publiczne forum nowej inicjatywy społecznej mającej ścisły związek z patronami naszego miasta.

Żyjemy w czasach kiedy trochę wyciszzone zostały wzajemne, pozytywne relacje społeczne ustępując pola pogoni za osobistym szczęściem, karierą i pomyślnością w życiu codziennym . Zauważyliśmy jednak, że jest potrzeba obudzenia bliskości między ludźmi poprzez inicjatywy społeczne zbliżające różne – pod względem wykształcenia i pozycji – grypy społeczne. Myślimy, że powołanie do życia autorskiego pomysłu Zbigniewa Rotha pod nazwą roboczą Randez – vous z Piotrem i Pawłem , mają na celu zbliżenie imienników naszych patronów bez względu na miejsce zamieszkania i status społeczny adresatów tego wydarzenia.

Wzorem odbywających się już spotkań imienniczek popularnych Krystyn jak i Zjazdu Zbigniewów , których spotkania od wie-

Hymn spotkań Piotrów i Pawłów
Randevu z Piotrem i Pawłem
słowa i muzyka: Zbigniew Roth

biorę torbę, swoją gitarę chwytam za
gryf
bo serce ciągnie by nad Wartą z nimi być
tu w Poznaniu gdzie wszyscy razem są
Piotr i Paweł tutaj mają wspólny dom.

ref.

tysiące mil
tych kilka chwil
pociąga mnie
żeby w Poznaniu być
co mam dziś kryć
tak bardzo chcę
bo Piotr i Paweł
zanuć z nami pieśń
o pięknym Poznaniu
co bliski sercu jest.

każdy senior i młody człowiek z nami
chce być
ja nie od dzisiaj kocham Poznań co tu
kryć
biorę gitarę przyjeżdżam gdzie fest
znam to miasto tutaj moje serce lgnie.

ref.

tysiące mil
tych kilka chwil
pociąga mnie
żeby w Poznaniu być
co mam dziś kryć
tak bardzo chcę
bo Piotr i Paweł
zanuć z nami pieśń
o pięknym Poznaniu
co bliski sercu jest.

lu lat cieszą się ogromnym powodzeniem, postanowiliśmy doprowadzić do takiego Ogólnopolskiego spotkania Piotrów i Pawłów w Poznaniu w dniu 29 czerwca 2016 r. Dodatkowym atutem jest nie tylko to, że są to Patroni Poznania ale również fakt, że to w Poznaniu została powołana do życia, jedna z największych sieci Marketów w Polsce pod nazwą Piotr i Paweł. Możliwość zbliżenia i poznania wzajemnego Piotrów i Pawłów niesie ze sobą wytwarzanie nowych więzi społecznych pomiędzy nie tylko imiennikami i ich rodzinami ale również miastami i regionami. Mamy takie przekonanie, ponieważ w naszym Randez – vous być może będą również uczestniczyć przedstawiciele władz regionalnych , miejskich czy samorządowych po przedstawiciele najwyższych władz o tych imionach.

Reasumując po przeprowadzeniu wstępnego sondażu utwierdził się w przekonaniu, że celowe i pożądane jest doprowadzenie do realizacji tej inicjatywy, która może wypromować nie tylko Poznań i Wielkopolskę, ale również zbliżyć lokalne społeczności do siebie. Nie wyobrażamy sobie ominięcia akcentu kulturalnego w wykonaniu artystów mających imiona Piotr i Paweł. Koncert na Dziedzińcu Urzędu Miasta Poznania z udziałem m. in. Piotra Szczepanika, Piotra Kuźniaka, Piotra Schulza, Piotra Kałużnego, Piotra Wiza, Piotra Nalepy, Pawła Bączkowskiego, Pawła Soroki prowadzony przez redaktorów radiowej Trójki Piotra Kaczkowskiego i Piotra Barona powinien być ostatnim akordem tego Randez – vous. Zbigniew Roth jest też autorem Hymnu tego in spe wydarzenia, który mamy nadzieję doczeka się publicznej prezentacji podczas imienin Patronów Miasta Poznania w dniu 29 czerwca 2016 roku.

RARYTASY Z ZAKURZONEJ GRAJĄCEJ SZAFY

Anna Jantar „Anna Jantar”

Było kilka, może kilkanaście minut po godzinie dwunastej. Choć był to już czternasty dzień marca 1980 roku, pogoda nadal była zimowa.

JACEK LIERSCH

Trzymał mróz i tylko mocno grzejące słońce przypominało o nadchodzącej wkrótce wiosnie. Stary, poczciwy przegubowy Jelcz właśnie dojeżdżał do kolejnego przystanku. W środku niesamowity ścisk, do tego głośno pracujący silnik i specyficzny zapach oleju napędowego. Na dodatek kierowca słuchający radia włączonego na cały regulato r. W autobusie było jak w ulu. Gdy dojechał do przystanku, nagle zrobiło się w nim cicho, niczym makiem zasiał. Tylko radio ryczało z niebywałą siłą. Szok, niedowierzanie, informacje przekazywane wśród pasażerów niczym w głuchym telefonie. I te słowa wytrychy: Warszawa, katastrofa, samolot, II, ofiary, tragedia. Po dłuższej chwili autobus ruszył w dalszą drogę. Paskudna cisza wśród pasażerów, wyjący silnik i to koszarne radio ryczące ze wszystkich sił i informujące, że stało się coś tragicznego.

W takich to okolicznościach dopadła mnie informacja o jednej z najtragiczniejszych katastrof samolotowych w historii polskiego lotnictwa. Katastrofie, która pochłonęła 87 ludzkich istnień. Na pokładzie tego samolotu lecącego z Nowego Jorku do Warszawy była też znana i lubiana polska piosenkarka Anna Jantar. Wracła do kraju po kilkumiesięcznym pobycie w USA, gdzie z wielkim powodzeniem występowała w klubach polonijnych w Chicago i New Jersey.

Jeszcze przed wylotem za wielką wodę Anna Jantar w 1979 roku rozpoczęła współpracę z zespołami Perfect i Budka Suflera. Zaowocowało to także kolejną płytą zatytułowaną po prostu „Anna Jantar”. Znalazły się na niej między innymi utwory Jarosława Kulkińskiego, ale także Dariusza Kozakiewicza,



Zbigniewa Hołdysa czy Romualda Lipko. Czuło się na tej płycie świeży powiew, jaki dał niewątpliwie muzyczny mariaż choćby z tak znakomitym kompozytorem jak właśnie Romuald Lipko.

Płyta przyjęta została przez fanów niezwykle ciepło a inne, nowe brzmienie dobrze rokowało na przyszłość. Potem był wspomniany już wyjazd do USA, a po kilku miesiącach wyteścniiony przez Annę Jantar powrót do kraju... Płytę „Anna Jantar” wydały

w 1979 zespolone siły dwóch wytwórni płytowych Pronit/Tonpress KAW, pod numerem katalogowym SX 1836.

Była to już czwarta w dorobku artystki płyta i niestety już ostatnia (nie licząc składanek). Myślę, że bardzo wielu z nas na zawsze ten krążek będzie się już kojarzył z zamykającym album utworem „Nic nie może wiecznie trwać”. Utwór, który po tragicznej śmierci Anny Jantar nabrał zupełnie innego wyrazu i stał się jakimś dziwnym memento.

JESUS CHRIST SUPERSTAR

Dla jednych to film obrazoburczy, dla innych swobodna interpretacja wydarzeń opisanych w Biblii. Od 1973 roku ekranizacja musicalu „Jesus Christ Superstar” wywołuje kontrowersje, podobnie jak sam musical, który niebawem zobaczymy na poznańskim stadionie.

MICHAŁ SOBKOWIAK

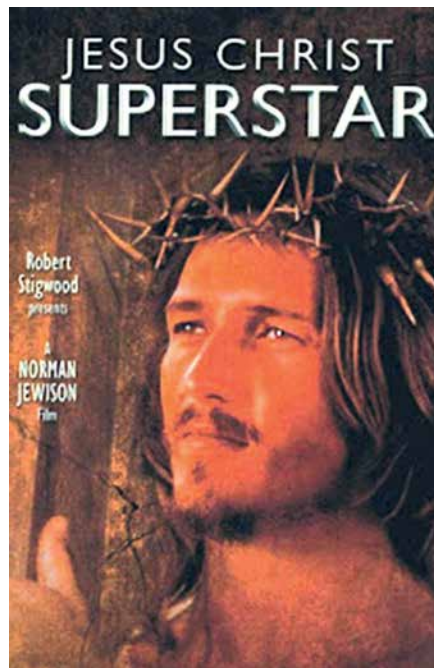
Rock operę „Jesus Christ Superstar” stworzyli na przełomie lat 1969 i 1970 Brytyjczycy Andrew Lloyd Webber (muzyka) i Tim Rice (libretto). Fabułą jest tu ostatni tydzień życia Jezusa. Musical w 1970 roku wydano jako album koncepcyjny, ponieważ kontrowersyjny materiał mógłby zostać niedopuszczony na teatralne sceny. Materiał ten do dzisiaj uchodzi za czołowy zapis przedstawienia. Wokalistami śpiewającymi główne partie byli:

- Ian Gillan (wokalista Deep Purple) w roli Jezusa,
- Murray Head jako Judasz,
- Barry Dennen jako Piłat,
- Yvonne Elliman w roli Marii Magdaleny.

Zanim 1 października 1971 roku „Jesus Christ Superstar” zagościł na Broadwayu po raz pierwszy, stanowiąc zarazem pierwszą teatralną wersję spektaklu, musical cztery miesiące wcześniej poprzedziła oficjalna trasa koncertowa. 12 lipca 1971 roku w Pittsburghu w stanie Pennsylvania odbył się otwierający serię koncertów występ na Civic Arena. Trasa liczyła przystanki w 54 miastach w całych Stanach Zjednoczonych i doczekała 74 przedstawień. Ideą przedsięwzięcia było promowanie musicalu w Ameryce, czego dowodziła obsada: Jeff Fenholt jako Jezus, Yvonne Elliman jako Maria Magdalena oraz Carl Anderson w roli Judasza. Cała trójka została później zaangażowana do wersji scenicznej z Nowego Jorku, reżyserowanej przez Toma O’Horgana.

FABUŁA

Na rozległej połaci pustyni – niczym fatamorgana – wyłania się autokar. Wsiadają z niego młodzi ludzie, którzy zakładają kostiumy, wyładowują rekwizyty i zaczynają odgrywać widowisko – „Jesus Christ Superstar”. Jeden z apostołów, Judasz Iskariota jest zaniepokojony nieprzychylnymi nastrojami



panującymi w społeczeństwie; nie wierzy, że Jezus jest Synem Bożym i obawia się, że już wkrótce Chrystus nie będzie w stanie zapanować nad tysiącami swoich wyznawców. Źle interpretując postępowanie Jezusa, decyduje się wydać Go Faryzeuszom. Gdy uświadamia sobie, jaki popełnił błąd, jest już za późno i zrozpaczony popełnia samobójstwo...

W tym czasie również Maria Magdalena przeżywa rozterkę, gdyż nie jest pewna swoich uczuć do Jezusa. Ponadto widzimy grupkę ludzi, którzy go nienawidzą i potężną rzeszę dla której Jezus jest idolem.

Najważniejszą postacią jest oczywiście Chrystus, który narzeka, gniewa się i jest nierozumiany przez swoich wyznawców. To człowiek, który boi się śmierci i pragnie ją od siebie oddalić.

Amerkańska ekranizacja musicalu na podstawie tekstu Tima Rice’a i muzyki Andrew Lloyd Webbera trwa 108 min i została wyreżyserowana przez Normana Jewisona. Zdjęcia do filmu powstały w Beit Guvrin, Bet She-

an, Izraelu i u wybrzeży Morza Martwego. Obraz miał premierę 7 sierpnia 1973 roku.

OBSADA

- Ted Neeley jako Jezus Chrystus
- Carl Anderson jako Judasz Iskariota
- Yvonne Elliman jako Maria Magdalena
- Barry Dennen jako Poncjusz Piłat
- Bob Bingham jako Kajfasz
- Larry Marshall jako Szymon
- Josh Mostel jako Król Herod
- Kurt Yaghjian jako Annasz

Wersja filmowa „Jesus Christ Superstar” to wspaniała interpretacja rock opery Tima Rice’a i Andrew Lloyd Webbera, która opowiada historię ostatnich dni z życia Chrystusa. Podobać może się tu prawie wszystko – kreacje aktorów, teksty piosenek Rice’a, muzyka Webbera, jej wykonanie, a także mniej lub bardziej współczesne odniesienia.

Jedyną wadą dzieła (za równo musicalu, jak i filmu) jest sposób interpretacji Biblii. Fakt iż Rice jest gnostykiem, a Webber żydem – nie pozostaje bez wpływu na wydźwięk dzieła. Dlatego też Judasz jest tu praktycznie postacią pierwszoplanową, tragiczną postacią, natomiast Jezus przypomina trochę idola nieradzącego sobie ze swoją popularnością. Zapewne ten sposób interpretacji Pisma Świętego spowodował oskarżenia o obrazoburczość dzieła.

W okresie Wielkanocy szczególnie warto przypomnieć sobie tą wersję „Jesus Christ Superstar”. To także przygotowanie przed sceniczną wersją musicalu, którą już 16 kwietnia będzie można zobaczyć na stadionie miejskim w Poznaniu, z Markiem Piekarczykiem w roli Jezusa. Warto porównać obie interpretacje.

Więcej na temat tej ekranizacji można przeczytać na stronie internetowej „Kulturalnika Poznańskiego”.

MUZYCZNE REPORTAŻ-E ANDRZEJA KARPIŃSKIEGO

Andrzej Karpiński jest artystą wielu mediów. Kompozytorem, improwizatorem, autorem tekstów, artysta wizualnym. Okazjonalnie: pianistą, gitarzystą, realizatorem dźwięku.

JACEK KASPRZYCKI

Tworzy własną, bardzo indywidualną muzykę i jest wybitnym mistrzem techniki plastycznej zwanej: airbrush, czyli bardziej po polsku: aerografu. Modnej w latach 80, obecnie nieco (ale nie do końca) wypartej przez programy cyfrowe do obróbki zdjęć i grafiki. Aerografem tworzy dzieła autorskie i zlecieniowe. Narzędziem tym posługuje się po mistrzowsku. Mogliśmy jego realizacje nie tak dawno podziwiać w Pracowni-Muzeum J. I. Kraszewskiego Biblioteki Raczyńskich na ulicy Wronieckiej w Poznaniu. Ostatnio koncertuje na wernisażach wystaw sztuki wizualnej i uczestniczy w festiwalach muzyki współczesnej za granicami kraju np. Gare aux Oreilles, Schiphorst Avangarde Festival i w Polsce, takich jak np. CoCArt Music Festival w toruńskim Centrum Sztuki Współczesnej. Gra na perkusji, posługuje się wieloma instrumentami, własnym głosem i współczesną elektroniką. Jest fanatykiem miniaturowych klawiatur – ostatnio enerdowskiego amerykańskiego instrumentu, którego wyprodukowano w swoim czasie kilkadziesiąt sztuk zaledwie. Od pewnego czasu - co można prześledzić w Internecie – tworzy SUPLEMENTONY. Jak sam mówi: (...) wymyśliłem (je) dwa lata temu. Te krótkie, improwizowane formy muzyczne mają uatrakcyjniać wernisaże malarstwa. Zapoznają się wcześniej z artystami i ich obrazami, przygotowują odpowiednie instrumentarium i staram się całość skomentować muzycznie. Droga muzyczna Andrzeja Karpińskiego prowadzi od punk rocka poprzez nową falę lat 80., do współczesnej postmodernistycznej awangardy muzycznej. Założony przez niego 30 lat temu alternatywny REPORTAŻ istnieje do dzisiaj. Andrzej jest auto-

rem wielu unikatowych projektów muzycznych: Pogady, Pogofonic, Bezsensory, Głos z Wielkopolski czyli Domowy Wyrób Kielbas. Wypowiada się w obszarze: od muzyki improwizowanej, poprzez zaangażowane społecznie utwory aranżowane, do muzyki ilustracyjnej, słuchowisk radiowych i filmu. Eksperymentuje w zakresie redukcji instrumentarium: do głosu i klasycznej perkusji. Andrzej inspirowany jest twórczością wielu artystów i kompozytorów, niemniej to co robi cechuje tylko (i wyłącznie) „własny charakter pisma”. Mówi, iż największy wpływ miała na niego współpraca z komponującym onegdaj dla Braci Quay: Lechem Jankowskim (głośny film „Institute Benjamenta”), Arnoldem Dąbrowskim (Teatr Ósmego Dnia m.in. muzyka do filmów Jacka Kasprzyckiego i Tamary Sorbian oraz dla TV Studia Filmów Animowanych) i Chrisem Cutlerem. Jego recital „NEWS from DOM” to 30 minutowa improwizowana ilustracja muzyczna do wernisażu moich prac z cyklu RETRO (Retrospektywa +Retrospekcja+Retrogaming): improwizowane, konstruktywne ilustracje połączone ze swoistym muzycznym komentarzem do obrazów. Jak sam stwierdza: „Nie chcę tworzyć zapisu bezużytecznej chwili lub chmury dźwięków o niczym. Nie chodzi o show, wymyślanie czegoś na siłę, psucie lub udziwnianie gry na instrumentach. Staram się unikać przypadku, eksperymentować nie z instrumentem lub dźwiękiem, ale z muzyką. Chcę prostymi środkami zbudować opowiadanie muzyczne, którego celem jest PRAWDA o wykonawcy, estetyka i forma muzyczna możliwie bliska mi biologicznie. Elektroniki używam tylko do przekształcania klasycznych instrumentów i głosu. Gdy mieszam ich brzmie-

nie, trudno rozpoznać aktualne źródło dźwięku, słuchacz przenosi się w głąb treści i o to mi właśnie chodzi. Recital ma się kończyć jak najdłużej po wykonaniu, ma tworzyć WSPOMNIENIE. Jeśli tak się nie stanie - tracimy CZAS”. Andrzej Karpiński komponuje i wykonuje muzykę od 1982 roku. W latach 80. współtworzył punk rockowe kapelle Sten i Socrealizm. Po rozwiązaniu grupy Sten w Poznańskim Liceum Sztuk Plastycznych, powołuje do życia z Marzeną Kaczmarek (obecnie Karpińska) (mini klawiatury, głos) i Piotrem Łakomym (git. basowa, głos) projekt „Reportaż”. Od początku działalności główną ofertą grupy była muzyka improwizowana oraz przekaz treści zaangażowanych społecznie. Promocją grupy zajmuje się wtedy Henryk Palczewski (ARS2). Powstają wtedy projekty; „Piedestał”, „Łosoś”, „Witraż”. Do zespołu dołącza Jacek Hałas (fortepian, głos), grupa tworzy programy koncertowe; „Domator”, „Muzyka Potrzebna”, „Prosimy Nie Powtarzać”, „W Oczekiwaniu Na To Samo”, „Prawo Ciężenia”, „Wybór”. W latach 80. XX w., muzyka Reportażu zostaje wydana na wielu kasetach i płytach niezależnych wydawnictw z Polski, USA, Belgii, Francji i Włoch. Każdy koncert ma osobną tematykę, scenografię i charakter teatralny. Od roku 1985 grupa działa w składzie; Andrzej Karpiński, Arnold Dąbrowski (fortepian, syntezyzator, głos), Paweł Paluch (fagot). Powstaje wtedy projekt „W Górę Rzeki”. Zespół wydaje w Anglii LP „Up the River” (Recommended Records - 1988) w kraju LP „Reportaż” (Tonpress -1987). Koncertuje w Polsce z Skeleton Crew (Fred Frith, Tom Cora), a także na warszawskim festiwalu Marchewka'87 obok takich wykonawców jak; David Thomas, Chris Cutler, The



Wooden Birds, Minimal Compact, The Ex, Test Dept., Kempec Dolores, Pociąg Towarowy, Radio Warszawa. Promocją grupy zajmuje się Henryk Palczewski z ARS2c oraz Chris Cutler z Recommended Records. Reportaż uczestniczy w sesjach nagraniowych Lecha Jankowskiego do filmów Braci Quay (m.in.; Institute Benjamenta). Współpracuje ze znanym reżyserem radiowym Waldemarem Modestowiczem. Trafia do radia, teatru i filmu. W latach 2002/2004 „Reportaż”, to muzyczny „teatr jednego aktora”. Powstają wtedy solowe programy koncertowe i dwie płyty: „Gulasz z Serc” i „Muzyka do Tańca”. Druga, w części pochodzi ze spektaklu dla Atelier Polskiego Teatru Tańca („Gra I Czas” w choreografii Iwony Pasińskiej). Płyty „Reportażu” trafiają do znanych wydawnictw: Cuneiform Records (USA), Recommended Records (obecnie ReR Megacorp) (GB). Projekty te prezentowane są na

festiwalach muzycznych, teatralnych i filmowych (Malta, Era Nowe Horyzonty, Zdawienia 2003/2004). Zespół inauguruje serię 20. koncertów na puszkach po farbach (Automechanika, Frankfurt nad Menem, 2004), a z inicjatywy Guigou Cheneviera z francuskim gitarzystą Nicolasem Chatenoud Andrzej Karpiński zakłada w 2005 r. duet Pogofonic, z którym koncertuje w kraju i za granicą (m.in. na Gare aux Oreilles w Avignon/Coustellet, 2007). Od 2004 r. Reportaż to duet Andrzeja Karpińskiego, najpierw kontrabasistą Bogdanem Mizerskim, a potem z pianistą i operatorem urządzeń analogowych Witoldem Oleszakiem. Nagrywają oni płytę CD Bezsensory (ARS2, 2005) oraz tworzą wydarzenie muzyczne: „Emotikony i Piktogramy”. Duet koncertuje też z wirtuozem liry korbowej Pascalem Lefeuvre (2004), gitarzystą (zarazem multiinstrumentalistą) guru autorytetem

współczesnej muzyki alternatywnej improwizowanej Fredem Frithem (2006) i z angielskim perkusistą, kompozytorem, autorem tekstów piosenek, producentem muzycznym, wydawcą i teoretykiem muzyki Chrisem Cutlerem (2008). W 2010r. z żoną Marzeną Karpińską powstaje program koncertowy o historii Polski połączony z muzyką improwizowaną pt. „Głos z Wielkopolski czyli Domowy Wyrób Kielbas”. Oprócz sarkastycznego przekazu treści, celem koncertów jest także osiągnięcie wysokiej jakości dźwięku. Andrzej unika typowych nagrań studyjnych, skupia się na muzyce „żywej” i dalej eksperymentuje z wykorzystaniem perkusji i własnego głosu. Obecnie artysta wiele koncertuje w Polsce [Mózg Powszechny (Warszawa), CSW Toruń, Galeria Perlegal, ODK Słońce, Galeria Rozruch (Poznań), Włocławek, Piła, etc.] dając indywidualne koncerty podczas wernisaży sztuk wizualnych.

RARYTASY Z ZAKURZONEJ GRAJĄCEJ SZAFY

Lombard „Live”

Raptem sześć utworów i nieco ponad trzydzieści sześć minut muzyki. Ale jak znakomitej muzyki. Moim zdaniem jeden z najlepszych albumów koncertowych jaki nagrał i wydał polski wykonawca. Mowa o koncertowej płycie zespołu Lombard zatytułowanej „Live”.

JACEK LIERSCH

Album wydała polonijna firma „Savior” pod numerem katalogowym SVT 002. Wydawnictwo zaiste wyjątkowe. Z różnych powodów. Po pierwsze to zestaw znakomitych kompozycji, świetnie zagranych i zaśpiewanych. Po drugie to chyba jedna z pierwszych koncertowych płyt polskiego wykonawcy, którą akceptuje się po pierwszym odsłuchaniu. I po trzecie, wydaniem tego albumu podjęła się raczkująca wówczas na rynku płytowym firma „Savior”. Chwała jej za to, bo to właśnie dzięki niej mogliśmy w maju 1983 roku kupić ten krążek. No może kupić to zbyt górnotłone stwierdzenie, bo w tamtych latach płyty, jak i wiele innych produktów się zdobywało. Produkty firm polonijnych były raczej trudne do zdobycia, ale czasem udało się „wbić” w dostawę, odstać swoje w kolejce i pozyskać upragniony produkt. W taki właśnie sposób stałem się posiadaczem tego naprawdę fascynującego albumu. Album rozpoczyna dynamiczna kompozycja Grzegorza Stróżniaka „Nasz ostatni taniec”. Po nim mamy „Znowu radio”, jedyna kompozycja Piotra Zandera na tej płycie, z jego autorską, jakże precyzyjną i świdrującą ucho gitarową solówką. Stronę „A” kończy ponad dziewięćminutowy „Bye, bye Jimi”, muzyczny hołd dla Jimi Hendrixa. Strona „B” zaczyna się od nieco niedocenianego utworu „Słowa chore od słów”. Spokojny motyw muzyczny plus wyborny wokal Małgorzaty Ostrowskiej i kolejna wyśmienita solówka Zandera. A zarazem potem „Spóźniona radość”, kolejny rytmiczny i dynamiczny kawałek z cie-



kawą solówką Stróżniaka na klawiszach. No i dochodzimy do „grand finale”, czyli utworu, który bez wątpienia należy już do kanonu polskiego rocka. „Przeżyj to sam” i wszystko już jasne.

Siła i moc tej płyty, wynikała moim zdaniem ze składu Lombardu w tamtym okresie. Kompozycje Grzegorza Stróżniaka, również nierzadko wykonywane przez niego samego („Bye, bye Jimi”, „Przeżyj to sam”), wokal

Małgorzaty Ostrowskiej, czy wreszcie znakomicie brzmiąca gitara Piotra Zandera, to były trzy jakże istotne i wspaniale uzupełniające się elementy muzycznej maszyny zwanej Lombardem.

Chyba jeszcze długo nie będzie nam dane wysłuchać tak dobrych nagrań, jak te dokonane podczas dwóch koncertów zespołu w Sali Filharmonii Szczecińskiej w listopady wieczór 1982 roku.

DZIENNIKARZ – PASJONAT MUZYKI

W dzisiejszych czasach, gdy liczy się pogoń za pieniądzem, pasje czy młodzieńcze ideały idą w zapomnienie, a proza życia zmusza by zamiast wymarzonej pracy wykonywać jakąkolwiek, często na umowie śmieciowej – bo za coś trzeba żyć, trafiają się wyjątki którym udaje się połączyć pracę z pasją. Przykładem jest tu Andrzej Masłowski, ceniony dziennikarz od lat związany z poznańskim Radiem Afera, który „żyje muzyką” i na temat płyt ze swej kolekcji wie prawie wszystko, a ma ich tysiące.

MICHAŁ SOBKOVIK

Michał Sobkowiak: Prowadzi Pan w radio program, w którym prezentuje Pan swoją ulubioną muzykę. Można powiedzieć, iż łączy w ten sposób pracę z pasją.

Andrzej Masłowski: Tylko i wyłącznie. Zawsze wszystko jest podyktowane pasją i wynika z tego jedyny sens prowadzenia tego wszystkiego. Wynika to z faktu, że mam wolną rękę, swobodę działania. Nikt mi w nic nie ingeruje, niczego nie miesza, niczego nie narzuca. Tylko dlatego się w to bawię od dwudziestu lat. Gdybym miał pójść do czegoś, co jest uprofilowane i robić coś pod czyjeś dyktando, to raz żebym tego nie robił, a dwa nie stanowiłoby to dla mnie najmniejszej przyjemności.

Ceni Pan niezależność?

W dzisiejszych czasach wszystko musi być pod coś podpięte, pod coś podlegać, bez niezależności. Dlatego ceńmy, że mamy taką możliwość, aby robić coś niezależnie, bo to już są naprawdę ostatki. Jak takie Radio Afera zniknie, a podobnych stacji jest raptem jeszcze kilka w całej Polsce to już nie będzie nic.

Chociaż radia internetowe ambitnie działają, są niezależne – to bądźmy szczerzy nikt ich nie słucha. To są takie radia, które gdy się je zareklamuje znajomym są słuchane przez grupkę osób. Ale chodzi o to, żeby z taką muzyką iść szerzej. Tą niezależność należy podać w szerszym zakresie, żeby nie była ciągle stłamszoną, ściśniętą, tylko by ludzie, którzy nie mają pojęcia o tej niezależności, mogli w ten właśnie sposób o niej się dowiedzieć.



FOT. BARTOSZ KAJ

Od jak dawna prowadzi Pan „Nawiedzone Studio”?

Od dwudziestu lat.

Wcześniej współpracował Pan też z Radiem Fan.

Tak. To był epizod sześćioletni, w latach dziewięćdziesiątych – od 1994 do 2000 roku. To było bardzo fajne radio. Ono też wyrastało ze studenckiego radia, podległego Akademii Rolniczej (dzisiejszy Uniwersytet Przyrodniczy). Oni także mieli pasję, która przeszła długą drogę i stacja stała się na pół komercyjna, na pół niezależna – miała w sobie trochę tego, trochę tego. Ekonomicznie nie było w stanie przetrwać i upadło, jeśli się nie mylę, w październiku czy listopadzie 2000 roku. Ja bardzo żałuję tej stacji, ona była świetna. Tylko to był zły

okres, ponieważ w tych latach dziewięćdziesiątych ludzie byli zachłyśnięci, zafascynowani wielkimi korporacjami ogólnopolskimi.

Żałuję Radia Fan (wcześniej Radio Wino-grady), ponieważ to była stacja, która robiła kawał dobrej roboty. Z resztą byli tam świetni dziennikarze. Taki Marcin Woroch, znany z TVN, wywodzi się właśnie z Radia Fan. U nas stawał pierwsze dziennikarskie kroki. Wcześniej z tą stacją związany był Mariusz Max Kolonko, Dorota Wiśniewska (rzeczniczka Aquanetu), pisarz Łukasz Wierzbicki i wielu innych ludzi, którzy przychodzili tam jako pasjonaci, a później przekiwali do innych stacji – Sebastian Kończak do MC Radio, Jarosław Sobierajewicz do Radio Wawa. To byli moi współpracownicy. Sebastian Kończak i Jarosław Sobiera-

jewicz realizowali audycje, które ja prowadziłem. Oni poszli dalej, a ja na tym swoim gruncie niezależności pozostałem do dzisiaj. Każdy jest chyba zadowolony.

Ze strony radia publicznego, np. poznańskiego Radia Merkury nie miał Pan żadnych propozycji?

Nie miałbym żadnych szans. Dlatego, że Radio Merkury robi cięcia budżetowe. Poza tym trudno się tam dostać, gdyż wytworzył się tam pewien kolektyw i chyba nie specjalnie wpuszczają kogoś z zewnątrz. Dokładnie nie wiem, ponieważ się nie starałem nigdy o to. Tam jest chyba inny rodzaj dziennikarstwa. Oni biorą ludzi, którzy są wyuczonymi dziennikarzami. Takimi w klimacie Programu Trzeciego Polskiego Radia. Oczywiście, pasjonaci tam na pewno są, tylko tam się takich ludzi jak ja nie szuka, którzy dużo mówią, zbyt długo coś robią. Tam chyba wszystko musi być krótkie, spięte. A ja muszę mieć czas na wszystko. Ja chcę o każdej piosence, o każdej płycie coś opowiedzieć.

Dlatego mam czterogodzinną audycję, bo w tych czterech godzinach się w miarę mieszczę i zagram to co chcę. Natomiast robić audycję, która trwa godzinę, to to jest więcej podróży w jedną i drugą stronę niż to co człowiek robi. Godzinna audycja to jest „dzień dobry”, kilka utworów i już się mówi „do widzenia”. Nie dałoby mi to satysfakcji. Czułbym się cały czas spięty, że ktoś nade mną stoi i mówi szybciej, szybciej, szybciej...

Słuchacz, który siedzi w domu myśli, że godzina programu to jest dużo. Dla prowadzącego ta godzina to jest błysk. W Aferze można czasami zrobić lepszą robotę, właśnie dlatego, że nikt tam nikogo nie spiesza.

Rozgłośnie akademickie nie mają dużej słuchalności. Czy zatem są potrzebne?

Takie stacje jak Afera potrzebne są w całej Polsce. Nie tylko w tych kilku miastach, w których istnieją studenckie rozgłośnie. Po to, że my czasem nie wiemy kogo tracimy. Często Ci ludzie nie są w stanie dostać się do stacji radiowej w większym mieście,

a w swoich mniejszych nie mają żadnej stacji. Jak zatem mamy wyłapywać ludzi, którzy coś potrafią, coś wiedzą.

W Radiu Fan może dwie osoby były po studiach dziennikarskich. Reszta ludzi była zupełnie po innych kierunkach, a później zaczęli się tym zajmować zawodowo. To świadczy o tym, że dziennikarzami mogą stać się ludzie, którzy nie mają żadnego przygotowania pod tym względem.

Czuje się Pan spełniony zawodowo, czy ma jeszcze jakieś niespełnione plany?

Chciałbym jak najdłużej robić to co robię. To mi daje wielką radość. Nigdy o telewizji nie marzyłem. Piszę jeszcze do ogólnopolskiego miesięcznika „Audio Video” recenzje płyt. Bloga prowadzę, który daje mi satysfakcję, bo mogę tam swoje wszystkie żale, smutki i radości przekazać bez żadnej cenzury.

Program też mi daje tę satysfakcję, tyle tylko, iż mam wrażenie, że mam dużo więcej płyt do zagrania niż jestem w stanie zagrać. Więc mimo tego, że mam aż cztery godziny, jest to dla mnie mało. Chciałbym mieć dodatkowe dwie godziny w tygodniu, bym mógł zagrać inne moje ja, czyli dużo fajnego popu, na który normalnie nie mam czasu, gdyż w „Nawiedzonym Studiu” gram głównie rocka. Każdy, kto byłby na moim miejscu, przyznałby że czas w czasie audycji szybko leci.

Niedawno kolegę poprosiłem, żeby zastąpił mnie. On kiedyś mówił: „Facet jak Ty jesteś w stanie te cztery godziny tam wysiedzieć”. Po zastępstwie przysłał mi SMS’a: „Masz rację. W tych czterech godzinach zaplanowałem, że będzie to, to i tamto. Nie mogłem się pomieścić, tak mi ten czas szybko zleciał.

Nieskromnie mówiąc, uważam że mam dużo kapitalnych płyt, których ludzie nie znają i trzeba im to zagrać. Czasami mnie złości, że ludzie tego nie znają, że powinni to gdzieś poznać i nie mają gdzie. Nie można mieć do nich o to pretensji. Dlatego uważam, że powinno się dać tym ludziom możliwość posłuchania tego. Mam wrażenie, przypadkiem słuchając radia w takśówce czy u znajomych, że wszystkie sta-

cje grają to samo – te same kapele, te same nazwiska.

W dobie internetu, gdzie wydaje się, że dostęp do muzyki jest prosty, to wcale tak nie jest. W brew pozorom, w tym całym natłoku ciężko jest znaleźć rzeczy wartościowe. Nawet jak sami znajdziemy trzech wykonawców, komputer podpowie dziesięciu kolejnych, a o stu pięćdziesięciu nie będzie pamiętać. My musimy sami to odkryć. Na niektórych wykonawców komputer nigdy nas nie naprowadzi. Kiedyś ludzie nie mieli internetu i znali więcej niż znają dzisiaj.

To prawda. Internet rozleniwia ludzi.

Bardzo rozleniwia. Ludzie idą na łatwiejsze. Sieć podpowiada rzeczy bardzo oczywiste, a nie odkrywa im tych rzeczy naprawdę godnych odkrycia, bo te są bardzo niszowe. To właśnie jest misja dziennikarstwa, żeby ludzie o tym pisali, grali. Jak się tych ludzi odetnie od tego, to nie ma kto tego robić. Żeby młodzi dziennikarze takie rzeczy znali – muszą się od kogoś nauczyć. Sami do tego nie dojdą. Z racji wieku nie poczują pewnych klimatów. Trzeba im przekazać jak trawa pachniała czterdzieści lat temu.

Co Pan poradzi osobom, które „duszą się” w swojej pracy, chciałyby coś zmienić, połączyć pracę z pasją?

Na siłę nie da się niczego zrobić. Pasja polega na tym, że to się ma w sobie. Człowiek się z tym rodzi lub nabywa. Pewnego dnia dostaje się impuls, a potem się już w to bagna wchodzi i człowiek nie wie o tym, że już jest w nim po uszy, że z niego nigdy nie wyjdzie. Tak się wchodzi we wszystko. Ja wszedłem tak w muzykę. Inni w żołnierzyki czy resorowce. Pasji się nie da nauczyć.

Co poleciliby Pan młodym ludziom, którzy stoją u progu kariery zawodowej?

Najuczciwiej byłoby polecić, by robili to, do czego mają przekonanie i by mocno wierzyli w to, co robią. Jeśli kochają coś bardzo, ale wiedzą, że nie będą w stanie utrzymać z tego rodziny, to niestety muszą przejść na realny grunt i coś zmienić

w swoim życiu. Pozostawić to jako pasję, ale nie żyć z tego. Ja na przykład z muzyki się utrzymuję, ale bardzo średnio. Mój kierunek nie jest najlepszy. Nikomu nie polecam tego.

To jest właśnie problem. Teoretycznie idąc za głosem serca, niewiele mogą osiągnąć, bo dzisiaj raczej trzeba dość twardo stąpać nogami, aby zarobić na chleb. Należy mieć dobry zawód, wykształcenie i mieć jeszcze szczęście, by dostać dobrą pracę.

Są ludzie, którzy dostaną się do jakiejś ważnej korporacji, będą siedzieć w muzyce i będzie to ich spełnianie marzeń i dobrze przy tym zarobią. Moi koledzy, którzy z nieistniejącego już Radia Fan dostali się do Radia Eska, do Wawy itd., dzisiaj mają dobre pensje. Jeden z kolegów jest dyrektorem muzycznym w Radiu Eska, a był takim szarym prezentem jak ja. Przychodził, robił audycję muzyczną, ale okazało się, że ma dobry głos, ma coś do powiedzenia, poszedł na jakieś weryfikacje, przyjęli go i poszedł do góry. Jest ciągle młodym człowiekiem, a przez muzykę zaszedł daleko, więc tak też można.

Za to on już dzisiaj nie może sobie zrobić audycji autorskiej, takiej jak ja, żeby zagrać swoich ukochanych wykonawców, bo jak zacznie coś takiego robić, to straci słuchalność, a jak straci słuchalność, to mu audycję obetną. W „Aferze” na tej niezależności akurat nie traci się słuchalności. To radio ma specyfikę zgoła odmienną, ponieważ nie ma dłuższej słuchalności jak komercyjne stacje, zatem to radio tylko może zyskiwać. Ono poprzez ciekawe programy, ciekawych ludzi, a takich u nas nie brakuje, tylko zyskuje. Są ludzie, którzy na przykład słuchają radia dla konkretnej audycji. Tak więc, niech ta „Afera” jak najdłużej trwa (śmiech).

A co z pasjami?

Pasjonaci? No cóż, co pewien czas słyśmy o kimś, kto mocno wierzył w siebie i mu się udało. Są tacy ludzie, ale to są wyjątki, którym się poszczęściło. Wczoraj oglądałem program o naukowcach, o ludziach którzy czasem nie mieli co do



garnka włożyć i z ledwością starczało im do pierwszego, aż raptem dokonali czegoś przełomowego, co zostało podkupione przez innych i zaczęło im się dobrze żyć. Ale to są pojedyncze jednostki, a ilu naukowców nie ma z tego nic. Myślę, że tak samo jest w naszym świecie.

W „Nawiedzonym Studio” prezentowana jest muzyka, którą Pan „czuje”. Proszę powiedzieć czy miały miejsce sytuacje, gdy ktoś mówił: zagraj to czy tamto, nie graj tamtego?

Nigdy przez dwadzieścia lat nikt mi nie zasugerował co mam grać, co mam mówić, co mam robić. Ewentualnie byłem korygowany, gdy gdzieś zrobiłem błąd. Korekty były tylko merytoryczne.

Jest Pan dumny ze swojej kolekcji płyt?

Uważam, że mam jedne z najlepszych płyt na świecie. Zbierane przez całe życie. Myślę, że o wszystkich kilku tysiącach płyt, które mam w domu, wiem wszystko. Uważam spokojnie, że pobiliłbym niejednego na głowę, ale prawda jest taka, że ja nie miałem szczęścia dostać się do BBC, tylko musiałem zostać na gruncie tym i robić krecią robotę tutaj. Podczas kiedy są ludzie, którzy mają dziesięć razy mniej płyt ode mnie, nie tak dobre i to oni rządzą światem. Nie zawsze jest sprawiedliwość, ale tak jest.

Jakiej muzyki Pan słucha najczęściej?

Muzyki, którą lubię jest bardzo dużo. Ja lubię rzeczy od Pet Shop Boys po King Crimson, od Anny Jantar po Black Sabbath. To mi w ogóle nie przeszkadza. Są rzeczy, które są dobre i ja je absolutnie przyjmuję.

Muzyka ta się uzupełnia. Czasami człowiek ma ochotę posłuchać czegoś ostrzejszego, innym razem woli muzykę spokojniejszą np. Mika Oldfielda, a jeszcze kiedy indziej sięga się po muzykę pop spod znaku Madonny czy Tiny Turne r.

Dokładnie. Są rzeczy, których oczywiście nie znoszę. Tak jak na przykład rapu, hip-hopu. Do tego nikt mnie nie przekona. Nigdy nie będę zwolennikiem typowo elektronicznego, takiego technogrania, którego nie czuję. Nie chcę mówić, że ono jest złe. W dziedzinach, które lubię również są wykonawcy którzy mi się podobają i za którymi nie przepadam. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Ktoś zapyta dlaczego lubisz HammerFall, a nie lubisz Blind Guardian w zespołach metalowych. Grają niby podobnie, ale w HammerFall podobają mi się gitary, lubię głos Joacima Cansa, a w Blind Guardian nie lubię wokalisty i mimo, że grają fajną muzykę i są jednym z bardziej znanych zespołów w tym nurcie metalu, mnie się ten zespół nie podoba i nie wiem dlaczego. Ktoś powie, lubisz ładne piosenki, lubisz Barrego Manilowa, to z nowego pokolenia lubisz Robbiego Williamsa, a ja Robbiego Williamsa szanuję, ale nie kręcą mnie jego piosenki, podczas gdy Barrego Manilowa mogę słuchać nieprzerwanie.

Jak ocenia Pan rynek muzyczny w Polsce?

Bardzo ubogo. Ale nie tyle pod względem podażowym, co... My chyba w tym bloku wschodnim tak w ogóle mamy, że u nas muzyka nie jest poważnie traktowana. Mówię ogólnie o muzyce, nie o komercyjnych programach, które istnieją i jest ich coraz więcej. Jak zaczniemy mówić o programach typu „Voiced Of Poland” czy „Must The Music”, to one mają dobre słupki oglądalności. Jeżeli dla kogoś jest to cała

muzyka, to ona ma się dobrze. Ale niestety te programy zabijają prawdziwą muzykę. Ludzie bardzo często myślą na podstawie takich audycji i takich programów, że to jest cała muzyka tego świata i że tylko te przeboje rządzą. Nie poznają muzyki jako sztuki, czyli nie słuchają jej, tak jak powinni – pełnymi dziełami. Tak jak artysta ma na przykład zrobić koncert, który trwa 50 minut i jest złożony z 10 utworów i te utwory tak a nie inaczej poukłada, w tej a nie innej kolejności, to on chce abyśmy tak go słuchali. Natomiast u nas często muzykę traktuje się jako wyrwaną z kontekstu, jako ładne melodyjki, przeboje, jako zabijacz ciszy, muzykę do hotelowych wind tak naprawdę, albo jako podkład do robienia zakupów w sklepie, a nie jako sztukę.

Ludzie często słuchają pojedynczych utworów jako pojedyncze kawałki, czyli strzępy czegoś i tego się u nas nie lansuje. Ja myślę, że chyba Trójka jest jedyną taką stacją w Polsce, która poleca całe płyty. Ja nie jestem słuchaczem Trójki, ale mam bardzo wielu znajomych, którzy mówią, że Trójka poleca czasem całe płyty, płytę tygodnia itd. Więc zakładam, że Trójka robi dobrą robotę, że stara się zaszczerpić ludziom takiego bakcyła do tego. Ale myślę, że to też jest wycinek zaledwie, że to nie jest szerokie.

Tak naprawdę powinny być programy telewizyjne w których poleca się całe dzieła, ludzie kupcie to, posłuchajcie tego. Nie na zasadzie „Tygodnika kulturalnego” w TVP Kultura, który ogląda z resztą też co któryś widz. W ogóle powinny być takie programy. Każda gazeta powinna mieć taki dodatek, nie po macoszemu dwa zdania, ale dział recenzji. To powinno być rozbudowane.

Niestety wiąże się to z pieniędzmi, to jest znowu ekonomia, to jest znowu miejsce w gazecie, to jest znowu ciśnienie ram, skracanie wszystkiego i to są rzeczy, których nie przeskoczmy. Ideologicznie każdy wie, jak to powinno wyglądać, a prawda jest taka, że kiedy przychodzą realia i redaktor mówi masz dwa tysiące znaków

na napisanie recenzji. A co to jest dwa tysiące znaków? To jest nic.

Kiedy człowiek napisze porządną recenzję na cztery tysiące znaków, to wszystko co najważniejsze zostanie z tego wykreślone. Nie każde pismo tak robi, ale zakładam, że sporo. Największe dzienniki, magazyny ograniczają miejsce i siłą ducha wszystko sprowadzają do funkcjonowania oczu – żeby było kolorowo; przejrzysta, krótka treść, nie za długa, bo jak za długo to czytelnik się znudzi i nie doczyta do końca. Jak zobaczy coś takiego dwa lub trzy razy nie kupi następnego magazynu i to się wszystko w ten sposób odbywa.

Nawet felietony w tygodnikach są bardzo krótkie. Każdy z autorów dostaje jedną niedużą stronę, na której musi się zmieścić. Ten tekst, który on napisał na pewno jest dłuższy i na pewno zawiera kilka fajnych przemyśleń, które muszą być ścięte, bo to przeszłoby na następną stronę i zabrałoby się miejsca kolejnemu, a nie można. I wszystko jest takie skomasowane. Tak samo jest z muzyką, z radiem.

Trudno jest zrobić w dzisiejszych czasach pod tym względem coś więcej, bo pieniądź, pieniądź i jeszcze raz pieniądź rządzi. Ideologia na bok. Jak starczy miejsca, to OK.



Jedynie sport się w mediach broni, ale wynika to raczej z układów patronackich niż z chęci czystego przekazania informacji.

Też jest coraz bardziej skomercjalizowany.

W gazetach miejsce dla sportu jest, w telewizji w serwisach informacyjnych sport zawsze jest, a o muzyce nic nie ma.

W przerwie meczu piłkarskiego, 15 minut przerwy w czasie ważnego meczu międzypaństwowego, Studio Warszawa pojawia się na minutę, góra na półtorej minuty, gdzie jest pytanie, pytanie, odpowiedź i „dziękujemy, spotykamy się za chwilę”. Pozostałe 13 minut lecą reklamy.

Zgadza się.

Już zauważyłem, że na którejś komercyjnej stacji sportowej, jak piłka wyleci na aut i jest jakieś pięć sekund czasu, to leci 3 sekundowa reklamówka. Nie pamiętam czy widziałem to na Sport Clubie czy Orange Sport, na którejś z tych stacji. Już zauważyłem, że podczas jednej połowy meczu lecącego na żywo potrafią wejść ze 3-4 razy z takimi pięciosekundowymi migawkami, tylko strzałka przeleci z reklamą. Muszą nawet tutaj wcisnąć.

Tym sposobem wyjaśniliśmy skąd w mediach tyle sportu i dlaczego muzykę traktuje się po macoszemu, dlaczego telewizja nie pokazuje koncertów, a jeśli już to w godzinach nocnych. Bo przecież transmisje z festiwali to nie koncerty. Dziękuję za rozmowę i życzę wielu dobrych płyt oraz kolejnych słuchaczy.

Audycji Andrzeja Maślowskiego „Nawiedzone Studio” można posłuchać co tydzień w nocy z niedzieli na poniedziałek od godziny 22 do 2 na falach Radia Afera (98,6 MHz) lub przez internet. Ponadto recenzje płyt, komentarze itd. można znaleźć na „Blogu Nawiedzonego” (<http://blognawiedzonego.blogspot.com/>). Na prośbę Pana Andrzeja nie zamieszczamy jego fotografii, ponieważ nie chce on swoim wizerunkiem psuć „magii radia”.

PRACA AKTORA W TEATRZE

Jest 7.00 rano, dzwoni budzik, a aktor który pracuje w jednym z lepszych miejskich teatrów, otwiera jedno oko, potem drugie, przeciąga się i znacząco wzdycha. Leniwiec pospolity? Gdzież tam – oddzielne otwieranie oczu (zawsze pierwsze jest lewe!), któremu towarzyszy westchnięcie to tylko rytuał codzienny, bo chwilę potem aktor wstaje dziarski i gotowy na nowe wyzwania. Biegnie na chwilę do łazienki, myje się szybko, prędko ubiera i idzie do pracy. Tak wygląda zwyczajny poranek aktora, każdego aktora zatrudnionego w teatrze, każdym teatrze. Czy aby na pewno? Nic bardziej błędnego.

NATALIA MIKOŁAJSKA

Aktor nazywa się K. - Franz Kafka nazwał bohatera swojego „Procesu” Józefem K., to dlaczego my byśmy nie mogli ochrzcić naszego aktora jedną literą? Zróbmy to...

... Zatem, mamy Aktora K., a K. - wracając do tematu głównego - jak każdy inny aktor na świecie, ma nienormowany czas pracy. Znaczy to, że nie codziennie po oddechowo-ocznym rytuale porannym chodzi do teatru, choć zawsze i wszędzie jest wobec niego bezwzględnie dyspozycyjny, bo w każdej chwili mogą go wezwać na próbę bądź też do przygotowania się do nowego spektaklu. I za to właśnie teatr wypłaca mu co miesiąc pensję. Jeśli tak się sprawy mają, to tylko żyć, nie umierać, być aktorem i pracować w teatrze! Jednak tak to już jest, że nie ma nic za darmo, i przynajmniej jeśli chodzi o sen, K. czasami, właściwie często się nie wysypia.

RÓŻNE PRACE AKTORSKIE

Gdzie idzie K. po oddechowo-ocznym rytuale porannym, jeśli nie jest to teatr? Po pierwsze może iść do radia i, tak jak inni jego koledzy-aktorzy, zagrać postać w spektaklu radiowym albo nagrywać inne nagrania radiowe – np. drogę krzyżową, za którą ostatnio arcybiskup poznański Stanisław Gądecki specjalnie podziękował Michałowi Grudzińskiemu, aktorowi z Teatru Nowego w Poznaniu. Po drugie, rano w radiu można też być zwykłym lektorem jak koleżanka z pracy pana Michała, Edyta Łukaszevska, która jest głosem pewnej marki kosmetycznej. Jednak aktorzy jako grupa zawodowa pracują głównie wieczorami, a ewentualnie popołudniami. Mogą więc



brać udział w stand-upach, czyli jak to mówią po polsku - w występach kabaretowych. Jednak z talentem do tego typu sztuk najpierw trzeba się urodzić i nie każdemu człowiekowi jest to dane. Aktorzy grywają w innych teatrach, filmach, nagrywają różne rzeczy dla telewizji. Występują też w reklamach radiowych albo i telewizyjnych. Nierzadko zajmują się konferansjerką w trakcie różnych imprez i koncertów (wieczornych), są wykładowcami w szkołach wyższych (to już raczej nie wieczorami, choć ze studiami zaocznymi różnie to bywa). Nauczycielami akademickimi są np.: Zbyszek Grochal czy Janusz Andrzejewski z Teatru Nowego w Poznaniu. Aktorzy od czasu do czasu prowadzą także własne kursy aktorskie dla młodzieży i wszystkich chętnych, którzy chcą

sprawdzić swoje siły w aktorstwie, jak Michał Kaleta z poznańskiego Teatru Polskiego. Wspomniany już Janusz Andrzejewski natomiast założył też wspólnie z żoną-aktorką mały teatr „itja”, który za odpowiednią opłatą można zaprosić zawsze i wszędzie właściwie. Poza tym aktorzy nagrywają audiobooki i czytają na nich różne książki i opowiadania. Ale...

... Jako że tytuł tego artykułu brzmi: „Praca aktora w teatrze”, skupmy się więc na tym teatrze i nie odbiegajmy za daleko od tematu. Aktor pracuje tam – nie codziennie! – w godzinach od 10.00 do 14.00 (są to próby, a ewentualnie przygotowanie nowego spektaklu), a potem od 18.00 do 22.00 (wtedy aktorzy grają spektakle, choć czasami – zwłaszcza przed premierami – mają też próby).



Michał Grudziński

W TEATRZE

Podzielmy pracę w teatrze na kilka punktów czy też etapów i teraz weźmy na tapetę spektakl. Chyba w większości teatrów założenia są takie, że aktorzy muszą być na miejscu 45 minut przed przedstawieniem. Często jednak i z reguły jest tak, że przychodzą oni jeszcze wcześniej, a bo to niejednokrotnie przed spektaklem wskazane jest rozśpiewać się, a bo to trzeba powtórzyć sobie jeszcze raz tekst albo pobyc z innymi i ukoić nerwy – cóż, tak to już jest na świecie, że nie ma aktora, który nie znałby tremy. Poza tym są aktorzy, choć tak naprawdę jest ich teraz coraz mniej, którzy przed spektaklem przeprowadzają tzw. „toaletę aktorską” K. S. Stanisławskiego, wielkiego rosyjskiego reformatora teatru. Aktorzy ci po prostu oczyszczają siebie z szumu życia, ulicy, problemów itp. itd. przed wyjściem czy też wejściem na scenę. Jest to system ćwiczeń zarówno fizycznych jak i psychicznych (powiedzmy duchowych) - włączajmy w to elementarne zadania aktorskie, emisyjne, dykcyjne - przygotowujące cały organizm aktora do pracy twórczej i do spotkania z partnerami i widownią. Jest tylko jedno ważne zastrzeżenie - w tym treningu, tej „toalety aktorskiej” nie może się

pojawić żaden z elementów sceny sztuki, którą aktor będzie grać tego dnia. Spektakle zazwyczaj są wieczorem, choć K. wspomina Michała Kaletę, który opowiadał, że kiedyś przed południem grali „Hamleta” dla uczniów liceów, obłożenie spektaklu było zaskakująco duże, ale kiedy popatrzył na widownię z tyłu widowni z reżyserki, to zobaczył, że prawie wszyscy licealiści pisali SMS-y albo grali w gry na komórkach w czasie przedstawienia. Przed spektaklami z reguły są próby do nich – to już wiemy – głównie jest to czas od 10.00 do 14.00 – to też już wiemy - ale nie wiemy nic konkretnego o próbach wieczornych. Zatem – bo dobrze jest wiedzieć - próby po spektaklach są dobrą wolą aktorów. Jednak oni z reguły nie odmawiają – kto chce zrobić z siebie nieprofesjonalnego głupka i zapomnieć tekstu na scenie w trakcie spektaklu? Próby w niedzielę natomiast są rzadkością, a nawet wielką rzadkością. Przecież niedziela dla wszystkich zawodów jest świętem, a aktorzy i tak wieczorem tego święta nie mają, bo grają dla innych – świętujących - spektakle. Ale w tym momencie dochodzi do tego...

... Kolejny punkt programu teatralnego - kursowy. Istnieją bowiem dodatkowe kur-

sy, jak te w szkole teatralnej, które aktorzy muszą przechodzić, aby zagrać w tym czy innym spektaklu. Z reguły jest tak, że trener przychodzi do teatru albo aktor idzie do instytucji na określone zajęcia i uczy się np. profesjonalnej żonglerki, stepowania czy też karcianych sztuczek. Następnym punktem programu teatralnego jest zbiorczy, bo chodzi o wygląd takiego aktora, a więc przymiarki kostiumów, makijaże, fryzury, charakteryzacja. Można by pomyśleć, że kobiety najlepiej czują się w takim czymś, ale gdzie tam – nierzadko mówią, że przymiarki są najbardziej stresujące. Podobnie zresztą panowie. Kostiumologowie (czasami są nimi scenografowie) generalnie dzielą się na takich, dla których kostium to dopełnienie danej postaci w sensie psychologicznym, więc aby uszyć go dla aktora, muszą tego aktora najpierw poznać i zobaczyć jaka jest ta konkretna postać. Potem łączą to wszystko ze sobą, myślą, mieszają, zespalały cechy ludzkie i postaciowe ze sobą, zastanawiają się nad efektem końcowym, a potem dopiero szyją. Druga grupa kostiumologów – tych jest, na szczęście, znacznie mniej – przychodzi z gotowym projektem i nie podejmuje w ogóle dyskusji z aktorem – ma

być tak jak oni chcą, bo to oni są profesjonalistami w swoim fachu i kropka, na scenie ma być szał, żadnych 'ale'. Jednak...

... Naszym kolejnym punktem teatralnym są: kontakty międzyludzkie, bowiem praca aktora – takiego jak nasz K. – wiąże się z bardzo intensywnymi kontaktami z innymi ludźmi. Przede wszystkim należą do nich koledzy – aktorzy, reżyser – główny szef przedsięwzięcia, ale również: scenarzysta, wspomniani już: choreograf, kostiumolog i fryzjer, sufler (organizuje całą logistykę spektaklu), a także wszyscy inni, którzy przyczyniają się do powstania dzieła, bo przecież w każdym teatrze jest tzw. ekipa teatralna – mówi się o niej „sól teatru”. Są to ludzie, którzy w teatrze są na stałe – nie zaliczają się do nich ani aktorzy, ani reżyserzy, ani dyrektorzy, bo ci zmieniają się stale i jak w kalejdoskopie – ta „sól” to: technicy, akustycy, dźwiękowcy, elektrycy, kosmetycy, scenografowie, kostiumologowie, rekwizytorzy, oświetleniowcy. Są oni, a raczej bywają dla aktorów prawdziwymi partnerami. Dodamy, że na szczególną uwagę zasługują tu garderobiani albo garderobiane. W ekstremalnych przypadkach potrafią oni być przyjaciółmi i lekarstwem dla zrozpaczonych aktorów tudzież aktorek i ich bądź je przytulić i pocieszyć i powiedzieć, że wkrótce żyć będzie się im łatwiej. Ale...

... Jak wyglądają próby? Otóż, najpierw są tzw. próby stolikowe, na których aktorzy poznają swoje postacie, zaczynają je lubić, czasami wręcz kochać, Raczej nie nienawidzić – K. nie zna aktora, który nie próbowałby np. wytłumaczyć sobie postępowania mordercy i tak właśnie (jako coś racjonalnego) przedstawić jego zachowanie na scenie. Zresztą on sam nigdy nie nienawidzi swoich postaci. Michał Grudziński mówi, że próby stolikowe, na których reżyser wyjaśnia wszystkim i każdemu z osobna jak widzi cały spektakl, takie są, że ci aktorzy, których postacie są niewielkie, zwykle mają najwięcej uwag. Natomiast ci z dużymi, rozbudowanymi rolami, tradycyjnie nie włączają się w dyskusję, tylko po cichu starają się je zrozumieć. Potem – po próbach stolikowych – aktorzy powtarzają do znudzenia pojedyncze sceny. W końcu, na krótko przed próbą

generalną – choć kiedy dokładnie się to zdarza, zależy od reżysera – próbuje się grać cały spektakl. Warto jednak dodać, że aktor wiele czasu spędza na indywidualnej pracy nad rolą, na budowaniu postaci, właściwym przekazaniu pożądaných treści i emocji. Należałoby dodać na końcu tego etapu, że przy próbach wznawieniowych (próbowanie spektaklu, którego nie grano, dajmy na to, przez dwa wakacyjne miesiące – aktorzy kończą swoje wakacje w połowie sierpnia, żeby mieć czas na wznawienia właśnie) zawsze próbuje się cały spektakl.

PAMIĘĆ I STRES

Tekstu sztuk, przedstawień i innych występów aktorzy uczą się z reguły zwyczajnie na pamięć – później powtarzają sobie słowa granej przez siebie postaci zawsze i wszędzie właściwie: w samochodzie, w tramwaju, na przystanku - przy czym czasami jest to przystanek autobusowy, a więc również w autobusach - przed lustrem i w łazience w czasie mycia się, przy śniadaniu, obiedzie i kolacji, kiedy zasypiają, budzą się rano, a w ekstremalnych sytuacjach także po przebudzeniu się w środku nocy, kiedy nie mogą ponownie zasnąć. Pewien aktor, kolega z pracy K., grał kiedyś półtoragodzinny monodram na podstawie prozy Bohumila Hrabala i wywiadów z nim, a wiadomo, że monodramy nie są i nigdy nie były sztukami zbyt popularnymi, więc spektakl dawno zszedł już ze sceny. Sytuacja powtarzania słów pana Bohumila na tyle była ekstremalna, że tekst półtoragodzinnego dramatu przypominał on sobie bez pauz i przerw przez 40 minut, kiedy stał oparty w samym podkoszulku o zimną ścianę sali prób. Dziwne, że się wtedy nie rozchorował, choć na pewno od tamtego czasu bardziej jest zahartowany i odporny na zimno. Jednak istnieje jeszcze coś takiego jak pamięć sytuacyjna, a wykorzystał ją np. Michał Grudziński grający Świętoszka, kiedy zapomniał na scenie tekstu wychwalającego wdzięki pupy Elmiry. Nie czekając długo na nagłe olśnienie chwycił naprawdę za pupę będącą tą dziewczęcą postacią, Danutę Stenkę, przypomniał sobie słowa i spektakl popłynął we właściwym kierunku. Co ciekawe, są też aktorzy, którzy uczą się tekstu całego spektaklu na

pamięć i potem, kiedy inni wygłaszają swoje kwestie, oni poruszają bezdźwięcznie ustami i powtarzają sobie w myślach cudze kwestie. Zastanawiające jest to, na ile coś takiego działa na nerwy innym aktorom, tym którzy dane słowa naprawdę wypowiadają? Ale...

... Na co dzień to jest tak, że aktorzy swoje teksty powtarzają praktycznie przed każdym wejściem czy też wyjściem na scenę. Robią to po prostu, żeby nie zapomnieć, choć „trema zależy – są to słowa Michała Grudzińskiego – od wielkości postaci, którą aktor gra”. I w sumie taka pewnie prawda jest. Jednak cóż na to poradzić? Grać tylko małe postacie? Są aktorzy, którzy z tremą radzą sobie różnymi technikami medytacyjnymi, bo przecież radzić sobie trzeba. Wrócmy do naszego K., bo zostawiliśmy go ponownie na boku, a on - biedny - czuje się osamotniony. Zatem K. nie może denerwować się na scenie, bo jak to tak? Widz ma oglądać rozhisteryzowanego pana K? Nie, to wykluczone - K. może zastosować rozmaite metody relaksacyjne, np. uspokoić oddech. Głos się wtedy obniża, czyli – jak twierdzi K. - jest to tzw. metoda WASH & GO, bo przecież niski głos jest głosem powszechnie bardziej lubianym, a aktorzy wszakże lubią lubianymi być. Swoją treść z tremą związany można też, co wcale łatwe nie jest, skumulować w kierunku motywującym, dobrym i energetyzującym. Wreszcie na stres dobre jest też fizyczne rozgrzanie ciała, jednak Michał Grudziński powtarza: „ciężkie jest życie aktora. Raz, że wciąż się obnażasz, a dwa, że chcą cię kupić za bezcen”. I K. czasami jest już tym wszystkim, tak zwyczajnie i po prostu zmęczony. Chciałby chociaż raz przez te „osławione” już wakacje aktorskie – czyli aż dwa miesiące, choć raczej mniej, bo w połowie sierpnia zaczynają się próby – robić jedno wielkie NIC, ale nic z tego. Praca i zobowiązania dopadną go zawsze i wszędzie – zostanie wpuszczony w ich tryby, przepuszczony przez nie, a potem wypluty zmęczony i z trudem dychający (nie ma co dziwić się więc temu jego oddechowo-ocznemu rytuałowi porannemu). Ale nie ma tego złego, bo K. tak naprawdę kocha swój zawód i za nic nie zamieniłby go na inny.

ELVIS

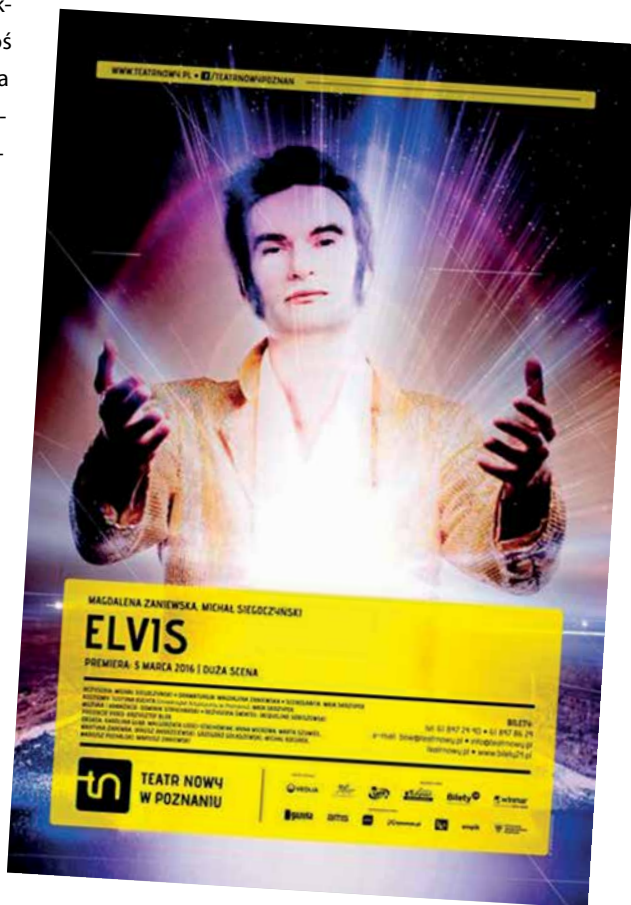
Od co najmniej trzech dekad w Poznaniu staram się przybliżyć postać Elvisa Presleya organizując różne działania muzyczne w znaczącym kalendarium dla tego wokalisty.

KRZYSZTOF WODNICZAK

Głównie związane z ważnymi datami – 8 stycznia (data urodzin), 4 lipca (ukazanie się pierwszego singla) i 16 sierpnia (śmierć Arona Elvisa). Wybierając się na teatralny spektakl Elvis nie oczekiwałem jakiegoś większego zaskoczenia, gdyż moja wiedza nie jest tylko encyklopedyczna, do tego znając ortografię muzyczną nie musiałem posiłkować się – na pożytek spektaklu – dodatkowymi lekturami. Gdyby nie pytanie znajomego o obecność Bono w tym spektaklu nigdy bym się nie domyślił, że w pierwszym części (I akcie, jeżeli można tak powiedzieć) pojawiająca się na scenie postać człowieka w ciemnych przeciwsłonecznych okularach miała być personifikacją Bono, gdyż ani niczego charakterystycznego, co można by natychmiast z Bono utożsamić, ze sceny nie padło. Słowem sposób ukazania tej postaci i jej miejsca w tym spektaklu był chybiomy, czego dowodem jest fakt, że dopiero „zajarzyłem” po wymianie uwag ze znajomym. Faktem jest, że w wielu wywiadach Bono przyznawał się do fascynacji postacią Elvisa, a raczej jego sztuką i to już od najmłodszych lat. Np. w numerze majowym z 2006 r. brytyjskiego magazynu MOJO Bono obok Dylana i Springsteena stwierdza, że Elvis, to człowiek, który zmienił wszystko (w sensie popkulturowym). Mówi o nim: „Punk rock już wtedy był, bo to była rewolta. Dokonała się tym giętkim głosem i ciałem”. Zresztą mam jego specyficzne wykonanie utworu „Can't help falling in love with you”. W tym samym materiale są też wypowiedzi innych znanych postaci jak np. Bill Clinton, jest też wypo-

wiedź Johna Lennona: „Prawdę mówiąc dopóki nie usłyszałem Elvisa nic na mnie nie robiło wrażenia. Gdyby taki Elvis się nie

ba byłoby rozkładać na czynniki pierwsze, całą tę teatralną maszynię sprowadzić do spraw światopoglądowych czy filozoficznych. Wszystko nasączenie niezrozumiałą treścią galopowało mnóstwem ozdobników i pozorną formą, ale równocześnie zabrało treści. Chociaż próbowano całości nadać elementy bardzo tradycyjne wizualnie, żywiołowe i energetyczne. Był to spektakl zbyt symboliczny, nie wyjaśnił ani kontekstu, ani nie odświeżył pamięci. Do końca trzeciej części nie obejrzałem. Musiałem opuścić salę 30 minut po 22 (ostatnie tramwaje). Był to moment, kiedy twórcy spektaklu usiłowali ukazać pozycję Elvisa w dobie internetu i jego aplikacji – YouTube'a, lecz prawdę mówiąc to co widziałem ugruntowało we mnie przekonanie, że nie bardzo wiem, o co twórcom Magdalenie Zaniewskiej i Michałowi Siegoczyńskiemu tego całego spektaklu trwającego, z przerwami, ponad trzy godziny chodziło. Czyli jak to mawiano w szkole; „co autor chciał przez to powiedzieć”. Nie rozumiem też określenia muzyka i aranżacja przypisane



pojawił, nie byłoby the Beatles. ” Było też charakterystyczne zdanie wypowiedziane przez Lennona: „Przed Beatlesami był tylko Elvis” padło po 2/3 pierwszej części, kiedy John siedzi na ławce z Yoko. Ale to co mówili o Presleyu Jim Morrison, Michael Jackson wspomniany Bono umknęło w natłoku dialogów bardzo ciekawych wygłaszanych przez Yoko i Johna, a także ważnych zdań jakie mówiła żona Elvisa Priscilla. Zadawano wiele pytań np. o relacje artysta – kariera. Tyle, że to nie trafiało na podatny grunt. Dialogi, na szczęście nie wszystkie, trze-

ne Dominikowi Strychalskiemu, gdyż nie były to dźwięki autorskie, a wykonywane przez doskonale śpiewających Annę Mierzwę, Karolinę Głąb i Michała Kocurka utwory przecież pochodziły z Jego obszernego repertuaru.

A w ogóle niedostatki dźwięku, dość częste, co jest już regułą w polskich filmach, jak widać przeniesioną na sceny teatrów dodatkowo potęgowały poczucie nieukontentowania. Tyle moich refleksji. Być może inni odebrali całość entuzjastycznie.

RAPSOD ŻAŁOBNY

Dzieło wielkiego tragika starożytnej Grecji znaczy się bogactwem interpretacji. A jest w czym wybierać.

ANDRZEJ GÓRNY

Postaci kobiet, biorące początek z Iliady, przypisane są wojnie, jak własnemu ich życiu; czy to Andromacha, żona Hektora, wielkiego męża Troi ginącego w pojedynku z Achillesem, która musi podjąć ciężar nieoczekiwanej, bolesnej roli; czy Helena z bezpowrotnie utraconą miłością, ale, w istocie dwuznaczną jej własną rolą, jaką pełniła w zawarciu Greków z Trojanami, co musi uczyć ostrożności, pokory, choć już na nie za późno; czy Kassandra sparaliżowana swą wiedzą o tym, co ich wszystkich czeka, a jednak nie zdoła nikogo skutecznie ostrzec przed nadciągającą katastrofą; i wreszcie Hekabe, pozbawiona królewskiego jestestwa, żona Priama, króla Troi, cierpi i boleje najbardziej, choć jeszcze nie zdążyła stoczyć się na dno swego upadku, co przyjdzie dopiero później, już poza dziełem Eurypidesa. Dlatego szukamy i na ogół znajdujemy – czytelnicy, czy realizatorzy w teatrze tej sztuki – w losach postaci tragedii Eurypidesa odpowiedź, ostrzeżenie wobec grozy upadku, jaką przynosi wojna, zadawanie śmierci. Tym razem reżyser, Kamila Michalak, i dramaturg, Barbara Klicka – zbuntowały się przeciwko współcześnie przyjmowanemu podejściu do tragedii Eurypidesa i nawiązały do teatru z epoki Autora. Zrezygnowały z możliwości jakie stwarza różnorodność dramatycznych losów postaci i dialogu między nimi. Nie najważniejsze jest tutaj, jakimi drogami w ludziach dochodziło do głosu przyzwolenie na rzeź wojny, i jak się chcą od tego wojennego bagażu w różny sposób uwolnić. Nie to jest w poznańskim przedstawieniu istotne i ważne, powiedziano już o tym dużo w różnych realizacjach tragedii w teatrze i nawet w kinie. Przyznam, że przyjęte przez realizatorki rozwiązanie jest, oczywiście, dość ryzykowne, jak na czasy XXI wieku – czasy szybkiego i siłą rzeczy naszego stosunkowo powierzchownego przeżywania (wystarczy przecież dzisiaj przesunąć lekko palcem po szkle i wpada się natychmiast w najróżniejsze klimaty i odkrycia, prawie za darmo, bez wysił-

ku!) – a jednak w tym przedstawieniu oszczędność, rezygnacja z wielu możliwości przyniosła godny uwagi rezultat. Zaczniemy od tego, że zgodnie z tradycją greckiej tragedii, przede wszystkim Chór dźwiga ciężar dokonującej się i opowiadanej historii, w tym wypadku nieszczęścia, jakie wojna przyniosła człowiekowi. To jedynie Chór – wielka ludzka wspólnota – jest w pełni otwarty na przeżywanie i rozpałmietywanie tego co się stało. I kiedy nie ma już ucieczki od bolesnych wypadków losu, Chór uparcie opowiada, czyli wraca swą pieśnią, dając świadectwo nieszczęściu wobec którego wszyscy są bezradni, bo już się stało. I tylko tak można jeszcze losowi, który się dokonał, wyjść naprzeciw, to znaczy oddając mu się dogłębnie swoim ludzkim lamentem – inaczej mówiąc, nieustającym przeżywaniem nieszczęścia, którego się doświadczyło, i stało jego ofiarą. Jest w tym przemożna, nieustępliwa w swoim oddziaływaniu, lecząca siła. Bo inaczej pozostaje w odpowiedzi zemsta, a więc szukanie możliwości zadania równoważnego bólu, czyli śmierci. Ta żałobna medytacja wydaje się być podstawową wartością ku której kieruje nas przedstawienie, przypomina o takiej możliwej reakcji, potrzebnej nam bardzo właśnie dzisiaj, w naszym strasznie skłóconym kraju.

Ta szczególna, wyjątkowo tak bardzo znacząca w przedstawieniu rola Chóru zaznacza się już na samym wstępie jego usytuowaniem w scenicznej przestrzeni, wręcz w wyraźnie hierarchicznym podziale sceny. I tak, całą centralną jej część i głębię wypełniają ludzkie głosy wystające z pochyłej ku nam podłogi. Tak, bo widzimy tylko to co decyduje, kwintesencję tego, co w nas najbardziej ludzkie, co ważne, dzięki czemu ludzie są zdolni sprostać po człowieczemu przeżywanym dramatom, swemu cierpieniu.

Wtedy też przedni plan sceny oddany jest indywidualnemu przeżywaniu dramatu. Widzimy, że odarta z królewskiego atrybutu Hekabe (Teresa Kwiatkowska) swym cierpiącym „ja”

wyłamuje się nawet z tej przestrzeni indywidualnego przeżywania. Tam gdzie inni obecni na tym przednim planie zdają się powściągać swą indywidualną ekspresję tak jak udaje się to celnie zarówno Barbarze Prokopowicz, Andrzejowi Szubskiemu, podczas gdy Michał Kaleta, jeszcze porywami szamotania się postaci tym bardziej ujawnia rzeczywistą bezsilność ich wszystkich. I mamy wtedy wrażenie jakby postaciom z tego planu odjęta została pełnia obecności, i to dlatego, bo cały czas za ich plecami jest jeszcze potężne „coś” – to najważniejsze, decydujące, co płynie w świat pieśnią przejmującej skargi i wyznacza wszystkiemu tajemne granice. I ta pieśń rzuca na nich z odległości swój daleki cień.

Ale nie trzeba szukać jakiegoś dopełnienia brakującej dramatycznej mocy, czy dopowiedzenia sytuacji jaką widzimy na scenie. To celna, znakomita scenografia Karoliny Fandrejewskiej dopełnia całości teatralnego obrazu, powiedziałbym nawet, że wizji jaka się w tym obrazie zdaje ujawniać z mocą – przyznam się, że dla mnie – proroczą. W istocie niczego tu nie brakuje. Struktura rzeczywista świata jest w tym przedstawieniu do końca przedstawiona, i taka niewzruszona znajduje pełny wyraz dzięki scenografii w obrazie, który mamy przed sobą. Gdzie my na widowni, jak pasażerowie z tylnego siedzenia, mamy przed sobą na scenie ożebrowaną i zwężającą się cylindrycznie daleko w głąb sceny konstrukcję przedniego członu – tunelu. I tam daleko nieruchomy, zamknięty ten tunel, i momentami lekko jakby pulsujący, mały okrąg ostrej, palącej czerwieni, co momentami zdaje się nawet pulsować. I jest tak jakbyśmy, i tu na widowni, byli temu spotkaniu tam bardzo daleko – na pewno przeznaczeni, i nawet więcej, bo już tym jakoś dotknięci. Trudno tego nie odebrać jako ostatnie kończące dopowiedzenie Chóru, który może już zamilknąć – a my już wolno z teatru wychodzić; wcale jednak nie tacy pewni, że to dla nas definitywnie się skończyło.

AKTOR BEZGATUNKOWY

Tadeusz Falana, bo to o nim mowa urodził się w roku 1960 na Śląsku, w miasteczku górniczym Rydułtowy. Ukończył PWST we Wrocławiu w roku 1987 i od razu zaczął pracować w Teatrze Nowym w Łodzi, a było tak do roku 1991. Potem pan Tadek działał aktorsko w Bydgoszczy i w Warszawie, by w 1996 przyjechać wreszcie do Poznania i osiąść tu na stałe, W tej chwili jest aktorem Mojego Teatru na poznańskich Jeźcach.

NATALIA MIKOŁAJSKA

Pan Tadeusz studiował we Wrocławiu, nie w Krakowie albo w Warszawie, gdzie szkoły aktorskie są chyba trochę lepsze, całkowicie przez przypadek. Co to znaczy? Na egzamin pojechał z koleżanką, żeby jej potowarzyszyć, bo nie chciała jechać sama by zdawać do teatralnej szkoły lalkarskiej. A że była ona – koleżanka – przekonująca, to przy okazji namówiła go, który w ogóle nie planował aktorem zostać, żeby nauczył się dwóch wierszy i prozy. Tadek nauczył się, podszedł do egzaminu, zdał i do szkoły się dostał. Koleżanka również zdała, ale razem studiowali tylko przez rok. Był to przecież wydział lalkarski szkoły aktorskiej, a jemu nie bardzo się tam podobało. Po roku więc zrezygnował i zdawał na wydział dramatyczny, gdzie dostał się – o dziwo! – od razu. Bardzo mu się tam podobało. W szkole aktorskiej z koleżankami i kolegami wiele rzeczy robi się wspólnie, mnóstwo czasu spędza się razem, więcej niż na normalnych studiach uniwersyteckich. W szkole aktorskiej praca indywidualna ograniczona jest do minimum, a studenci już od samego początku spotykają się w grupach i zawsze ćwiczą razem różne sytuacje i scenki. Pełny dramat, czyli całe spektakle czy też przedstawienia w szkołach aktorskich pojawiają się bowiem najczęściej na roku ostatnim, dyplomowym.

CZAS MOJEGO TEATRU

Do Poznania Tadeusz Falana przyjechał – jak wiemy – w roku 1996 i od razu został na stałe. Znalazł tu bowiem żonę, wkrótce też urodziły im się dzieci. W tej chwili jest pełnoprawnym aktorem Mojego Teatru, choć zdarza mu się również być kimś więcej – a mianowicie reżyserem. Takie inklinacje miał już w szkole – na scenie to on z reguły ustawiał

kolegów, a poza tym jedną sztukę – „Lekcję” Eugèna Ionesco – sam tam wyreżyserował. Jednak nie kształcił się na reżysera, bo założył rodzinę i jej się poświęcił, a w życiu jest tak, że wydział reżyserski bardzo mocno angażuje studenta. Wymaga wręcz ogromu pracy. Dodać tu należy, że pan Tadeusz uwielbia reżyserowanie i zawsze, kiedy tylko ma okazję, nie odmawia. Właśnie tak zabrał się za reżyserowanie „Przystanku na pożądanie”. Zakończenie w tym spektaklu jest w rękach widzów – za każdym razem autor przed jego rozpoczęciem proponuje dwie wersje do wyboru. Wydawać by się mogło, że to dość niespotykane w teatrach, ale zdarzały się już takie zabiegi, że widz wybierał końcówkę i miał wrażenie, że wpływa na to, co dzieje się na scenie. Czasami nawet publiczność sterowała i wciąż zdarzają się sytuacje, że steruje akcją w trakcie spektaklu. Jednakże w „Przystanku na pożądanie” zmienia się tylko końcówka. Pan Tadeusz reżyserował obie te końcówki i możliwe, że jest mu smutno, kiedy widzowie chcą wersję, którą on uważa za gorszą. Ważne jednak jest to, że i jeden i drugi koniec pozostawia strukturę otwartą do przemyślenia tematu, do dyskusji i do refleksji.

Próby w Moim teatrze, mimo jego małości, wyglądają zwyczajnie, jak w każdym innym teatrze. Na początku jest pierwsze czytanie, a w związku z tym, że właściciel i dyrektor teatru – Marek Zgaiński – jest dramaturgiem, to aktorzy kiedy rozczytują tekst spektaklu, czasami wnioskuje też o jakieś zmiany, na które autor zgadza się, jeśli tylko przekonają go argumenty albo kiedy służy to spektaklowi. Kolejnym etapem ćwiczenia danego spektaklu są próby czytane. Przy nich dużo łatwiej jest wszystkim – wnioskować i przeprowadzić zupełnie

nową zmianę. Gorzej kiedy aktorzy już wyjdą na scenę – jak to się mówi: wtedy jest już po ptokach.

Dużym plusem albo minusem – to zależy od punktu widzenia i siedzenia – Mojego Teatru jest niewielka odległość między publicznością a aktorami jaka tam panuje. Teatr ten przecież ze względu na swoje rozmiary to taka prawdziwa teatralna pigułka. Pan Tadeusz widzi w tym same plusy i jemu to odpowiada, choć prawdą jest też, że jeśli by grał na dużej scenie, to zapewne też by twierdził, że mu to odpowiada. Taka niewielka odległość pomaga widza zaktywizować i wciągnąć go w temat sztuki. Są ludzie, którzy po spektaklu chwalą teatr, że jest taki miły i kameralny, nie bezosobowy. Doceniają też, że zaraz przy wejściu wita ich sam dyrektor i właściciel w jednej osobie – Marek – albo Joanna Nawrocka, czyli osoba teatrem zawiadująca.

GATUNKOWO, A RACZEJ BEZGATUNKOWO

Na koniec trzeba stwierdzić, że pan Tadeusz nie ma ulubionego gatunku dramatycznego – to stąd to jego określenie jako bezgatunkowego. Ponoć wielu aktorów go nie ma, a wydawać by się mogło coś zgoła innego. Dla Tadeusza Falany ważniejsze jest to co można zrobić i zagrać w danym materiale, a nie to czy gra się komedię czy dramat. Prawda bowiem jest taka, że czasami dramat niesie ze sobą niewiele rzeczy głębszych, a komedia przeciwnie – może być bardziej przemyślana i dogłębna. Zresztą pan Tadeusz uważa, że aktorzy nawet nie powinni mieć ulubionego gatunku dramatycznego, bo aktorstwo to jest zawód, praca i dobrze, jeśli aktorzy wykonują z chęcią każde swoje zadanie.

ROTA

Rota powstała ponad 100 lat temu w okresie zaborów. Wiek później, w wolnej Polsce, utwór ten nadal przeszkadza pewnym środowiskom.

MICHAŁ SOBKOVIK

ROTA

Słowa M. Konopnickiej. Muzyka Fel. Nowowiejskiego.

Allegretto

I. Nie rzu-ćm zie-mi, skąd nasz ród. Nie da-my po-gić
mo-wy. Mypolski naród, polski lud, Kurlow-cki szczep Pia-wo-wy. Nie
da-my, by nas zni-zczył wróg. Tak nam do-po-móż Bóg! Tak nam do-po-móż Bóg! — Tak nam do-po-móż Bóg!

II. Do krwi ostatniej kropli z żył
Będziem bronić ducha,
Aż się rozpadnie w proch i pył
Krzyżacka zawierucha —
Nam twardza będzie każdy próg —
Tak nam dopomóż Bóg!

III. Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz,
Ni dzieci nam germani,
Wzanie ognia husar nasz,
Doch będzie nam hetman! —
W ten dzień gdy zagraną złoty róg —
Tak nam dopomóż Bóg!

Rotę napisała w 1908 roku Maria Konopnicka. Była to odpowiedź na prześladowania polskości w zaborze pruskim, czyli germanizację.

Wiersz składa się z czterech zwrotek, trzy z nich są tekstem jednej z polskich pieśni patriotycznych, do której muzykę napisał Feliks Nowowiejski. Pieśń po raz pierwszy zaprezentowano publicznie 15 lipca 1910 w czasie uroczystości odsłonięcia pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie, podczas obchodów rocznicy 500-lecia zwycięstwa Polski w bitwie pod Grunwaldem. Połączonymi chórami z całej Polski dyrygował kompozytor.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku Rota była kontrkandydatem „Mazurek Dąbrowskiego” do miana hymnu narodowego, a w Wielkopolsce stała się stałym elementem uroczystości patriotycznych. W czasie

stanu wojennego w Polsce pieśń znów była częściej wykonywana, jednak z pewną zmianą w tekście: w drugiej zwrotce fragment „... *Aż się rozpadnie w proch i pył / krzyżacka zawierucha*” zamieniano na „... *Aż się rozpadnie w proch i pył / sowiecka zawierucha*”.

Rota jest także hymnem Polskiego Stronnictwa Ludowego i Ligi Polskich Rodzin, a przez kilkadziesiąt lat melodia autorstwa Nowowiejskiego stanowiła sygnał wywoławczy Telewizji Poznań i Telewizji Gdańsk. Wiąże się to z przekazaniem przez samego kompozytora muzyki Roty na potrzeby Radia Poznańskiego, dziś Radia Merkury Poznań.

Od kilku lat tzw. dżingle Radia Merkury oparte są o melodię Nowowiejskiego – kompozytora związanego z Poznaniem. Natomiast nowy zarząd radia poszedł krok dalej i od 24 marca codziennie, punktualnie o północy na an-

tenie Radia Merkury rozbrzmiewa w całości Rota Feliksa Nowowiejskiego.

Niestety środowiska lewicowe skupione wokół „Gazety Wyborczej” rozpętały wojnę, nie mogąc się pogodzić z ostatnią zmianą. Oda do gender byłaby OK, ale pieśń patriotyczna to samo zło. Szkoda, że niektórzy nie mają szacunku dla historii, tradycji i patriotyzmu, a zwłaszcza dla wolności innych mediów (rzekomo broniąc demokracji) i ingerują w ich autonomiczne decyzje, skłócając jeszcze bardziej społeczeństwo. Przecież odegranie Roty, tak związanej z Wielkopolską i poznańską rozgłośnią, nie powinno nikomu przeszkadzać, zwłaszcza o północy. Chyba, że ktoś chce, by inni „pluli nam w twarz”.

PS. Ciekawe ile z osób, które tak pomstu-ją przeciwko Rocie słucha na co dzień Radia Merkury, zwłaszcza o godz. 24:00.

WYDAWNICTWA MIEJSKIEGO MISJE CENZORSKIE

Możemy się domyślać, jakie zadania zapisano w akcie założycielskim Wydawnictwu Miejskiemu w Poznaniu, jednak edytor samorządowy, którego konstytucyjną rolą jest pomaganie obywatelom miasta, z całą pewnością nie ma prawa tekstów przez siebie opracowywanych cenzurować.

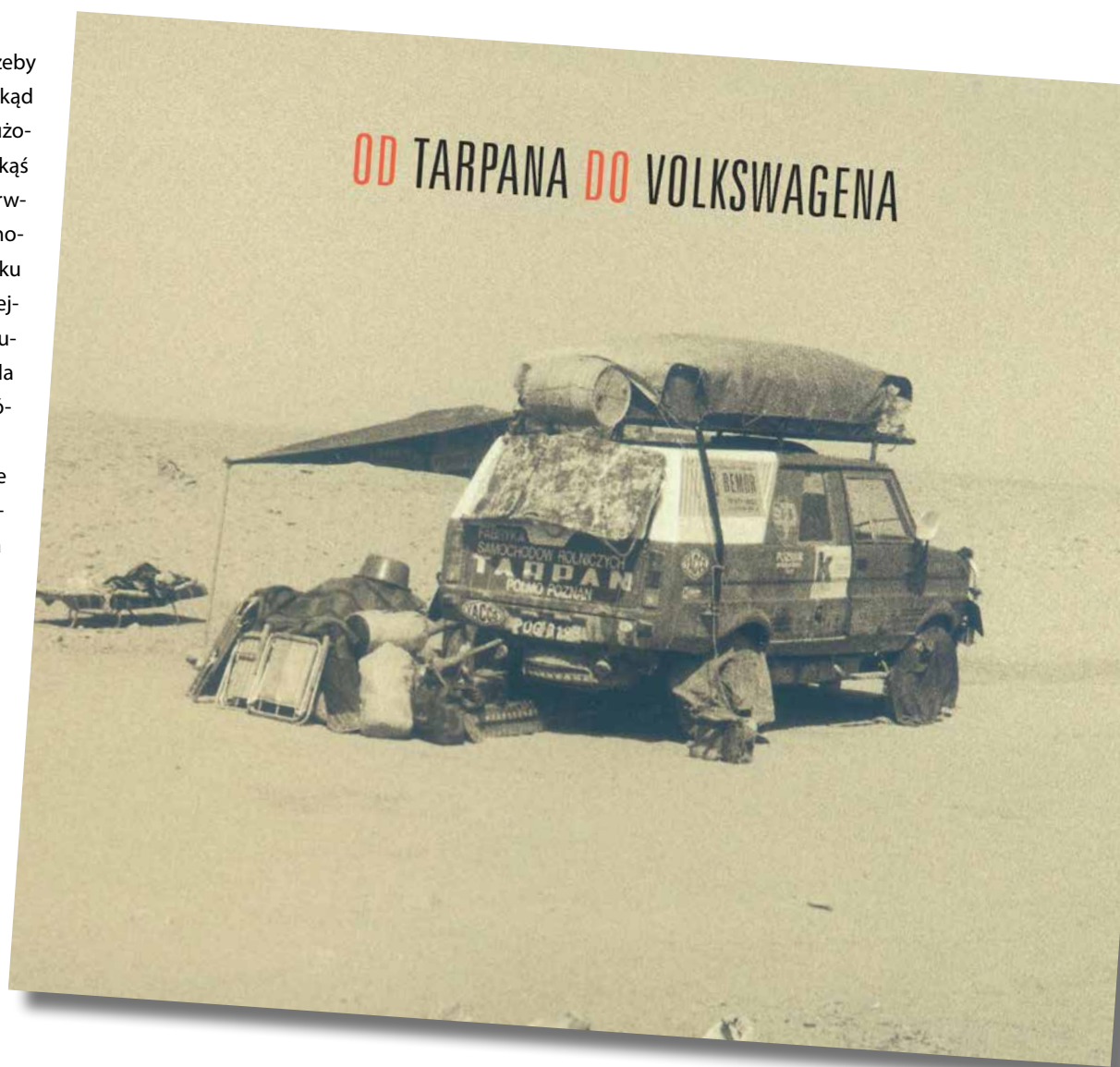
ZENON BOSACKI

Nie słyszałem też, żeby ta instytucja, skąd inąd wielce zasłużona dla miasta, wyręczała jakąś (!) cenzurę w czasie pierwszych kadencji władz samorządowych, ale już w roku 2005 w Wydawnictwie Miejskim spotkała mnie jako autora nieprzyjemna przygoda (podobna sytuacja powtórzyła się w roku bieżącym). Zbliżało się dwudziestolecie „Solidarności”. Kronika Miasta Poznania, edytowana przez Wydawnictwo Miejskie (dziś nosi nazwę klubu sportowego „Posnania”) przygotowywała tom „Nasza piękna Solidarność”. Członek Kolegium Redakcyjnego Kroniki (notabene wkrótce wicemarszałek Senatu RP), prof. Marek Ziółkowski obiecał mi wydrukować tekst o tzw. strukturach poziomych. Był to demokratyczny odłam w PZP r. Frakcja, której działania walczyły przyczyniły się do porozumień Okrągłego Stołu, wcześniej, w latach 1980-82 szczególne sukcesy polityczne odniosła w Poznaniu, gdzie szukała współpracy z NSZZ „Solidarność”.

Aby zachęcić do lektury swojego opracowania i ją ułatwić, niektórym częściom artykułu dodałem motto. Tekst bez zastrzeżeń przyjęto i przez parę tygodni nikomu

w Wydawnictwie cytaty nie przeszkadzały. – A okazji do rozmów nie brakowało; proszono jeszcze o skróty, donosiłem zdjęcia (do dziś zresztą nie oddane). Dopiero kiedy już mój tekst znalazł się w drukarni i podobno niczego nie można było zmienić, dowiedziałem się, że redakcja motta usunęła. W ten sposób ocenzu-

rowano nie tylko Jana Plewę, wybitnego działacza PPS, który powiedział, że „Dla komuny struktury poziome były groźniejsze niż Solidarność”, ale i Jana Pawła II, a konkretnie jego stwierdzenie: „Ziarna prawdy w programie socjalizmu nie powinny być zniszczone, nie powinny się zagubić”. Ofiarą uporządkowania mojej publikacji



– wbrew zasadzie integralności tekstu – padł także Lech Wałęsa: „*Jak się zaczęło to, co odmieniło oblicze tej ziemi, w pochodzie wolności szli ramię w ramię robotnicy i intelektualiści, a nawet w części niedawni przeciwnicy*”. Zdaniem ówczesnych organów miasta Poznania widocznie świadomości Wielkopolan zagrażał też niejaki Norman Davies swoim spostrzeżeniem: „*Wizyta Papieża w roku 1979 zmieniła stan psychiczny całego narodu (...) Ale również ważne zmiany zaszły w tych, którzy byli u władzy*”. Wykreślone cytaty w swojej opowieści rzetelnie udokumentowałem. Dramacik z cenzurą przeżyłem też kilka lat temu. Po wysłuchaniu wspomnień trzydziestu osób związanych z obydwiema firmami, napisałem książkę „*Od Tarpana do Volkswagena*”. Kłopoty cenzuralne zaczęły się już znacznie wcześniej. Grupa inicjatorów publikacji zabiegała o współpracę i pomoc niemieckiego koncernu. Volkswagen poprosił o próbki tekstów. W r. 2012 przedstawiliśmy m. in. relację byłego wicedyrektora Tarpana, Marka Pola (później wicepremiera RP) o przemianie fabryki polskiej w niemiecką – najistotniejszy wątek tego procesu. Nic drastycznego, czysta prawda o rozmowach, które nie zawsze były wymianą uprzejmości; po roku 1990 długo trwała twarda walka ekonomiczna, chwilami heroiczna z naszej strony. Poznaniacy mają prawo znać prawdę. W dziale promocji VW powiedziano mi jednak, że takich rzeczy w biznesie nie ujawnia się nawet po 20 latach; i na tym praktycznie współpraca się skończyła.

Pomogło nam Wydawnictwo Miejskie, ta sama wspomniana już, bardzo pożyteczna firma (prezydent Grobelny zawsze marzył, by zarządzać firmą) pod zarządem M. Poznania. „*Od Tarpana do Volkswagena*” ukazało się.

Do tego typu opracowań dodaje się zazwyczaj słowo od autora. Nie ma go w książce o ludziach Tarpana, ponieważ zaczynało się tak: To, że nie mamy dziś ani jednej polskiej marki samochodu, nawet motocykla, wynika z zaniedbywania jakości w rządzeniu państwem, w stosunkach między ludźmi,

w obsłudze maszyn. Sam więc nazwałbym niniejszą książkę „*Tarpan – ucieczka od bylejakości*”. To jej skutkiem była m. in. wielka, bolesna tragedia, jaka nie zdarzyła się nigdy dotąd w dziejach świata w czasie pokoju – splot zaniechań, błędów; jakoś-to-będzie... Smoleńsk. I tym jednym wyrazem na S (strach powtórzyć) najwyraźniej zamierzalem wywołać zamieszki uliczne. Z czymś takim ta książka w Poznaniu ukazać się nie mogła. „*Będzie skandal! My tutaj mamy określone środowisko*” – usłyszałem w Wydawnictwie, gdzie widocznie obowiązuje zapis na Smoleńsk; przypominały mi się czasami „komuny” i w końcu machnąłem ręką. Doświadczona pani redaktor, która przed laty uczestniczyła w wykoszeniu nieprawomyślnych mott – teraz orzekła, jakoby wszystko to nie były zabiegi cenzorskie, tylko redagowanie.

Ze strony „od autora” zrezygnowałem w ogóle, ponieważ nie streszczałem książki, ale chciałem wyrazić kilka myśli, jakie nasunęła mi praca nad nią. Smoleńsk był tylko symbolem stanu rzeczy; a sama katastrofa mogła wyniknąć i stąd, że zbyt szybko zamieciono pod dywan przyczyny katastrofy lotniczej pod Mirosławcem z roku 2008, której przyczyn można by szukać jeszcze całe lata wstecz. Dziś może łatwiej przełknęto by prawdę, gdybym napisał, że na moim przekonaniu o przyczynach tragedii smoleńskiej, zaważyła też wystawa fotografii lądowiska pod Smoleńskiem, urządzona w Poznaniu. Widzieliśmy lampy „*lotniska*”, na tyczkach prymitywnie sztukowanych, pozwiązywanych sznurkami. – Ale nawet oglądający wystawę, ówczesny poseł Macierewicz nie stwierdził, jakobyśmy lądowali tam pod sowieckim przymusem. Dawno wymyślił wersję, która siódmy już rok żadnej cenzurze nie podlega. Wręcz przeciwnie.

Niniejszy artykuł traktuje o bezprawiu, jakie firmowane było przez władze miasta Poznania. Ostrzega, że Polacy od dawna cierpią wskutek zamiatania horrendalnych błędów pod dywan; wskutek nieprzestrzegania prawa oraz bezkarności wysokich urzędników i polityków, współwiniących katastrof, w których giną setki ludzi.

Swoją wkład w tolerowanie bylejakości mają i odpowiedzialni za informację. Także urzędnicy samorządowi, którym KTOŚ każe bawić się w cenzorów. – Bo prawdziwi redaktorzy mogliby znać słowa Norwida dane nam do przemyślenia przed 160 laty: „*Czy ten ptak kała gniazdo, co je kała, czy ten, co mówić o tym nie pozwala?*” (Uwaga, cytaty do usunięcia!)

Wracam do tematu, ponieważ już po wydrukowaniu (w pismach „*subregionalnych*”) powyższego tekstu znalazłem dowód, że hołdując zwyczajom z czasów tzw. komuny, w Wydawnictwie „*Posnania*” w roku 2014 cenzurowano nie tylko treści, ale obowiązywał też zapis na nazwisko. W trakcie długich przygotowań do druku „*Tarpana*” zaproponowano mi, że bym zrezygnował ze swojego nazwiska na okładce, ponieważ to nie moje wspomnienia, ale wielu innych osób. Zapytałem panią sekretarz redakcji, czy zna np. książkę – głośną – Teresy Torańskiej „*Oni*”. Odpowiedziało mi ciche milczenie... Książki wspomnieniowe trzeba drukować szybko, bo są to relacje ludzi przeważnie starszych. Kiedy wkrótce po tej rozmowie zmarł jeden z bohaterów „*Tarpana*”, Ryszard Wnykowicz; postanowiłem ze swej strony nie czynić żadnych kroków, które mogłyby opóźnić ukazanie się opracowania. Do ostatniej chwili dyskutowaliśmy, co dać na okładkę...

Dopiero w roku 2015 przejrzałem dokładnie nr 2/14 *Kroniki M. Poznania*, poświęcony „*Wielkiej zmianie 1989 -1991*”, gdzie i moje nazwisko parę razy się pojawia. Na końcu grubego zeszytu, w reklamie mojej książki, która drukowała się niemal równocześnie, widzę okładkę *Od Tarpana do VW* z nazwiskiem: Zenon Bosacki. Oczom nie wierzę, ponieważ na bodaj dwu tysiącach jej egzemplarzy wszystkie okładki są anonimowe. Przypuszczam więc, że kiedy projekt już był gotowy, KTOŚ ostatecznie zdecydował inaczej, a w reklamie omyłkowo zamieszczono wersję roboczą okładki. – W czym widzę nie tylko kolejny przykład bylejakości, ale i palec boży. Pan Bóg nie zawsze pomaga tym, co mają go dużo w gębie.

PLOTKI, ROMANSE, MIŁOŚĆ

Warto nad tą książką - trochę czasu stracić - Ażeby się do życia - Właściwie ustawić - EternoVagabundo

KRZYSZTOF WODNICZAK

Światła, które nie gasną to odnaleziona po latach powieść znanej aktorki Krystyny Feldman, bezkompromisowej, niebanalnej, z dystansem do świata i samej siebie. Powieść jest przepojona teatralnym naturalizmem na tyle uniwersalnym, że także obecnym w podobny sposób we wszystkich teatrach niezależnie od miejsca i czasu.

Jeśli ma się trochę wolnego czasu to powieść Krystyny Feldman można przeczytać w ciągu jednego dnia.

Prawde mówiąc nie jest to arcydzieło literackie, ale z kolejnymi przeczytanymi stronami zaczyna czytelnika wciągać. Mgliste wspomnienia wojny i okresu powojennego pomieszane z zakulisowymi intrygami w teatrze mogą zaciekawić. Chociaż intrygi niekoniecznie zakulisowe zdarzają się prawie w każdym teatrze - i nie tylko i pod każdą szerokością geograficzną to na ogół wzbudzają zainteresowanie jeśli nie sensację.

Polska tuż po II wojnie światowej. Zespół teatru dramatycznego przygotowuje się do wystawienia Balladyny - Juliusza Słowackiego. Aktorzy, próby, kostiumy, reflektory, statyści, reżyserzy...Plotki, romanse, zdrada, miłość, przywiązanie... Opowieść o sztuce życia, o ludziach teatru i ich losach naznaczonych okupacją w zwykłej polskiej codzienności drugiej połowy lat czterdziestych XX wieku. Powieść ta to dowód, że Krystyna Feldman była czujnym obserwatorem kulis teatru, jak i codzienności. Niespodziewane jest zakończenie powieści. CIEKAWE, znacznie gorzej jest z korektą. Nie wierzę w to, żeby wykształcona ko-



bieta jaką była pani Krystyna nie wiedziała, że w języku polskim zdania nie zaczyna się od

więc lub że... Uczyli kiedyś tego poloniści już w szkole podstawowej.

POMNIKOWANE

Wpisy polityków na różnych forach i portalach społecznościowych to powiem tak, to ciągle gry salonowe.

ANDRZEJ WIŁOWSKI.

Niby mamy wolny rynek, ale nie ma rynku idei, każdy ma tą samą narrację, a kto ma rację? Ten, kto stawia kolacje, więc będzie jak zwykle, koniec postu. Mnie na przykład w Poznaniu zasmuciły nowe plany muzealne; dr Tomasz Łęcki objawszy stanowisko po Lechu Dymarskim jako cel stawia sobie nową siedzibę dla muzeum, za jedyne sto milionów. W opuszczonym przez historyków gmachu po KW planuje się muzeum "Enigmy". Nowy minister od kultury już przyznał na ten cel fundusze. Tak więc aby zasłużyć się kulturze, najpierw trzeba polecić i to najlepiej na polu chwały, wtedy znajdą się pieniądze i poparcie polityków, uznanie, gale i medale. Nikt nie ruszy głową i na przykład zamiast muzeum nie postawić biblioteki, czy ufunduje katedry imienia Różyckiego, Rejewskiego i Żegalskiego, a w środku mała salka ku pamięci, wszak eksponatów starczy na jeden pokój. Jak pamiętam muzeum w Odwachu to eksponatów skromniutko, parę Mauserów trochę fotografii i dokumentów. Wiem, jest jeszcze muzeum czerwca, tu rozśmieszył mnie do łez, twierdząc, że jest trudno dostępne i mało ekspozowane. Trudno o bardziej centralną lokalizację niż Zamek, a że lokal skromny, to i co z tego. Nie wiem, co chce pokazywać w nowej placówce, czy ekspozycja będzie wirtualna, jak w Bramie Poznania? To właśnie jest Bizancjum, lud głodował, ale stawiało się mauzolea i pomniki. Tak trzymać, to jest słuszna polityka historyczna, a jak zabraknie bohaterów, to się ich wymyśli i zwizualizuje. Tu martwią mnie ambitne plany państwowych uroczystości ku czci, czyli 1050 lecie chrztu Polski. Pomijam ten drobiazg, że to narracja nieco baśniowa, wszak potrzebny był mit założycielski. Wyjaśniam, w 966 roku Władca Polan wziął ślub wedle no-



Pomnik Hipolita Cegielskiego



Pomnik Karola Marcinkowskiego



Pomnik Ignacego Paderewskiego

wej wiary, ale lud dowiedział się o tym, że jest ochrzczony po stu latach. Zresztą faktyczna chrystianizacja trwała przez stulecia aż do wieku XV. Procesy dziejowe są przewlekłe, to dziś w dobie internetu i mediów, wydaje się nam, że świat z dnia na dzień się zmienia. Cała Europa się chrystianizowała i był to proces polityczny rozłożony na wieki, a nie incydentalny. Faktycznie chrzest politycznego znaczenia nabrał dopiero w czasach Chrobrego. Dobrze, niech i tak będzie. Dzisiaj też historycy sprzedają fałszywą narrację, że tysiąclecie było przedmiotem walki z komunizmem. Nic podobnego, obchody miały być wspólne, państwowo – kościelne, ale kiedy Gomułka odmówił zgody na zaproszenie papieża Pawła VI, wszystkim

się posypało i każdy poszedł swoją drogą. Dobrze, ten chrzest to mit założycielski państwa, od czegoś należy datować początek, niech i tak będzie, ale dlaczego nie ma to wymiaru ludowego, tylko państwowy? Wielu to dawno odkryło, że takie koncepcje dzielą, a nie jednoczą ludzi, bo zawsze partie polityczne chcą przy okazji coś dla siebie wygrać. Święto narodowe, czy państwowe? Jeśli państwowe, to jednym pozwoli się na celebracje, innym tego prawa odmówi i będzie awantura. Są spory o to, kto i co zorganizuje, czytaj, kto dostanie kasę na organizację jakiejś imprezy ku czci, wedle słusznej narracji. Polska muzeami i pomnikami stoi, to pewne, ale ta droga nie prowadzi ku nowoczesności.

JEST JUŻ KLUB DZIENNIKARZA

Liczne spotkania w ostatnich miesiącach z reprezentantami Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Stowarzyszenie Dziennikarzy RP, Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy, Stowarzyszenia Polskich Mediów, Klubu Starszych Dziennikarzy, Klubu Dziennikarzy Obywatelskich doprowadziły do jednoznacznego stwierdzenia, że jesteśmy organizacyjnie przygotowani, aby opanować stworzenie w Poznaniu KLUBu DZIENNIKARZA.

KRZYSZTOF WODNICZAK

ZDJĘCIA HIERONIM DYMALSKI

Zapraszając zainteresowanych otrzymaliśmy odwrotnie wiele miłych słów w tym szczere gratulacje. Chciałbym jeden z nich zacytować... "Szanowny Panie Krzysztofie, serdecznie dziękuję za zaproszenie, powstanie takiego Klubu to cenna inicjatywa, nasz zawód jest już tak mocno zdeprecjonowany, że trzeba robić wszystko, by ocalić jego historię i etos. Niestety, nie mogę jutro uczestniczyć w spotkaniu, jestem służbowo w Warszawie na konferencji w Sejmie nt. Żołnierzy Wyklętych.

Mam nadzieję, że będzie jeszcze okazja do spotkania, ponieważ oprócz walorów towarzyskich mam jeszcze do Państwa bardzo konkretną sprawę: wydania Słownika dziennikarzy i publicystów Poznania i Wielkopolski – takich naszych biogramów. SDP dofinansowało w ub. roku wydanie takiego Słownika kolegom z Pomorza i jest to w mojej ocenie bardzo wartościowe wydawnictwo. Może udałoby się nam w ciągu 2– 3 lat doprowadzić do wydania jego poznańskiej wersji?

Na naszym spotkaniu SDP podjęłam się koordynacji prac nad takim słownikiem, będę jeszcze w tej sprawie się kontaktować. Bardzo liczę na Pana pomoc w tej sprawie.

Pozdrawiam serdecznie i życzę wszystkim udanego wieczoru! Jola Hajdasz członek Zarządu Głównego

Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich"

Jako prasoznawca pragnę przypomnieć, że Poznań zapisał się w historii polskiego dziennikarstwa XX wieku jako zagłębie prasowe. Tutaj powstawały – i miały niestety krótki żywot takie tytuły jak: KAKTUS, TYGODNIK ZACHODNI, PO WYBOJACH, SPOJRZENIA, TYDZIEŃ, 7 DNI, POZNANIAK, NURT, PRZEGLĄD HANDLOWY, DZISIAJ, KURIER POZNAŃSKI, DZIENNIK POZNAŃSKI. Wielu dziennikarzy



tworzących w/w tytuły nie żyje. Są jeszcze dobrze funkcjonujący – to oni zdominowali pierwsze klubowe spotkania w dziennikarskim gronie. Nie było to takie spotkanie dla "wykluczonych zawodowo", może, co najwyżej pewnych weteranów. Skorzystaliśmy aby spotkać, starych znajomych, aby wspólnie powspominać i nakreślić cele działania KLUBu DZIENNIKARZA.

Czwartek 25 lutego zapisał się w działalności bistro Ab Ovo i Jeżyckiego Centrum Kultury przy ul. Jackowskiego 5-7 vis a vis Starostwa Powiatowego jako nowe miejsce dla mających potrzebę żurnalistów stałego spotykania się. Inauguracja wypadła nad wyraz okazale. Dziennikarze zaprezentowali się w rolach jakie dotychczas nie ujawniali. Artystyczną stronę pokazali: Kalina Izabela Ziola, Dominika Narożna, Ola Kubiak, Ryszard Bączkowski, Zbigniew Roth, Dominik Księski, Piotr Wiza, Jacek Kasprzycki, Kazimierz Miler, Zbigniew Ostrowski, Seweryn Biegański duet Ed Wayman – Graham Crawford. Ich występy dostarczyły licznym reprezentantom mediów (wydano 77 kart KLUBu DZIENNIKARZA) przekonanie, że po-

znajscy dziennikarze są obdarzeni wieloma talentami jakimi potrafią się dzielić. I niech tak pozostanie...

Może niezbyt hucznie, ale w zacyjnym gronie pojawiliśmy się w Jeżyckim Centrum Kultury, aby po raz kolejny zintegrować się. Udało się. Możemy codziennie przychodzić do gościnnego Ab Ovo przy ul. Jackowskiego 5-7, zaś działalność programową ograniczamy do czwartku. W każdy piąty dzień tygodnia dziennikarze wcielać się będą w artystyczne szaty i zaprezentują swoje talenty takich Dam jak Melpomena, Polihymnia, Terpsychora, Kalliope, Erato, Talia, Aojde.

O kolejnych spotkaniach będziecie koleżanki i koledzy informowani na bieżąco. Ryszard Sławiński członek Zarządu Głównego SDRP napisał "Jestem pod wrażeniem. My poznańscy, Wielkopolscy dziennikarze jesteśmy razem. Pięknie. Oby tak zawsze. Wszystkich pozdrawiam i dziękuję! A Zenon Bosacki – inicjator Wielkopolskiego Porozumienia Dziennikarzy sprzed lat 20-tu napisał "Dziękuję. Będzie gdzie wypić za solidarność dziennikarzy, a może nie tylko...(legitymacja nr 53). Oby słowa Zenona się ziściły.

KLUB DZIENNIKARZA NA ROCKOWO

W czwartkowy wieczór 7 kwietnia 2016 r. w „Klubie Dziennikarza” działającym przy Jeżyckim Centrum Kultury w Poznaniu odbyły się dwa koncerty, wernisaż wystawy, a to jeszcze nie wszystko...

MICHAŁ SOBKOWIAK

W tym dniu przypadła akurat 35 rocznica śmierci Krzysztofa Klenczona. Jego postać była obecna w licznych wspomnieniach zebranych osób. Jednak najciekawsze wspomnienia zaprezentowała siostra zmarłego muzyka - Hanna. Wspomniała o Wojciechu Hoffmannie, który od najmłodszych lat był zafascynowany grą i kompozycjami Klenczona. Jako rockowy gitarzysta z satysfakcją przyjął propozycję grania w Czerwonych Gitarach, żeby chociaż побыć z założycielem grupy i współtwórcę wielu czerwono-gitarowych przebojów, Jerzym Kosselą. Kupił też jedną z gitar Klenczona. Niestety nieoczekiwane przyczyny nie pozwoliły poznańskiemu gitarzyście przyjście do klubu.

Spotkanie rozpoczęło się od koncertu zespołu Black Night, podczas którego zabrzmiały piękne gitarowe riffy z repertuaru The Shadows. (Apache, Man of Mystery, Kon Tiki, Guitar tango, Atlantis, The savage, F.B.I.), The Spotnick, The Ventures. Zagraли także kompozycje Krzysztofa Klenczona Gdy odlatują bociany.

W przerwie między koncertami uczestnicy spotkania udali się „na górę”, gdzie odbywał się wernisaż wystawy zatytułowanej „pozaPoznaniem”. Na wystawie prezentowane są prace kilkudziesięciu artystów związanych z różnymi galeriami i środowiskami artystycznymi Poznania m.in.: Małgorzaty Ciernioch, Przemysława Kaleńskiego, Jerzego Kocpia, Mariusza Korbańskiego i Sylwestra Łachacza. Recital Andrzeja Karpińskiego w formie muzycznego performansu był uzupełnieniem wernisażu.

Zwieńczeniem wieczoru był występ zespołu Alphabet, który przypomniał rockowe klasyki z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w. Usłyszeliśmy utwory z repertuaru Black Sabbath, AC/



Kwartet gitarowy Black Night



Grupa Alphabet 3

DC, Deep Purple, Iron Maiden czy Pink Floyd. Zobaczymy jak się rozwiną działania i plany zespołu powstałego jesienią 2015 roku. Zrodził się u nich spontaniczny projekt. Tak po prostu, z potrzeby serca, z potrzeby grania dobrego, mocnego rocka. Od tego czasu czterech muzyków bez kszty respektu bierze „na widelec” swoje ulubione rockowe blacbustam by mogły właściwie zabrzmieć.



Hanna Klenczon

100 URODZINY KRYSZYNY FELDMAN

Na kolejne spotkanie zorganizowane w ramach KLUBU DZIENNIKARZA w Jeżyckim Centrum Kultury ul. Jackowskiego 5-7, też warto było przyjść. W ten czwartek godnie uczciliśmy setne urodziny wybitnej aktorki poznańskiej Krystyny Feldman.

KRZYSZTOF WODNICZAK

Wieczór wspomnień prowadził Tadeusz Żukowski (PEN Club, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich), a bogatą oprawę muzyczną zapewnił swoim śpiewem i grą – Andrzej Kosowski, wpisując się w klimaty połowy ubiegłego wieku przebojami z lat trzydziestych i nieco późniejszych – czasów młodości Pani Krystyny. Nie zabrakło melodii „Tylko we Lwowie”, bo tam właśnie równo sto lat temu przyszła na świat babcia Rozalia z „Kiepskich”, arcymistrzyni ról drugoplanowych.

Jak to się stało, że wielka, choć mała sylwetką, Artystka zmieniła swoją datę urodzenia na rok 1920 (jak podają źródła oficjalne) – opowiedział Tadeusz Żukowski, który w roku 2001 opracował jej wyznania biograficzne w książce „Krystyna Feldman albo festiwal 1000 i jednego epizodu”. Fragmenty pamiętników czytała Zofia Rejewska. Żałujemy, że media spopularyzowały twarz aktorki jedynie z ostatnich dziesięcioleci jej pracy. Z książki Żukowskiego spogląda na nas znajoma nieznaną śliczną młodą dziewczyną.

Uczestnicy wieczoru wspominali chwile zapamiętane ze spotkań z Krystyną Feldman. Każdy z nich otrzymał ruskiego pieroga; to ulubiona potrawa bohaterki dnia. Częstośwał inicjator i duch sprawczy imprezy, oczywiście Krzysztof Wodniczak (media różne). Zabrała też głos sama Solenizantka – w parominutowym fragmencie wywiadu z 1988 roku dla Rozgłośni Polskiego Radia w Poznaniu, który wydobyła z archiwum Małgorzata Janczak (radio Emaus) oraz przedruk w Przeglądzie Wielkopolski. Witold Zakrzewski



(Stowarzyszenie EKOART) mówił o swoim niedawnym pobycie we Lwowie, gdzie „ławczkowy” pomnik Nikifora zaprasza przechodniów twarzą Krystyny Feldman. Aleksandra Wyganowska (Radio Emaus) była świadkiem licytacji zdjęcia Aktorki z jej autografem. Licytacja doszła do tak niebywale wysokiej kwoty, że pani Aleksandra z wrażenia zapomniała już ile to było. Wysłuchaliśmy też: poety Zbigniewa Rotha (Towarzystwo PTA-AAK), Danuty Bartosza (Związek Literatów Polskich), Kaliny Izabeli Zioly (Stowarzyszenie Dziennikarzy RP), Zygmunta Tomkowiaka (Powiaty Gminy), Katarzyny Janosik.

Najwięcej opowieści z barwnego życia pani Krystyny, nie tylko teatralnego, miał nam do przekazania, rzecz jasna, zaprzyjaźniony z nią Tadeusz Żukowski,

jej biograf, a – jak się okazuje – w pewnym sensie syn. Kiedy przed laty miał powody do narzekania, Aktorka przypomniała mu scenę z Biblii, kiedy Chrystus poucza apostołów sprzeczących się o przyszłe stanowiska w niebie. Pokazując żuczka spod kamienia mówi: Ojciec mój troszczy się nawet o takiego chrząszczyka; zapewne i o was nie zapomni. Na pamiątkę tego żuczka Pani Krystyna, usynowiając Żukowskiego, nadała mu piękne imię: Bożychrząszcz. Nawiązał do tego, Zenon Bosacki (Wielkopolskie Porozumienie Dziennikarzy) i poprosił Syna o autograf w dopiero co kupionej – po okazyjnej cenie – przy sąsiednim stoliku książce Krystyny Feldman „Światła które nie gasną”. Powieść artystki wydało na jej stulecie Wydawnictwo Miejskie Poznań. •

TRZY HOSTIE

Nie każdy, nawet praktykujący katolik, wie iż w Poznaniu miał miejsce cud. Okoliczności tych niezwykłych zdarzeń opisał w swojej książce zatytułowanej „Najświętsze trzy hostie” Mieczysław Noskowicz.

MICHAŁ SOBKOWIAK

Przenosimy się w czasie do średniowiecza. Jest rok 1399.

O okresie oktawy Bożego Ciała rabini i starsi kahału podczas narady postanowili zdobyć konsekrowane Hostie, żeby przekonać się, czy stanowią rzeczywiście Ciało Chrystusowe. Namówili zatem biedną wdowę, niejaką Krystynę, i jej córkę Annę, by w zamian za hojną zapłatę dostarczyły im żądane Hostie.

W dniu święta Najświętszej Marii Panny, czyli 15-sierpnia 1399 roku, owe kobiety udały się do kościoła OO. Dominikanów. Schowały się w najciemniejszym kącie świątyni, oczekując jej zamknięcia. Upewniwszy się, iż są same w kościele, Krystyna kazała córce stanąć kilka kroków od ołtarza na straży. Sama natomiast z puszek z Najświętszym Sakramentem wyjęła trzy komunikanty i zawięła w białą chusteczkę. We wcześniejszej kryjówce doczekały następnego nabożeństwa, by razem z wiernymi opuścić świątynię bez zwracania na siebie uwagi.

Z kościoła Krystyna i Anna udały się wprost do żydów, którym przekazały Najświętsze Hostie, za co dostały hojną zapłatę. Żydzi natomiast udali się do kamienicy Świdów, w której przy filarze w piwnicy ustawili stół i położyli na nim Hostie. Najstarszy z żydów przebił nożem jedną Hostię, z której od razu trysnęła krew. Za przykładem pierwszego, poszła reszta żydów – do woli kłuli nożami trzy Najświętsze Hostie, mimo iż krew lała się po całym stole.

Udziału w tej żydowskiej „zabawie” nie brała tylko jedna osoba – niewidoma od urodzenia żydówka. Gdy zaczęła się modlić do Jezusa o „oświecenie” oczu – przejrzała.



Wiadomość o cudzie szybko się rozchodziła, zarówno wśród żydów, jak i chrześcijan, dlatego żydzi postanowili pozbyć się Hostii. Najpierw chcieli je spalić, ale bezskutecznie. Następnie próbowali wrzucić je w „miejsce ustępowe” oraz do studni. Kiedy te usiłowania okazały się daremne, postanowiono wynieść Hostie z miasta i zakopać je pośród trzęsawisk.

Po drodze miały miejsce kolejne cudowne wydarzenia, m. in. został uzdrowiony kaleka żebrzący o jałmużnę. Po przybyciu na miejsce trzy Najświętsze Hostie zostały zakopane w błocie.

Nie wiadomo dokładnie ile czasu Hostie pogrzebane w błocie leżały. Jednak już w następną niedzielę, czyli 22-go sierpnia, nad miejscem gdzie były zakopane, uniosły się

w powietrzu. W miejscu tym dziś znajduje się Kościół p. w. Bożego Ciała (przy ul. Krakowskiej), w którym wiele elementów przypomina o wydarzeniach sprzed wieków.

W budynku kamienicy Świdów (ul. Żydowska 34) utworzono Kościół p. w. Najświętszej Krwi Pana Jezusa. Można w nim zobaczyć studnię, w której topione były Hostie.

Ciekawostką jest tu także to, iż średniowieczny kościół OO. Dominikanów, to zupełnie inna świątynia niż ta, która mieści się przy al. Niepodległości. To samo dotyczy kościoła farnego.

Aby dokładniej poznać całą historię trzech Najświętszych Hostii, wszystkie miejsca z nimi związane, dokumenty kronikarskie – nie tylko kościelne – potwierdzające autentyczność tych wydarzeń oraz co z Hostiami ma wspólnego król Władysław Jagiełło, polecam przeczytać tę niepełną stustronicową książeczkę Mieczysława Noskowicza.

Autor książki dość wiernie odtwarza fakty, przytacza teksty źródłowe dotyczące opisywanych wydarzeń i miejsc, przenosi nas w czasie m. in. do okresu „Potopu Szwedzkiego” czy zaboru pruskiego.

Mieczysław Noskowicz napisał „Najświętsze trzy Hostie” w 1916 roku. Czytając jego książkę możemy zobaczyć jak bardzo przez te sto lat zmieniła się pisownia języka polskiego.

Temat Hostii jest obecnie mało znany, na temat tej historii nie powstały żadne filmy czy serie, publikacji literackich także jest niewiele. Zatem warto bliżej poznać wydarzenia, które miały miejsce w naszym mieście.

WOJCIECH KOWALCZYK

ŚMIERĆ NIEOSTATECZNA

Urodził się sześćdziesiąt lat temu. Zmarł przed dziesięcioma laty. Ale te okrągłe rocznice to nie najważniejszy powód, by o nim pisać. Daleko istotniejszy jest ten, że owe z wolna oddalające się od naszej współczesności daty stwarzają zagrożenie aż nazbyt znane dziejom kultury i biografom jej twórców. „Przyszłość: Korektorka-Wieczna” pozostawia wiele do życzenia co do swej fachowości. Sama wymaga korekty, trzeba jej patrzeć na ręce, by nie upuściła przez pośpiech czy nieuwagę jakiegoś dzieła, życiorys – dokonanie.

EUGENIUSZ BIAŁY

Pierwsze dziesięć lat jej prac nad dorobkiem artystycznym Wojciecha Kowalczyka – rzeźbiarza, malarza, rysownika i poety, absolwenta dwóch poznańskich uczelni – nie charakteryzowało się szczególnym zaangażowaniem czy skupieniem. Poza zorganizowaną w 2007 roku wystawą wspomnieniową w galerii Związku Plastyków mieszczącej się przy ulicy Szyperskiej w Poznaniu nie działo się nic. Zupenie jakby do nazwiska Wojtka miała na zawsze przyłgnąć etykieta zaczerpnięta z tytułu tekstu o nim, pióra Andrzeja Wilowskiego, „Kowalczyk – niechciany geniusz”.

Wojtek Kowalczyk nie był typem modnego obecnie skutecznego artysty-automedżera, skrzętnego ciułacza zadatków przyszłej sławy. Jako człowiek obdarowany wieloma talentami szafował nimi i swoją energią szczerze, był artystą, którego interesował szeroko rozlewający się proces tworzenia, nie celebrował własnej osoby. Stanowił przeciwieństwo postawy tak celnie zdefiniowanej w maksywie: „Powaga jest to ceremonia ciała dla ukrycia niedostatków ducha”. Nie miał czego ukrywać, więc dworował sobie często na potęgę z siebie i innych. Jak choćby wtedy, gdy przed koncertem w Muzeum Instrumentów Muzycznych w Poznaniu zrobiwszy rurki z biletów wsadził je sobie do uszu i nosa i przyozdobiony tak kulturalną biżuterią prowokacyjnie przyglądał się napuszonej publiczności. Wybrać się gdzieś z Wojtkiem znaczyło nie-

jednokrotnie zagwarantować sobie wiele niezaplanowanych atrakcji, z wyjątkiem komfortu dotarcia do celu w czasie przewidywanym. Kowalczyk musiał wszędzie wleźć, wszystko zobaczyć, z każdym pogadać. Uczestnicy wspólnej wędrowniki w Tatry wspominają, jak rozgrzewał ich egzystencjalnie raz po raz wznoszonym okrzykiem: „Non-stop radość!”. Z takich wypraw wracało się z bólem nóg od chodzenia i bólem głowy od rozmów istotnych. Bo kto na podstawie przeczytanych tu słów wyobraża sobie Wojciecha Kowalczyka jako artystę typu „pijane dziecko we mgle”, myli się bardzo. W jego szczupłej postaci mieścił się bowiem tęgi intelektualista ze sporym erudyta.

Już sama droga edukacyjna Wojtka nie należała do tłumnie uczęszczanych. Była długa i wymagająca. Najpierw V Liceum Ogólnokształcące w Poznaniu, zakończone w 1975 roku maturą – jako przedmiot fakultatywny zdał malarstwo sztalugowe, które opanowywał pod kierunkiem profesora Tadeusza Dembskiego (w ostatnich miesiąca swojego życia Wojtek upamiętnił go wierszem „Ogródek profesora”). Później dwuletnie Studium Medyczne, gdzie uczy się protektyki stomatologicznej. Dopiero potem studia polonistyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w latach 1977-1981, skąd Wojciech Kowalczyk wychodzi z tytułem magistra, uzyskany na podstawie rozprawy o poetyce przestrzeni w liryce Juliana Przybosia, pi-

sanej w ramach seminarium docenta Edwarda Balcerzana.

Lata 1981-1986 poświęca na studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu, gdzie uzyskuje dyplom z rzeźby w pracowni Małych Form Rzeźbiarskich profesora Józefa Kopczyńskiego.

Zasygnalizowane już tutaj cechy osobowości Wojtka Kowalczyka, jak i jego długa i wielostronna edukacja, powodująca że na studiach uniwersyteckich, a zwłaszcza w PWSSP był znacznie starszy od swoich koleżanek i kolegów, koncentrowały na nim uwagę otoczenia.

Na polonistyce uczestniczy w niezależnym studenckim ruchu intelektualnym, dużo pisze, inicjuje dyskusje, które ówczesnym zwyczajem toczą się na seminariach, w korytarzach, na schodach, obokurnych peerelowskich kawiarniach, parkach i innych miejscach, nie wyłączając uniwersyteckich toalet. Na początku 1981 roku bierze udział w protestach studenckich i publikuje w „almanachu poezji strajkowej” zatytułowanym „W klatce wolności”.

Na studiach plastycznych skupia wokół siebie studentów erudycyjnymi pogawędkami o sztuce i technikach malarskich. Taka konkurencja dla licencjonowanych wykładowców nie wszystkim się podoba. Prawdopodobnie ta właśnie okoliczność zadecydowała, że – co niebywałe – w trakcie studiów za zgodą ówczesnego rektora Państwowej Wyż-

szej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu Wojtek Kowalczyk został na rok zesłany do Szkoły Podoficerów Rezerwy, którą honorowo – jako autor wiersza, w którym napisał o żołnierzu, że tylko śmierć pozwala mu nosić długie włosy – zakończył po połowie roku w szpitalu i stopniu szeregowca.

Podyplome życie Wojtka upływało na dzieleniu czasu między zajęcia zarobkowe konserwatora zabytków, co wykonywał z miłością i wielkim znanstwem dawnych technik oraz prywatne powinności artystyczne, w których wykazał zadziwiająco wielostronność i energię tworząc obrazy, grafiki, rysunki, rzeźby (w tym miniatury) oraz poezję.

Budował też w Przeźmierowie dom dla swojej pięcioosobowej rodziny, przed którym postawił własnego projektu płot łukowy z reliefem przedstawiającym motywy fauny morskiej. Swoją pokój wyposażył w niezwykle meble drewniane, godzące tak wielbioną przez aktualną cywilizację funkcjonalność z zachowaniem organicznych form materiału. Też oczywiście wytwory jego głowy i rąk.

Wśród wielu dzieł, którym walory przywrócił talent konserwatorski Wojtka, znalazły się między innymi neogotyckie i neobarokowe nastawy ołtarzowe (kaplica w Uchorowie, kościół parafialny pw. Świętej Rodziny w Pile), obrazy Wojciecha Kossaka i Hanny Rudzkiej-Cybisowej, także posąg króla w attyce pałacu Fryderyka II w Poczdamie.

Prace oryginalne Wojciecha Kowalczyka, obrazy i rzeźby, wystawiano za jego życia wielokrotnie, na wystawach zbiorowych oraz indywidualnych, zarówno w kraju, jak i zagranicą (Niemcy Zachodnie, Szwajcaria).

Najmniej eksponowanym rodzajem Wojtkowej twórczości była poezja. Z tą Muzą znał się jednak od młodości lat, całe życie mocował się z nią, a pod jego koniec ostro wadził. Wszyscy, którzy znali Wojtka Kowalczyka w okresie jego studiów na polonistyce, muszą pamiętać go zapisującego nieustannie niezliczone kartki papieru, a potem odczytujące-

go je wybranym słuchaczom. Pisał ciągle i ciągle poprawiał. Tropił doskonałość, w czym potrafił być męczący. Ta niekończąca się erupcja twórcza wraz z chronicznym niezadowoleniem w dużym stopniu była pewnie odpowiedzialna za to, że Wojtek prawie wcale nie publikował. Dopiero w roku 2004 pod naciskiem i przy pomocy rodziny i przyjaciół został z jego olbrzymiego dorobku rękopiśmiennego wybrany, zredagowany i wydany tomik poetycki „Ptasia kaligrafia”, który Autor opatrzył swymi rysunkami.

Był to już – jak się potem miało okazać – ponad dwuletni czas jego choroby i świadomości, że jest śmiertelna.

Ta świadomość nie osłabiła go w twórczym wysiłku. Nadal ręka Wojtka energicznie biegała po papierze pisząc i rysując. Gdy nie miał sił, dyktował. Bardzo szybko. Gdy przygodny sekretarz lub sekretarka nie mogąc nadążyć prosili o powtórzenie, w odpowiedzi słyszeli: „Było powiedziane”. Wojtek ścigał czas, własne myśli i formy, w jakie starał się ująć świat. I to akurat w jego życiu nie było niczym nadzwyczajnym. Poza bliskością śmierci i buntem przeciw poezji. W jego zapiskach z czasu umierania znajdujemy bowiem zdumiewające słowa:

„Od czasu do czasu przeżywam napady wstrętu.

Najbardziej regularnie zdaje się powtarzać wstręt do poezji. Taki wstręt może się nasilać do tego stopnia, że osiąga poziom hysterii. Wymachując bez sensu rękoma biegam wieczorami po ogrodzie, wykrzykując od czasu do czasu <<to piękno – obrzydliwe>>. Sąsiedzi pewnie myślą, że zwariowałem albo że ćwiczę jogging. Nic z tego. To kolejny atak wstrętu do samego siebie, wściekłość za to, że nie zerwałem z tym dziecinnym nałogiem, że wciąż uprawiam tę przeklętą poezję. Nawet jej nie czytam, bo i nie ma komu. O odświętnego słuchacza też coraz trudniej. Po pewnym czasie uspokojałem się. Wracam na piętro do gabinetu, zaczynam czytać, porównywać z technikami innych poetów i – znowu to przeklęte poczucie absurdu. Jak można tak

zaciemniać proste sprawy, a jeśli nawet są w głębi bardzo skomplikowane, to i co z tego, skoro tym bardziej należałoby o nich pisać w sposób jasny i przystępny.” („Miniatury”).

To ponowoczesne poczucie alienacji wobec poezji i poprzez poezję daje w późnej twórczości Wojciecha Kowalczyka znać o sobie kilkakrotnie, choćby w autoironicznym wierszu „Straganik poety”, przy którym jego właściciel „(...) między wzgórkami dekoracyjnych dyni / a stanowiskiem z watą cukrową / wygląda śmiesznie i nie do rzeczy”. Ale jak mowa ciała zdradza wprawnemu obserwatorowi prawdę o wnętrzu człowieka nawet wbrew jego deklaracjom, tak i pretensje dojrzałego poety wobec liryki w zestawieniu z jego twórczymi działaniami odsłaniają istotę jego zaangażowania. Bo poezja towarzyszyła Wojtkowi do ostatnich dni życia, które zakończył się 13 lutego 2006 roku. I nie ma w tym stwierdzeniu żadnej patetycznej przesady, zaświadcza o tym daty pod jego najpóźniejszymi wierszami. Są one jednocześnie świadectwem, że poezja jest ludzkiemu duchowi niezbędna właśnie wtedy, gdy wszystko zdaje się go opuszczać. Jej uprawianie nie jest przecież odruchem warunkowym.

Stąd uzasadnione i dla kulturalnej publiczności pozytywne byłoby wspomnienie „Korektorki Wiecznej”, by przedśmiertnej twórczości poetyckiej i rysowniczej Wojciecha Kowalczyka nie zaprzepaściła. Nie tylko z uwagi na jej status unikalnego duchowego świadectwa, ale przede wszystkim walor wysokiej artystycznej próby.

Zainteresowanym zdradzę, że trwają prace nad zredagowaniem i wydaniem tomiku zawierającego wiersze, rękopisy i rysunki Wojtka Kowalczyka z jego ostatnich niezwykle intensywnych twórczo dwóch lat. Znajdzie się tam i ten krystaliczny, przejmujący wiersz:

„A jeśli umieram ostatecznie
ani jedno źdźbło nie uroni też
deszcz się również nie pomniejszy
choćby o tę jedną kropkę nad „i”

PIĄTA ROCZNICA ŚMIERCI ANDRZEJA SOB CZAKA

Słowa utworu „Przeżyj to sam” autorstwa Andrzeja Sobczaka zna chyba każdy. Jednak nie wszyscy wiedzą, iż ich autor pochodził z Poznania. W tym roku mija piąta rocznica Jego śmierci.

MICHAŁ SOB KOWIAK

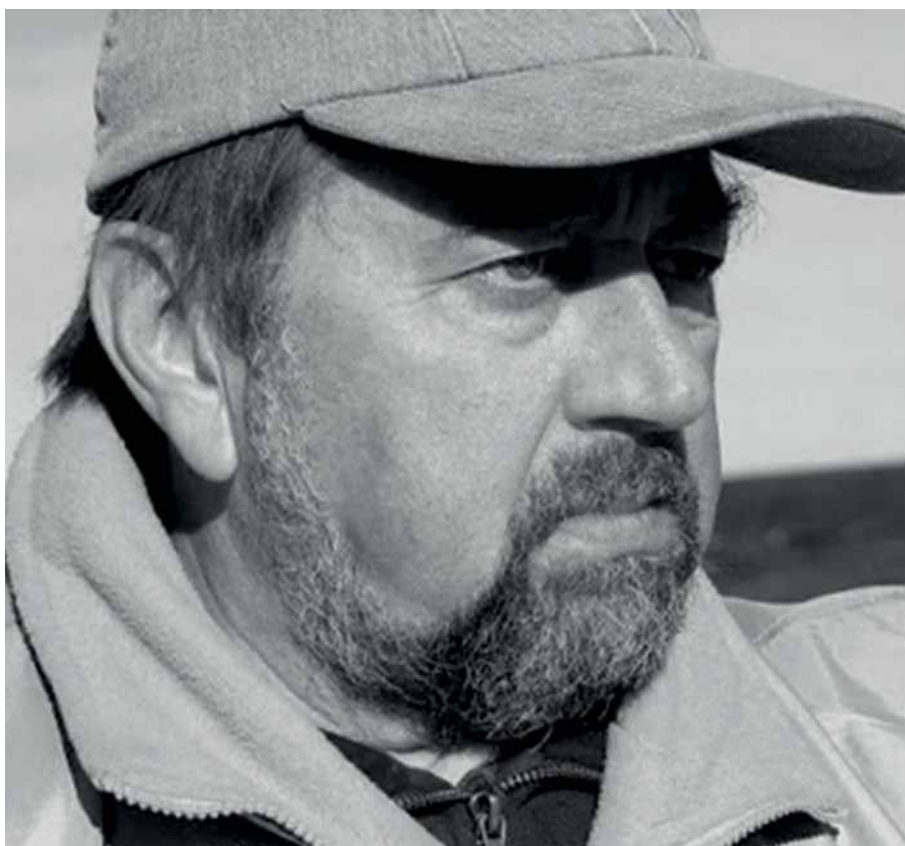
*Na życie patrzysz bez emocji
Na przekór czasom i ludziom wbrew
Ktoś inny zmienia świat za Ciebie...*

Andrzej Sobczak urodził się w Poznaniu 25 września 1946 roku. Był wspaniałym tekściarzem, poetą, autorem bajek, felietonów, kabareciarzem, producentem filmów dokumentalnych, autorem audycji radiowych. Do Księgi Chwały Polskiego Rock’n’rolla wpisał się tekstami, bez których nie byłoby naszej złości i determinacji („Doroste dzieci” i „Przeżyj to sam”). To artysta z unikatowym wyczuciem słowa, który pisał o frustracji, zniechęceniu, nadziei, miłości, zabawie – czyli esencji tego świata.

– Był dla nas jedną z najważniejszych postaci w historii zespołu Lombard. Napisał tekst do utworu „Przeżyj to sam”. Utworu, który stał się hymnem wielu i kolejnych pokoleń Polaków. Mięliśmy szczęście! Takie utwory zdarzają się bardzo rzadko... Ta piosenka niejednokrotnie pomagała nam przetrwać najtrudniejsze chwile, ocalić Lombard od zapomnienia... – uważają muzycy zespołu Lombard.

Spod pióra Andrzeja Sobczaka wyszło wiele znakomych tekstów piosenek, które wykonywały największe rodzime gwiazdy lat ’70, ’80 i ’90. M. in.:

- „Doroste dzieci” (muz. Wojciech Hoffmann) – Turbo
- „Przeżyj to sam” (muz. Grzegorz Stróżniak) – Lombard
- „Daj mi tę noc” (muz. Sławomir Sokołowski) – Bolter
- „Hi-fi” (muz. Wojciech Trzciniński) – Banda i Wanda



– „Smak ciszy” (muz. Wojciech Hoffmann) – Turbo

– „Nie było ciebie tyle lat” (muz. Ryszard Kniat) – Krystyna Giżowska

– „Hymn Lecha” (muz. na podstawie „Yellow Submarine” autorstwa J. Lennona / P. McCartneya) – kibice Lecha Poznań

– Andrzej był wspaniałym obserwatorem, niezwykle wrażliwym człowiekiem i bardzo skromnym. Kiedy w 2007 roku wspólnie realizowaliśmy DVD „W hołdzie Solidarności – drogi do wolności” postanowiliśmy po „Przeżyj to sam” wywołać Andrzeja na scenę. Myślicie, że wyszedł... Publiczność zgłotała mu owacje na stojąco, krzyczeliśmy „Andrzej... Andrzej...”, a On w kąciuku sali ro-

nił lzy wzruszenia... Taki był! – wspominają muzycy Lombardu.

W sierpniu 2010 wykryto u Andrzeja Sobczaka złośliwy nowotwór płuc. Po ciężkiej walce z chorobą zmarł 31 maja 2011 roku.

Kiedyś ten głos ktoś usłyszy
Ktoś, kto ma dosyć ciszy
Kto jej smak jak zły szeląg zna
Ta cisza kiedyś
Z nami też zacnie krzyczeć
Trzeba więc i jej szansę dać...

I wciąż:

Doroste dzieci mają żal,
Za kiepski przepis na ten świat...

TADEUSZ MANDAT LIS

(1950–2016)

To już kolejna, taka smutna wiadomość. Po śmieci Andrzeja Szozdy, Franciszka Walickiego, Romualda Wydrzyckiego, Włodzimierza Branieckiego, o. Jana Góry odebrałem telefoniczną informację, że zmarł ś. p. Tadeusz Mandat Lis.

KRZYSZTOF WODNICZAK

O godzinie 0. 30 1 stycznia 2016 roku nastąpił zgon ś. p. Tadeusz Lisa pseudonim Mandat, poznańskiego, cenionego Barda, który przez wiele lat swoją muzyką, swoim śpiewaniem „umilał” życie poznaniakom, turystom, kibicom (śpiewając „W górę serca niech zwycięża Lech”). Nazywany przez niektórych graikiem ulicznym potrafił wykrzesać z gitary, harmonijki ustnej i swojego głosu duże pokłady autentyczności i bezpretensjonalności. Mając bardzo szeroki wachlarz utworów, repertuar przypadającemu każdemu do gustu, potrafił tym znanym utworom dodać własny koloryt śpiewając po swojemu kompozycje jakie weszły do ponadczasowego obiegu.

Chciałbym wspomnieć o etymologii pseudonimu MANDAT. Otóż grając na poznańskim Starym Rynku w sierpniowy wieczór o godz. 20. 30 przedstawiciele Straży Miejskiej wystawili Mu mandat za zakłócanie spokoju, za głośne granie. Okazało się, że ówczesny prezydent miasta Ryszard Grobelny nie informując, ani mieszkańców, ani radnych, ani turystów „wymyślił” godzinę nocną w Poznaniu na godz. 20. 30, a nie jak odbywa to się na całym świecie o 22 giej. Sprawa trafiła do sądu, broniła Tadeusz Miejska Rada Seniorów i okazało się, że nie musi uiścić mandatu w wysokości 200 zł (a otrzymywał z MOPRu dodatek 520 zł na leki, bo Jego choroba cukrzycowa i sercowe niesprawności kwalifikowały Go do otrzymywania finansowych gratyfikacji). Zadowolony z takiego werdyktu Tadeusz dla pracowników sądu i mediów wykonał utwór ze swojego żelaznego repertuaru Zegarmistrz światła.

Z ostatnich Jego występów należy zaznaczyć udział w listopadowym Obiedzie Czwartkowym jaki Polskie Towarzystwo Artystów, Autorów, Animatorów Kultury PTAAK zorganizowało



w Gnieździe Ptaka, podczas którego wspominaliśmy Listę Nieobecnych czyli twórców jacy odeszli w 2015 roku, koncert dla Franciszka Walickiego vel Jacka Grania w poznańskiej Farze, gdzie śpiewano utwory z repertuaru Niemena, Klenczona, Kordy, Szczepanika, Breakout, z tekstami jakie stworzył Jacek Grań. Ostatni koncert Tadeusza Mandat Lisa miał miejsce podczas Wigilii dla Bezdomych w Michałowie/k Szczepankowa, gdzie

wyśpiewał m. in. swoją własną kompozycję Blues bezdomnych.

Tadeusz Lis był oddanym społecznikiem i wolontariuszem. Nie odmawiał udziału w żadnych koncertach, szczególnie tych charytatywnych, udzielał się w licznych organizacjach społecznych, pozarządowych. Był członkiem Zarządu Polskiego Towarzystwa Artystów, Autorów, Animatorów Kultury PTAAK.

Nie zapomnijmy o Nim.

TEATR MUZYCZNY NOMINOWANY W KATEGORII MUZYKA

Crowdfunding, czyli finansowanie poprzez społeczność ciekawych projektów społecznych, kulturalnych, biznesowych istnieje w Polsce od 5 lat. To właśnie 5 lat temu powstał pierwszy i do tej pory zdecydowanie największy portal umożliwiający realizowanie tego typu projektów – PolakPotrafi.pl.

Choć początki były trudne, to teraz śmiało crowdfunding możemy nazwać społeczną rewolucją naszych czasów, ponieważ na PolakPotrafi.pl udało się zrealizować już przeszło 1000 projektów na kwotę prawie 12 mln złotych dzięki wpłatom ponad 130 000 osób.

PolakPotrafi.pl powstał w Poznaniu wiosną 2011 roku. Jego założycielem jest Jakub Sobczak, który, będąc studentem Elektroniki i Telekomunikacji na Politechnice Poznańskiej, postanowił stworzyć platformę, która pomogłaby jemu i jego kolegom realizować pomysły naukowe. Pomysł chwycił, a do Jakuba zaczęły się zgłaszać również osoby, które mają inne niecodzienne pomysły, których cele mają przysłużyć się większej społeczności. W pierwszym roku działalności udało się sfinansować projekty na kwotę 70 tys. zł, natomiast w samym tylko 2015 roku już na prawie 5 mln zł.

Zjawisko crowdfundingu rozwija się bardzo szybko i pokazuje, że ludzie chcą mieć wpływ na to, co się dzieje w ich najbliższym otoczeniu, a co za tym idzie pomagać finansować różnego rodzaju działalność. Dla przykładu, tylko w Poznaniu udało się sfinansować m.in.: powstanie płyty z musicalu Jekyll&Hyde realizowanego przez Teatr Muzyczny (29 tys. zł, 222 wspierających), powstanie Galerii PIX.HOUSE (22 tys. zł, 250 wspierających), wyjazd Chóru SKOWRONKI do Nowego Jorku na koncert w Carnegie Hall (24 tys. zł, 213 wspierających) i wiele innych.

Z okazji 5-lecia funkcjonowania portalu, a tym samym finansowania społecznościowego w Polsce, zapraszamy na konferencję CrowdUp, która podsumuje dotychczasowe sukcesy i doświadczenia. CrowdUp ma łączyć ludzi, idee i pomysły. To dosko-



nały czas i miejsce, aby poznać się lepiej, dzielić doświadczeniami i nauczyć się, jak wykorzystać crowdfunding w realizacji wyjątkowych celów.

Wśród wielu znakomitych gości warto wymienić m.in.:

– Aleksandra Dobę – człowieka, który już dwukrotnie przepłynął kajakiem Atlantyk (mając 68 lat), a w maju zrobi to po raz trzeci. Człowiek Roku magazynu National Geographic.

– Karolina Czarnecka – znakomita aktorka i wokalistka. Popularność zyskała dzięki piosence „Hera Koka Hasz LSD” wykonanej na 35. Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu.

– Grupa Filmowa Darwin - to najwyższa jakość polskiego YouTube. Dzięki nim powstały „Wielkie konflikty”, „Piekiło 2.0”, „Progromcy Przysłów” oraz cała masa równie

dobrych shortów, które już dziś mają status kultowych.

5. urodziny PolakPotrafi.pl, czyli CrowdUp, odbędzie się 22 kwietnia w Centrum Handlu, Sztuki i Biznesu Stary Browa r. Udział w wydarzeniu jest bezpłatny. Obowiązuje rejestracja przez Internet (liczba miejsc ograniczona).

Szczegóły: <https://crowdup.pl/>

Wydarzenie na fb: <https://www.facebook.com/events/1550607818603134>

PolakPotrafi.pl w liczbach:

Najpopularniejsze kategorie:

Muzyka – 189 udanych projektów

Książki/Publikacje – 109 udanych projektów

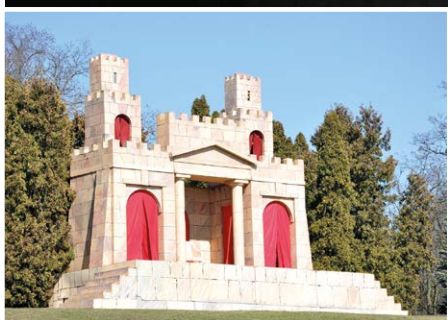
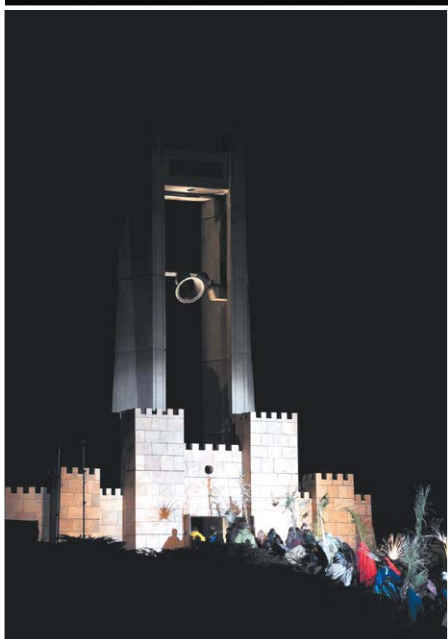
Video/film – 106 udanych projektów

Kontakt:

Bartosz Nowak, Rzecznik PolakPotrafi.pl

email: bnowak@polakpotrafi.pl

tel.: +48 501 320 352



MISTERIUM MĘKI PAŃSKIEJ

W sobotni wieczór 19 marca odbyło się już po raz 15 Misterium Męki Pańskiej. To – według organizatorów – największe widowisko pasyjne w Europie, tradycyjnie wystawiane w sobotę poprzedzającą Niedzielę Palmową.

BARTOSZ KAJ

O d samego początku jest wystawiane na poznańskiej Cytadeli. Na samym początku odbywało się w ruinach amfiteatru we wschodniej części parku, ale bardzo szybko ze względu na dużą ilość widzów zostało przeniesione na rozległą polanę i wzgórze, w którego centralnym miejscu stoi Dzwon Pokoju (ten „odzywa się” w trakcie Misterium dwa razy).

Pierwszy raz od początku Misterium na Cytadeli zamiast Ziemowita Howadka w roli Jezusa Chrystusa zobaczyliśmy dotychczasowego... Judasza – Cezarego Łapę, którego czwórka dzieci i małżonka również wystąpili w Misterium. Nie zabrakło także nawiązania do Roku Miłosierdzia i oczywiście najważniejszego wydarzenia roku 2016 – obchodów 1050-lecia Chrztu Polski.

W najważniejszych rolach wystąpili:

Jezus – Cezary Łapa

Maryja – Paulina Królak

Piłat – Piotr Witoń

Maria Magdalena – Magdalena Woźna

Judasz – Tomasz Kilarski

Poniżej parę kadrów z samego przedstawienia jak i całego tygodnia przygotowań (głównie bogatej scenografii) do tego wielkiego widowiska. Niewątpliwą gratką dla fanów starych samochodów użytkowych są dwa wykorzystywane od kilku lat w Misterium radzieckie reflektory lotniskowe APM-90M zamontowane na również pochodzącej z ZSRR ciężarówce Ził-130. Pojazdy te, stojące w ciągu dnia w pobliżu Dzwonu Pokoju, cieszyły się dużym zainteresowaniem wśród zwykłych spacerowiczów. W nocy natomiast ich światło podkreślało dramaturgię niektórych scen i zdecydowanie idealnie współgrało z akcją.

KATEDRA POZNAŃSKA

Bazylika Archikatedralna Świętych Apostołów Piotra i Pawła znana też pod skróconą nazwą Katedra Poznańska położona jest w prawobrzeżnej północnej części miasta na wyspie Ostrów Tumski. Wyspę tę od lewej strony otacza koryto Warty, natomiast z prawej Kanał Ulgi (zwany także Cybiną). Ostrów Tumski to zarazem jedyna wyspa na Warcie w Poznaniu, która zachowała się do czasów obecnych.

BARTOSZ M. KAJ

Początki katedry będącej jednym z największych i najbardziej charakterystycznym symboli miasta sięgają II połowy X wieku, kiedy wznosił się w tym miejscu kościół wczesnoromański. Należy podkreślić, że jest to także najstarsza polska katedra (a także jeden z najstarszych kościołów w Polsce), ten zaszczytny tytuł posiada już od 968 roku. Na przestrzeni wieków była wielokrotnie niszczone i przebudowywana, a swój charakterystyczny gotycki wygląd otrzymała w XIV – XV wieku. Katedra znacznie ucierpiała w wyniku działań wojennych w lutym 1945, zniszczeniu uległo około 65% budowli, ocalały natomiast kaplice. W latach 1946-1956 podjęta została obudowa obiektu, w wyniku której budowla odzyskała gotycki wygląd z przełomu XIV i XV wieku, natomiast hełmy wież północnej i południowej wzorowane są na klasycystycznych z lat 1725 – 1729. Katedrę otwarto dla wiernych ponownie 29 czerwca 1956 – w dniu święta Świętych Apostołów Piotra i Pawła (wezwanie tych świętych nosi katedra), będących zarazem patronami Poznania. Do dziś w tym dniu odbywa się święto miasta – imieniny patronów.

Tytuł honorowy bazyliki mniejszej (łac. basilica minor) otrzymała w 1962 roku, a został jej nadany przez papieża Jana XXIII. Wewnątrz znajduje się także 13 kaplic, w tym ta najbardziej znana, zwana Złotą Kaplicą. W katedrze pochowani zostali także pierwsi władcy Polski.

Na wyspie Ostrów Tumski znajduje się też mały (obecnie zamknięty) kościół pw. Najświętszej Marii Panny.

Spoglądając na poznańską katedrę z pewnej odległości daje się zauważyć spore podobieństwo do katedry w Gnieźnie, której początki sięgają końca IX wieku (początkowo było to oratorium). Miano katedry otrzymała jednak dopiero około 1000 roku.

